

Tom CCXXIX.

SERYA 7.

R O K 58.

ZESZYT 685.

De. II, 1.

**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.**

STYCZEŃ

1898.

TOM I. — ZESZYT 1.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr 14.

1898.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
I. — ZA BŁĘKITAMI, nowela przez Józefa Weyssenhoffa	1
II. — STAROŻYTNA LITWA. LUDY I BOGI. III. przez A. Brücknera	37
III. — KARTKI Z FIZJOLOGII I HYGIENY PRACY UMYSŁOWEJ przez Dra M. F.	69
IV. — NA WIŚLE. Z prądem fali. — Gmentarz nad wodą, (poezye) przez Selima	95
V. — SEWERYNA DUCHIŃSKA przez Adama Pługa	98
VI. — BRACIA Z WYBORU (powieść — c. d.) przez Zofię Kowerską	112
VII. — GABINET HR. BADENIEGO, przez E. Lipnickiego	137
VIII. — ARNOLD BÖCKLIN. Sylwetka jubileuszowa. przez Stefana Popowskiego	154
IX. — PODCZAS BURZY, (poezya) przez M. Tatarkiewicza	162
X. — PIŚMIENICTWO KRAJOWE I ZAGRANICZNE: <i>Alker.</i> Książę Repnin i Polska w pierwszym czteroleciu panowania Stanisława Augusta. <i>Graf von Rostworowski.</i> Die Entwicklung der bauerlichen Verhältnisse im Königreich Polen im XIX Jahrhundert przez A. Rembowskię	171
<i>Kazimierz Gliński.</i> „Kłeska“. Powieść. — <i>Józef Nowiński.</i> „Świewkra“ i inne nowele. przez Wład. Bukowińskiego	175
XI. — KRONIKA MIESIĘCZNA. — Optymizm i pesymizm noworoczny.— Zapis ś. p. Czabana. — Ofiary H. Wawelberga i S. Rotwanda. — Monopol.—Biblioteki ludowe. —Wybory w Towarzystwie Dobroczyn- ności.—Orzeczenie Senatu.—Teatra.	177
XII. — WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE	186



BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 229.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1898.— Tom I.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr. 14.

1898.



Dr. II. 1.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Января 1898 года.

ZA BŁĘKITAMI.

I.

Ogród spacerowy w Bernatowicach słynie z piękności drzew i z estetycznego ich układu. Założony został w początku stulecia, wówczas, kiedy księżna Izabella Czartoryska pisała swe „Myśli różne o sposobie zakładania ogrodów“, rozpoczynając od cytaty z Pope'a. Wielkie samotne dęby, niespodziewany rozkład klombów, umiejętne połączenie odcieni zieleności, ruina „upoważniona dębem starym“, grupy drzew „przyzwoite na osłonięcie monumentu lub pamiątki“ — przypominają dzisiaj, po dziewięćdziesięciu latach, powabne myśli księżnej. I, choć kilka zaledwie olbrzymów pamięta może rozumny uśmiech tej pani, choć może niejeden „Sadzący“ skrzywił lub przerobił plan pierwotny, w postarzałych koronach wieje dotąd imię kobiety, której impuls cywilizacyjny czujemy jeszcze dzisiaj przy schyłku wieku. „Księżna kuma“ niechętnie doradzała sadzenia drzew zagranicznych, chwalać stylem swym wdzięcznym i tklwym piękności drzew polskich. Dodawała jednak, że, gdyby kto chciał, „wolno mu będzie“ sprowadzać gatunki z zagranicy. Z tego pozwolenia skorzystał widocznie pan podkomorzy Okszyce, pradziad obecnego właściciela Bernatowic. W założonym przez niego parku, obok wielkiego bogactwa drzew krajowych, są i okazy rzadkie zamorskie. Każdy, kto tu przyjeżdża, musi obowiązko-

wo obejrzeć tulipanowiec, salisburyę i mimozy. W pobliżu dużego, półpiętrowego dworu, z frontonem greckim, noszącym datę 1808 i dziewięć łacińską, wznosi się też ładna oranżerya.

Jest lipiec. Kończy się upalny dzień.

Pan Stanisław Okszyce siedzi sam na tarasie od strony ogrodu i trzyma w ręku książkę. Na ławce obok niego rozrzucony stos fotografii ze starożytnych rzeźb i budowli. Okszyce nie czyta, utkwił oczy w jedną grupę drzew, gdzie brzoza świeżą zielenią odcina się od ciemniejszych dębów i świerków. Słońce leży już tylko na wierzchnich gałęziach, pozostawiając niższe w błękitnawym cieniu, a podszycie kłombów prawie w mroku. Na niebie bardzo dalekiem wierzchołki wzorują się nadzwyczajnie czysto: można-by policzyć szpilki na wyniosłych czubach modrzewi. Po-nad rzeczką i bliżej, nad murawą, komary tańczą szalenie, plamiąc powietrze siateczką szarą — i nie większe od komarów jaskółki szybują pod niebem. To na pogodę.

Płyną zapachy kwitnących akacyi i woń ziemi spoconej, już trochę sennej. Monotonny przyspiewek komarów przerwie czasem ostre bzyknięcie, jak dźwięk zerwanej struny: to jeden z tancerzy odłączył się od kolumny i zapragnął krwi pana Stanisława. Okszyce wtedy macha niecierpliwie ręką, albo puszcza kłęb dymu z papierosa. Nie można czytać na tym tarasie, a jednak szkoda wracać do domu.

Zahuczycy czasem spóźniony trzmiel, powracając z tupem do gniazda; woda szumi w zastawie; z pół dolatują pomieszane głosy ludzi i bydła — pogodne.

Okszyce odłożył okulary i przetarł zmęczone oczy. Jego twarz, młoda jeszcze, nie ma rumieńców; długi, cienki nos o nadmiernie wykrojonych nozdrzach porusza się nerwowem skrzywieniem. Ubranie wisi jakoś na panu Stanisławie. Nie dobrze wygląda w tym roku, chociaż powraca z podróży na Wschód, która miała mu posłużyć.

Jest to oryginał i marzyciel. Zamożny, bardzo wykształcony, poważany ogólnie, nie żeni się jednak do 35 roku życia i nie bierze się do żadnej produkcyjnej pracy. Rządzi trochę majątkiem, bardzo mało, czyta za dużo i to o rzeczach najmniej potrzebniejszych: o sztuce i archeologii. Brak mu, widać, ambicji.

Taką ma powszechnie opinię Stanisław Okszyce. Opinia ta jest oczywiście na-pół powierzchowna i na-pół fałszywa. Zdziwiono-by się, gdyby wiedziano, o czem teraz myśli ten uczony bez ambicji.

Myśli, czy usłyszcy wilgę. Lubi ten okrzyk rytmiczny ptaka, który wabi swą ukrytą między liśćmi towarzyszkę klasyczną inwokacją złożoną z samych trochejów:

— Fiufn! | fifa | fiju!

A samiczka odpowiada zalotnie w tonie przedłużonego spondeju.

— Nie brak będzie amateerek — rzekła pani Lisowa zbyt uprzejmie, aż Okszyca uczuł potrzebę ukłonić się zbyt nisko — pan ma tyle do powiedzenia... *A propos* może pan chce usiąść obok Halki, bo mój syn będzie zmuszony ją opuścić dla swych obowiązków wice gospodarza.

Okszyca odrzekł skwapliwie:

— Z największą przyjemnością.

Pani Lisowa ujęła szyldkretową lornetkę i szukała Halki po sali. Gdy ją spostrzegła w tańcu, rzekła:

— Ładna dziewczyna, ale kokietka. Nie wiem, jakie są pana wyobrażenia pod tym względem? Ja przyznam się panu pod sekretem, że nie bardzo jestem rada z jej towarzystwa dla moich córek. No, zaszkodzić im nie może, bo wychowane są bardzo czujnie. Poświęciłam temu wychowaniu najlepsze lata życia.

Mówiła dalej, że lubi Halkę, ale nie sądzi, żeby to był *genre* dla panienki bez posagu, bez nadzwyczajnych stosunków.

Okszyca, podczas gdy tak mówiła pani Lisowa, spoglądał na nią ze zmartwieniem. Nie wierzył jej słowom, tłómaczył sobie jej złośliwość przez wojujące uczucie macierzyńskie i nie oburzał się; ale bolała go każda dostrzeżona lichota i mierność.

Skończył się mazur i przechodzono tłumnie na kolację, a pan Stanisław nie zaprosił jeszcze Marliczównę, wahał się bowiem, czy być uprzejmym gościem i przypodobać się gospodyni domu, zapraszając inną pannę, czy natychmiast starać się o zawiązanie bliższej znajomości z tą śliczną panną Halką. Ten ostatni wzgląd pchnął go nareszcie do sali jadalnej.

Niestety, Halka siedziała już przy stole między dwoma mężczyznami, którzy dawno o te miejsca umówili się. Naprzeciwko siedział Franio Warecki z Anusią Lisówną, obok której drugie miejsce było wolne.

Pani Lisowa wpadła do sali, gorączkowo zajęta rozmieszczaniem gości i złapała za rękaw Okszyca:

— Panie Stanisławie! Zaprowadziła-bym pana między dygnitarzy, ale wiem, że pan woli z panienkami. O — proszę tu siadać.

I posadziła go obok Anusi.

Błękitna i różowa solenizantka wniosła się trochę z krzesła i zwróciła się bardziej w stronę pana Stanisława. Przez cały dzień wyróżniała go pomiędzy młodzieżą: w ogrodzie dała mu kwiatek, w mazurze chciała go wybrać jeszcze przed panną Marliczówną. Pan Stanisław był jej za to wdzięczny, nie mniej przecież Halka obchodziła go jedynie w całym towarzystwie i ucieszył się, że ją widzi przynajmniej naprzeciwko siebie i łatwo może do niej przemówić. Postanowił wciągnąć kilka osób, razem siedzących, do ogólnej rozmowy. Zaraz

więc na zapytanie Anusi, czy w długich swych podróżach nie odwykł od kraju, odpowiedział obszernie:

— Trochę odwykłem, i dla tego teraz bardziej jeszcze kraj mi się podoba; odkrywam w nim codziennie nieznanne albo zapomniane piękności. Naprzykład ta droga z Bernatowic do Rzędzina wydała mi się nową i bardzo ładną. Jaka tu kultura u państwa, jakie piękne folwarki! a nawet pewna dbałość o estetykę w tych dworach kolonistów przyszosie. U ludu ozdoba mieszkań jest już bardzo wysokim stopniem dobrobytu i rozwoju potrzeb duchowych. Rzadko ten stopień u nas się spotyka,

— Kiedy taka ładna droga, dlaczego pan tak rzadko nią jeździ?— spytała Anusia przymilnie.

— Od dzisiaj będę jeździł częściej, ale doprawdy nie znałem zupełnie okolic Rzędzina z tej strony, bo pierwiej dojeżdżałem koleją.

— Czy pan pamięta, jak był ostatnim razem? Chodziliśmy na grzyby.

— Panie wszystkie były wówczas tak duże, jak te karafki.

— O nie! ja doskonale pamiętam.

Wszyscy mniej więcej słuchali, co powie Okszyć. Przytem zajęci byli sumiennie kotletami z groszkiem. Jeden z sąsiadów panny Marliczówny odezwał się nareszcie do niej:

— Czy pani lubi grzybobranie?

— Szczególniej w „Panu Tadeuszu“ odpowiedziała Halka.

— Ma pani słuszność — wmieszał się natychmiast do rozmowy Okszyć, który czekał tylko na jej pierwsze odezwanie się — sceny rodzajowe w „Panu Tadeuszu“ pozostają dotąd niezrównane w naszej literaturze. A scena w karczmie, gdzie się zagrodowa szlachta wywodzi od książąt i od „tatarskich hrabiów“, i zazdrości sobie wzajemnie, i klóci się, i gardzi chłopem — i potem, gdy ją Robak zbiera do swej tabakiery, do polityki, — ona zaczyna rozmowę „o różnych taratki kształtach i czamary.“ Aż, gdy zrozumieli, że im Robak zwiastuje wkroczenie Napoleona, wpadają w zapal, kończący się okrzykiem: „wódki, miodu, wina..“ Czy to nie nasze życie? nie nasza historia cała?

— To nie są moje ulubione sceny — rzekła śmiało panna Marliczówna — bo w nich jest trochę, zdaje mi się, satyry. Wolę jeszcze inne, naprzykład początek, albo burzę, albo spowiedź Robaka, a najbardziej lubię to: „O roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju...“

Okszyć chwycił jej słowa uważnie, następnie prawie z rozrzwiniem.

— Jak mnie pani słicznie poprawiał! Rzeczywiście zwróciła pani uwagę na poetycką wartość, a ja bardziej na społeczną. Zupełnie jestem pani zdania.

Anusia, nadąsana trochę, wtrąciła swoje trzy grosze:

— Ja lubię całego „Pana Tadeusza“.

A Halka, uradowana z powodzenia, ciągnęła dalej:

— Przepadam jednak także za scenami „rodzajowemi“ jak je pan nazywa. Naprzykład na niedźwiedzie nigdy przecie nie polowałam, a z opisu Mickiewicza czuję, jaka to być musi okropna przyjemność. Może też dla tego, że lubię bardzo polowanie.

Tu odezwał się Franio Warecki:

— Panno Halino! prawda? rym!

Marliczówna błysnęła ku niemu swym krótkim, jaskrawym śmiechem, który Okszyce zanotował po raz drugi. Spojrzał na Frania, na Halkę — i zauważył, że iskry porozumienia sypią im się z oczu. Wytłómaczył to sobie tem, że Warecki musiał opowiedzieć pannie swój sen na bryczce.

Wznoszono toasty, gwar urósł. Pan Stanisław, nie chcąc przypominać o swej sąsiadce, Anusi, i to w dzień imienin, wypił bardzo grzecznie jej zdrowie i począł z nią rozmawiać o różnych drobiazgach, uprzejmie, myślał ciągle o Halce, nastawiając ucha na jej rozmowę, która teraz toczyła się o polowaniu z chartami.

— „Ja jestem ze stepu“ — dosłyszał.

— Widać, że pani stepowa, tak, z całej postawy i z noska, i z oczu.... — brnął ktoś w nieudane komplementy, na które Halka nie odpowiedziała uśmiechem.

Okszyce z zadowoleniem zauważył, że jest wesola, ale nie zalotna. Rozmawiał zaś ciągle z Anusią o byle czem.

Wtem panna Lisówna zapytała go:

— *A propos* ogrodnictwa: czy wyrzucił pan mój kwiatek?

— Ach! przepraszam panią bardzo! kładłem frak i gdzieś mi się ten kwiatek podział — szukałem go nawet.

— Dąm panu inny.

Zręcznie wyrwała bławatek z włosów i podała go Okszycowi, który bardzo dziękował i uczuł się w obowiązku włożyć go do butonierki.

W tej chwili Halka spostrzegła błękitną plamkę na wyłogu fraka pana Stanisława; spojrzała na niego z pewnem zdziwieniem, potem na Anusię, i przestała mówić.

Okszyce oddał-by wszystkie bławatki panny Lisównej za jeden biały płatek z rumianka panny Marliczównej, — ale nie mógł tego w żaden sposób wyrazić. Czuł się jednak zadowolonym, młodym, prawie

szczęśliwym. Jedna panna wyraźnie zaznaczała mu swą sympatyę, druga? — druga wydała mu się przez sympatyę tamtej zasmuconą... Widocznie mógł się podobać. Natychmiast jego uczciwa natura nakreśliła mu plan postępowania: z panną Auną nie będzie nadal rozmawiał, pannie Halinie owszem znacznie asystować. Teraz lub nigdy!

I łatwo zapalna jego wyobraźnia zaczęła pędzić w promienną przyszłość.

Nazajutrz był jeszcze bal w Rzędzinie, chociaż większa część sąsiadów rozjechała się. Na trzeci dzień podano obiad w lesie, bardzo wesoły. Okszyccy pozostawali jeszcze do jutra, zatrzymywani tyranicznie przez pana Lisa, który wywiódł swoją i jego genealogię aż do dzięsiętego pokolenia, z czego okazało się, że są krewnymi przez Sapienhów i Górków, i że on, Ignacy Lis-Derewieński jest prawnikiem jego, Stanisława Okszyca. Ztąd komitywa jeszcze większa, puhary i nazywanie się po imieniu.

Panie z Rzędzina stały się nieco zimniejsze w obejściu, gdy spostrzegli, że Okszyccy stanowczo zaczyna zajmować się Halką. Dlatego pan Stanisław, mimo chęci pozostania tu przez tydzień, czuł się obowiązany wyjechać prędzej.

Paru dni wystarczyło mu jednak do stwierdzenia idealnych stron charakteru Halki, która rozmawiała z nim chętnie, czuła jego wyższość umysłową, odpowiadała bez pretensyi, ale śmiało i z dokładną znajomością swoich środków intelektualnych. Odkrył w niej dużo intuicyjnego poczucia piękna, smak i subtelność w poglądach. Z lubością zapisywał w pamięci różne jej zdania.

— „Ranek to jest szczęście dnia“

Albo:

— „Nie lubię ludzi, którzy *chcą* mieć wolę.“

I dziwił się jej porządnej erudycji: mówiła dobrze po francusku, znała mitologię, czytała wszystkich wielkich poetów, znała się na gospodarstwie kobiecem.

Jedynie jej upodobanie do sportu, końskiego i łowieckiego nie znajdowało oddźwięku w duszy Okszyca. Ale tłómaczył to sobie potrzebą wydatkowania sił u tej młodej i zdrowej dziewczyny.

Pan Stanisław pokochał też odrazu matkę Halki. Była jeszcze ładna i podobna do córki, a przytem cicha, wykształcona, gorąco przywiązana do swej jedynaczki. Z nią mógł Okszyccy rozmawiać swobodnie o wszystkim: o nowoczesnej literaturze, o potrzebach kraju, na-

wet o miłości: znajdował w jej odpowiedziach echo sympatyczne dla swoich poglądów. Zapewne i Halka będzie taka, gdy z nią pomówi o wszystkim?...

Gdy raz pani Marliczowa wyraziła chęć zwiedzenia Lublina, pan Stanisław ofiarował się na przewodnika i usłużność tę przyjęła matka Halki z zadowoleniem, wyznaczyła termin za tydzień, prosząc, aby nie mówił o tem Lisom, bo.... byli-by może nie radzi.

Okszyz zrozumiał i rozpromienił się.

Na czwarty dzień po południu zaszła nareszcie przed dwór bryczka Okszyca, na którą wsiąść miał sam, bo Warecki pozostawał tu jeszcze do jutra.

Do przedpokoju wysypała się cała kolonia Rzędzińska. Wszystkich ogarniało rozrzewnienie. Pani Lisowa, nie wiedząc nic stanowczego o zamiarach Pana Stanisława, miała łzy w oczach, panna Anna ścisnęła go mocno za rękę, mężczyźni całowali go z dubeltówki, przystępując do niego kolejno, jak do człowieka wybierającego się na biegun północny. Pani Marliczowa, stojąc obok córki, powiedziała mu cicho:

— Proszę o nas nie zapominać.

Halka nie powiedziała nic, ale miała przecudowne oczy.

A u stopnia bryczki oczekiwał uroczyście pan Lis z pacholkiem, który trzymał na tacy dwa puhary z winem. Jeden z nich podniósł pan Ignacy pod słońce, pokazując Okszycowi wyrzynęty na szkle okręt i wiersz Horacego do Wergiliusza:

Reddas incolumem, precor,
Et serves animae dimidium meae.

— Nie bój się, tem winem nie otrujesz się, rzekł stary szlachcic widząc, że Okszyca przerażają rozmiary szkła.

I wolno, umiejętnie wypił „strzemiennego“.

Pan Stanisław wychylił puhar prędko, pożegnał się z panem Ignacym bardzo serdecznie, wskoczył rażno na bryczkę — i zobaczył jeszcze oczy Marliczównej.

Pierwszy raz od wielu lat poczuł się zupełnie szczęśliwym.

IV.

Czworo ludzi wchodziło bocznemi drzwiami, po południu, do pustego kościoła, o trzech nawach, z wielkiem presbyterium. Głosy ich przyciszone szły w górę, szemrały pod sklepieniami; twarze wzniesione oblewało blade górne światło. Dwie kobiety często skłaniały głowę

i żegnały się, mijając ołtarze. Wyższy z dwóch mężczyzn począł mówić głośniejszemu:

— Kościół Dominikanów założył Kazimierz Wielki w roku 1342 na miejscu dawniejszej kaplicy św. Krzyża. Ale ten gmach, który panie widzą, nie jest cały z owej epoki,—jest owszem bardzo ciekawym, składanym pomnikiem różnych epok, jak owe San Lorenzo, albo San Clemente pod Rzymem.

— Czy tamte są podobne?—spytał śliczny głos dziewczęcy.

— Ani trochę, proszę pani—ciągnął dalej przewodnik.—Chciałem tylko powiedzieć, że są tu, jak tam, aż trzy style odrębne, szczepione jeden na drugim, a powstały z następujących po sobie odnawiań. Więc są ślady pierwotnego gotyku krakowskiego, które paniom wskażę w kilku miejscach kruchty i zakrystyi; są następnie piękne pomniki renesansowe, pochodzące z odnowienia przez Firlejów, po pożarze w r. 1505; i znów barok włosko-jezuicki, panujący tutaj, datuje z odbudowania przez Janusza Tyszkiewicza, wojewodę kijowskiego, w r. 1653. Nie mówię o nowszych pomysłach, jak te naprzykład, bo są ohydne.

Wskazał na ozdoby z blachy, złote i błękitne, jednego z bocznych ołtarzy.

— Jaką pan ma szaloną pamięć i jaki z pana umiętny cicerone! —rzekła starsza pani.

— O! on wszystko widział i wszystko umie — dodał basowy, dźwięczny głos.

— Mój Franiu! nie rób-że mi reklamy i nie wyciągaj mnie na popis, bo-bym przedewszystkiem nie chciał zuodzić tych pań. A co do mej pamięci, przyznaję się, że mi ją silnie odświeżył przed przyjazdem do Lublina. Przejdźmy do Firlejowskiej kaplicy, o tu—na prawo.

Pani Marliczowa z córką stanęły rzędem, za niemi Warecki, a Okszyce wystąpił naprzód i, mimo, że chciał unikać profesorskiego tonu, wpadał w niego z konieczności. Zresztą było mu z nim do twarzy.

— Tu wchodzimy do epoki Odrodzenia. Te pomniki Firlejów: Mikołaja, kasztelana krakowskiego, hetmana wielkiego koronnego, i Piotra, wojewody ruskiego, wykute z bazaltu i porfiru, w stylu czysto włoskim, są z połowy 16-go wieku. Mają tu panie przed sobą dwie zwrotki całego kamiennego hymnu, który pozostał w Lubelskiem po Firlejach. Panie wiedzą zapewne, że nietylko nasze majątki należały niegdyś do Firlejów, ale Puławy, Knyszyn, Brzeszcza, Bochońnica, Markuszów, Janowiec, Parczew, Kock, Czemierniki, Końskowola, Dąbrowica, z której się pisali, Firlej, Firlejowszczyzna, Lewartów, nazwany od ich herbu Lewart, a przechrzczony przez Sanguszków na Lubartów,—setki miast i wsi dziedzicznych, oprócz starostw Krakow-

skiego, Lubelskiego, Kazimierskiego, Kowelskiego. Byli to w 16-ym wieku prawdziwi królowie małopolscy, bo nie tylko piastowali wszystkie najwyższe urzędy: kasztelanów krakowskich, prymasów, hetmanów, marszałków, podskarbie wielkich, ale wychowywali się w Rzymie, we Francji, w Anglii, w Holandyi, podróżowali po Europie, Afryce i Azji, mieli niby monopol missyi dyplomatycznych i traktatów z obcymi mocarstwami, bili się za ojczyznę, wznosili miasta, szkoły i niezliczone świątynie, czynili ogromne ofiary na wojsko i skarb państwa. Trzęśli Rzeczpospolitą, to prawda, ale ją wzbogacali, cywilizowali i mocno kochali. To też Zygmunt August w jednym nadaniu pisze do Firlejów, że mało jest rodzin, które można z nimi porównać, ale żadna nie może być przed nimi postawiona w cnót i dzieł splendorze.

— I już ich niema zupełnie?— spytała Halka.

— Już dawno niema.

Wyprowadzając towarzystwo z kaplicy Firlejowskiej, Okszyce stanął na pragu i wskazał kościół:

— Większe jeszcze wspomnienia mieszkają w tych murach. Sejm lubelski 1569 roku, sejm Unii, odbył się w tym kościele.

Obie kobiety i Warecki rzucili okiem po nawach kościelnych i wydały im się obleczone nową powagą, chociaż nie takie, jak je sobie wyobrażali, bo każdy nosił w myśli inny, większy obraz tej sceny ogromnej: Unia Lubelska. Spojrzeli potem, niby trwożnie, w oczy Okszyca, gorączkowo błyszczące.

Tymczasem Okszyce prowadził ich do kaplicy Niepokalanego Poczęcia i, przechodząc od XVI do XVII wieku naszej przeszłości, od razu spuścił z tonu. Oddźwięczna jego dusza nastrajała się, jak arfa. Tłumaczył paniom historyczną wartość wielkich obrazów, prawdopodobnie polskich, przedstawiających różne zasługi synów Dominika; zwracał uwagę na wpływy włoskie w tych malowidłach, mimo, że powstały w epoce, gdzie te wpływy na innych polach ustępowały już niemieckim i francuskim. Mówił z mniejszym zapalem, przedzierzgnąwszy się naraz w drobiazgowego historyka, w antykwaryusza, w scholastę. Pokazywał szczegóły, pięknie rzeźbione odrzwia, strzelał, jak mówi Krasicki, z „Distinguo“ i z „Barocco“

— To dużo mniej ciekawe— rzekła Halka.

— Prawda? i ja to myślałem— dodał Franio.

Tylko pani Marliczowa chodziła za Okszycem, jak za wyrocznią, notując szczegóły jego tłumaczeń bez ładu, niby wolny słuchacz na uniwersytecie, nie dostatecznie przygotowany do objęcia wykładu profesora. Ale pani Marliczowa pragnęła się jeszcze uczyć przez poszanowanie dla nauki. Wypytywała więc Okszyca o każdy obraz, o każ-

dy kamień napisowy, który jej wpadł w oczy, a pan Stanisław odpowiadał ze słodyczą, bez cienia nawet pobłażliwości w głosie. Czujny był jednak głównie na zapytania lub uwagi Halki.

Ładna panna chodziła już teraz po kościele z pewnem znużeniem, ukrywając je przez wzgląd na Okszyca, o którego opinię dbała. Czasem więc dodała jaką uwagę, zaczerpniętą z poprzednich słów pana Stanisława, a on radował się i odnajdywał w niej skarby pojętności.

— To znowu coś z epoki Odrodzenia, może trochę późniejszej—prawda, panie?—rzekła, wskazując pomnik naprzeciwko kaplicy św. Jacka.

— Wybornie, panno Halino! Jest to pomnik Piotra Firleja, wojewody lubelskiego z r. 1619. Styl jego jest wyraźnie wcześniejszy od daty. Zawsze styl naśladowców idzie spóźniony za stylem twórców, czasami o ćwierć, o pół wieku, jak w tym wypadku. Mniejsze talenty czekają zwykle, aż jakiś rodzaj w sztuce stanie się modą i dopiero wtedy wkładają swoje pomysły do gotowych form.

— To tak, jak nasze powieści — wtrąciła Halka, mniej pewna siebie.

— Po części—odrzekł Okszyca—nie wszystkie, ale większa część. Pani ma wielki dar do porównań.

Przeszli do zakrystyi, gdzie starożytne hafty pobudziły panie do przeglądu bardziej fachowego, niż artystycznego. Obie myślały, jakiby to z tego mogły być suknie i kanapy, ale się z tem nie odezwały, czując niewłaściwość nuty. Pan Stanisław, pomileczawszy nieco przy oglądaniu haftów, zabrał znowu głos, gdy zakrystyan odsłonił wspinałą monstrancyę, srebrną złoconą, w stylu już barokowym, ze ślicznemi emaliami na złocie, pochodzącemi niezawodnie ze starszego, renesansowego relikwiarza.

Rozpoczął znowu wykład o nowych freskach w zakrystyi, skopiowanych ze starych płócien, a gdy weszli do chóru klasztornego, wielkim półokręgiem umieszczonego za ołtarzem, rozwiódł się o fundacyi tego chóru przez Janusza Tyszkiewicza, o rzeźbionych stallach, pulpitych i obrazach.

Wpadł znowu w ferwor i nie zauważył, że mówi już wyłącznie dla pani Marliczowej.

Halka, rzuciwszy mdłym okiem na tonący w zapyłonym półmroku chór, wysunęła się naprzód, zdążając ku przejściu od chóru do presbiterium. Poszedł za nią Franio i znaleźli się w pewnem oddaleniu od grupy rozprawiającej. Halka błysnęła nagle oczyma i zapytała cicho:

— Jakim sposobem znalazł się pan w Lublinie?

— Jakim sposobem? Ja oddawna wiem, co pan robi i gdzie jest, dokąd się wybiera—mam swoich szpiegów.

— Tak? To niebezpieczny z pana człowiek... chociaż ja nie mam nic do ukrywania, a także rada jestem zawsze pana widzieć.

— Panno Halino!—rzekł Warecki cicho i gwałtownie, czyniąc ruch ujęcia jej za rękę, który powściągnął.—Był-bym poprostu nie-szczęśliwy, gdyby się pani na mnie choćby skrzywiła.

— A dokąd pan teraz jedzie?

— Do... do... Czy ja wiem? — rzekł, pokazując zęby — jutro się zdecyduję.

— A cóż szpiegowie mówią?

— Szpiegowie donoszą mi tylko o tem, co się stało; już ja sam zgadnę, co będzie.

Marliczówna spoważniała i rzekła:

— A ja nie wiem, co będzie. Przyszłością swoją rozporządzają tylko ludzie bogaci.

Zawiesiła w powietrzu to westchnienie i rozejrzała się po mrocznym chórze. Warecki mienił się na twarzy, jakby walcząc ze sobą. Tymczasem oboje przeszli między ścianą i ołtarzem, znikając z oczu matki i Okszyca.

— Lepsze od bogactwa jest serce — rzekł Warecki poważnie—sam Okszyc to mówi.

— Czy on tak mówi?—zapytała ciekawie Halka.

— To jest .. on tak mówi, a ja czuję. Panno Halino! ja nie jestem mocno uczony, ani bogaty, ale czuję szczerze i gięboko.

Dziewczyna przesunęła po nim wzrok swój głaszczący, jak dotknięcie. Wareckiemu brwi ściągnęło gwałtowne, dziecinne postanowienie. Ujął Halkę za rękę i rzekł:

— Panno Halino, niech się dzieje, co chce, muszę pani powiedzieć...

— Panie! tu kościół! — rzekła Marliczówna przestraszona, cofając rękę.

Poszła prędko przed środek wielkiego ołtarza i uklękła, zasłaniając twarz rękoma. Po chwili jednak odsłoniła twarz zapłonioną i, zwróciwszy się do Wareckiego, ruchem rozkazującym wskazała mu miejsce obok siebie na kamiennej posadzce.

On bez namysłu przyszedł i ukląkł. Klęczeli tak z przymkniętymi oczami, skupieni, owionięci pobożną wonią kadzidła, snując w myśli prastare pacierze, a z serc wysyłając jedno zapewne pragnienie do Kierownika losów.

W tej chwili Okszyc i pani Marliczowa, okrążywszy ołtarz, znaleźli się z boku klęczącej pary.

Pan Stanisław miał czas objąć okiem ten nowy obraz i szybkim odruchem zawołanego estetyka stwierdził najprzód, że jest piękny. Potem dopiero zadał sobie pytanie: co oni tu robią, zwłaszcza gdy Franio i Halka powstałi pośpiesznie, jakby zawstydzeni, że ich złapano na gorącym uczynku—modlitwy.

Skierowano się ku wyjściu, zatrzymując się jeszcze tu i owdzie, a gdy opuszczono wnętrze kościelne, uderzyło wszystkich gorąco i jasność dnia: w kościele zdawało się, że już nadszedł wieczór.

Obejrzano jeszcze powierzchownie Zamek, Trybunał, bramę Grodzką i Krakowską, ale pan Stanisław poczuł, że panie dosyć już mają tych oględzin. Ucisnęły serdecznie rękę Okszyca, dziękując i „nie chcąc już nadużywać jego dobroci.“

Nazajutrz pani Marliczowa z córką miała wyjeżdżać znów do krewnych na wieś, nie posiadała bowiem własnej siedziby wiejskiej. Pamiętając lepsze czasy za życia rodziców i męża, pani Marliczowa nazywała „u nas“ Podole, gdzie było kilka majątków w posiadaniu Marliczów.

Okszyc dowiedział się, że panie będą we wrześniu w Warszawie i pozostaną tam dłużej. Zapytał, czy pozwolą się odwiedzić zaraz po przyjeździe i wymyślił nawet powód do zamiany listów z matką. Pani Marliczowa, zupełnie ujęta przez dystynkcyę i dobroć pana Stanisława, widząc w nim przytem „dobrą partyę“ dla Halki, przyjmowała chętnie jego uprzejmości wstępne, i Okszyc uczuł, bez wyraźnych porozumień, że zjednał sobie w matce stronnika. Z córką nie mówił dotychczas o niczem innem, tylko o sztuce, o znajomych, czasem, bardzo dyskretnie, o jej upodobaniach.

Tak więc rozstano się aż do września.

V.

Pod koniec października pan Stanisław powrócił z Warszawy do Bernatowic. W Warszawie przebył sześć tygodni, cały sezon wyscigowy jesienny, i widywał często swoją ukochaną.

Kochał ją teraz bardzo podniosłem i bolesnem uczuciem; był przekonany, że ona urzeczywistniła-by jego idealne wymagania, gdyby pokochała go tak, jak on ją kocha; czuł, że w duszy tej, dziecięcej jeszcze, drzemią bohaterstwa poświęcenia i zachwyty wielkiej miłości; ale zdawał sobie sprawę, że ich jeszcze nie obudził. Dręczyło go

więc mnóstwo pytań, a najważniejsze to: czy on ma prawo żenić się z nią, jeżeli ona mogła-by kogo innego pokochać goręcej?

Zadawał sobie to pytanie i dzisiaj, obchodząc po raz dziesiąty park, zasłany żółtą powodzią opadłych liści. Szedł prędko, bo od pewnego czasu czuł potrzebę szybkiego ruchu i zmęczenia, po którym zapadał wprawdzie w apatyę, ale inaczej nie mógł sypiać, nie mógł usiedzieć przy swym samotnym obiedzie; miał nerwy rozdrażnione bardziej, niż kiedykolwiek.

Bardzo dawne jego pragnienie kobiety doskonale dostrojonej do jego rozumień i wyobraźni, paliło mu teraz pierś pożerającym płomieniem. Ona jest, istnieje na ziemi, nazywa się Halka. Ale to jeszcze Galatea, zimna, nie ożywiona iskrą *mojego* życia.

Mówił do siebie nawpół głośno, a wokoło niego wiły się czarne, konary dębów błagające, splecione z wiotkimi brzoźami, które, senne, spuszczały ku ziemi swe włosy, nieutrefione zielenią.

Nagle pan Stanisła w uśmiechnął się boleśnie:

— Ja Pigmalion? Mój Boże!

I wszedł w aleję, oświetloną jeszcze przez gąszcz grabów, z których sypały się rdzawe liście, kołysząc się przez chwilę na powietrzu, spadając cicho na drogę, usłaną już grubym, szeleszczącym kobiercem. Okszyce przypomniał sobie wiersz, którego się uczył na pamięć, będąc dzieckiem:

De la dépouille de nos bois
L'automne avait jonché la terre,
Dans le vallou solitaire
Le rossignol était sans voix.

Triste et mourant à son aurore,
Un jeune malade, à pas lents,
Parcourait une fois encore
Le bois cher à ses premiers ans...

— Cóż znowu! nie jestem chory. Trochę szarpnęło mnie to życie warszawskie, ten kurz, potem znów mgła — i wzruszenia. Tak mi jest, jak przeszłej jesieni. Jesień zawsze najgorsza.

Uderzył się w pierś, chcąc ją wybadać, ale biedne płuca zajęczały i pan Stanisław ciężko zakaszał.

W Warszawie stroił się, watawał ubrania dla zaokrąglenia chudych ramion i zapadłej piersi, czyniąc sobie w duchu wymówki za te niewinne oszukaństwa. Krawiec mu mówił, że to nowa moda. Ale on dobrze wiedział, że modą najnowszą jest być zdrowym i pięknym Naprzykład Warecki...

Franio gdzieś przepadł. Ostatni raz widział go Okszcyc w Lublinie; potem w Warszawie otrzymał od niego dwieście rubli, zwrócone z krótkim podziękowaniem. Od przyjazdu pana Stanisława na wieś również nie pokazał się Warecki w Bernatowicach, gdzie dawniej co parę dni zajeżdżał. Ale Okszcyc myślał o nim często i—dziwna rzecz—z powodu Halki.

Siłą wyobraźni lotnej i trochę nieokiełznanej przedstawiał sobie, właśnie, gdy się czuł niezdrów, że ma powierzchowność Wareckiego: duszę swoją, a postać Wareckiego. I wtedy podchodził do Halki śmiało—w wyobraźni—oświadczał się jej gorąco i bez zastrzeżeń, nie tak, jak to uczynił rzeczywiście, oświadczając się matce, prosząc o grutowne wybadanie córki i o odpowiedź piśmienną, na którą oczekiwał temi dniami.

Nie obce było nawet Okszcycowi przypuszczenie małżeństwa między Halką a Franieniem. Ten romantyk układał je czasem w myśli, cierpiąc, starając się wmówić w siebie, że szczęście osoby kochanej droższe mu być powinno od jego własnego szczęścia. Ale rozważał ściśle, czy Franio, ze swą dobrą, lecz niewykwintną naturą, może sprostać skrzydłami takiej kobiecie, jaką przeczuwał w Halce. Dochodził do wniosku, że nie—i to było usprawiedliwieniem jego własnych zamiarów, których się nie wyparł.

Chodził dalej po ogrodzie, pragnąc oderwać się od swych myśli sprzecznych i bolesnych. Rozejrzał się po gaiku z ciemnych świerków, które sam posadził dla zakrycia niepokąźnych widoków, i ucieszył się, że dobrze rosną. Potem namyślał się, jakby przeciąć miejscami zbyt gęste masy drzew, rozrosłych nadmiernie od czasu narysowania ogrodu przez pradziada. Wkrótce machnął ręką:

— Po co to? Jeżeli Halka będzie kiedy chodziła ze mną po tym ogrodzie, ona to sama robi. Ale nie widzę jej tutaj, a gdy ją zobaczę we śnie, nigdy nie opiera się o moje ramię.

Okszcyc miewał często sny, które go uderzały realizmem szczegółów. Nie wierzył w ich własności prorocze, zajmował go jednak świat snów swą logiką osobną, potęgą obrazowania i nadzwyczajnymi skrótami wrażeń.

— Jak mi dzisiaj niedobrze!

Zapiął pod szyję watowany kubrak i wstrząsnął się. A dzień nie był zimny, tylko szary i źwiewdły; nie było prawie przestrzeni między wierzchołkami wielkich drzew, a mętnym niebem, po którym leniwo płynęły smutne wrony i kawki.

Pan Stanisław wrócił do domu i zobaczył na zwykłym miejscu, w pokoju, zwanym biblioteką, torbę pocztową, przynoszącą mu codziennie listy i gazety do Bernatowic.

— Jestem pewien, że znajdę coś złego — rzekł, otwierając torbę. Był list od pani Marliczowej. Zanim go otworzył, Okszyca starał się wytłómaczyć sobie, że list zawiera odmowę. Nie może być inaczej. Całe zachowanie Halki w Warszawie było przyjazne, ale nie inne.

— Właściwie ja nie mam prawa z nią się żenić. Są ludzie nie dla szczęścia stworzeni.

Krótki list matki był tylko wstępem do własnoręcznego listu Halki. Pani Marliczowa, serdecznie zapewniając o swym szacunku i przyjaźni dla Okszyca, odsyłała go do słów córki, o której szczęście tu chodziło. Okszyca, z bijącym sercem rozwinął arkusz, pokryty ładnym pismem, pierwszy raz widzianem, i przeczytał:

Szanowny panie Stanisławie!

Mama powiedziała mi o wszystkim i pozwoliła do pana napisać, Pan jest inny, niż reszta ludzi, i dlatego ośmielam się to powiedzieć, czego-bym za nic w świecie nie powiedziała innemu. Wybór pana pochlebia mi naprawdę,—nic tu nie piszę dla frazesu,—ale i zasmuca, bo nie umiem panu ukryć, że nie jestem taka, jaką pan mnie widział i chwalił przed Mamą. Popisywałam się przed panem całą moją nauką, nic prawie nie umiem więcej, i robiłam to dlatego, żeby pan nie miał o mnie złego wyobrażenia. Także mało mogę myśleć i krótko o rzeczach trudnych, lubię też się bawić, dużo bardziej, niż czytać albo rozmawiać. A pan mnie ma za naturę dystygowaną i dlatego pewno pomyślał o mnie. Więc kiedy jestem taka, jak tu piszę bardzo szczerze, nie mogła-bym być pana towarzyszką. Proszę się na mnie nie gniewać, bo doprawdy bardzo cenię pański rozum i dobroć, ale, jeżeli kiedy wyjdę za mąż, to za równego sobie człowieka, któremu będę mogła towarzyszyć w jego myślach i zajęciach. Pan-by prędko poznał, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Piszę dlatego sama, że bardzo dbam o pana i myślę, że pan przyjmie lepiej proste, moje słowa, niż tłumaczenie ich przez Mamę, która-by może chciała mnie osłonić. Proszę przyjąć serdeczne zapewnienie stałej przyjaźni od

Halki Marliczównej.

Pan Stanisław, przeczytawszy list, przeprowadził wolno dłoń po czole i po kamizelce. Spojrzał potem w ogród jeszcze posepniejszy, bo zaszło słońce i cień rozkładał się bez wdzięku, bez powietrza, na szare, niewyraźne masy i przestrzenie.

— Dobra, że napisała sama — rzekł.

Tej nocy miał gorączkę i przez następny dzień nie wychodził z domu. Znowu w nocy snuły mu się przez głowę ciężkie mary, lecz nad ranem zasnął spokojniej i obudził się raźniejszy, widząc przez szparę okiennicy, że słońce świeci na dworze. Okszyca, jak wszyscy ludzie nerwowi, był bardzo wrażliwy na pogodę.

Napisał list do Wareckiego, zapraszając go do Bernatowic, bo sam jest niezdrowy i nie może do niego się wybrać.

Po południu przyjechał Franio, jak zwykle, konno, ale nie miał właściwego sobie humoru i znacznie przybladł, co mu dodawało jeszcze męzkości i nerwowej energii.

— Cóż to? chory jesteś? — rzekł Warecki, wchodząc do biblioteki, gdzie go oczekiwał Okszyca, ubrany zwyczajnie i udający wesołość, — wyglądasz dobrze, nabrałeś nawet rumieńców.

— Tak, udałem trochę chorego, żeby cię sprowadzić — odrzekł pan Stanisław. — Od wieków cię nie widziałem. Co porabiasz?

— Pracuję.

Okszyca zauważył pewną szorstkość w tonie Wareckiego, ale, bynajmniej nie zrażony, pytał dalej po przyjacielsku:

— Pracujesz tak zapamiętałe? Nad czym?

— Ho — mam dużo projektów. Najprzód zakładam u siebie rybołówstwo.

— Dobra rzecz, jak się uda. Ale skąd ten nagły zwrot w przyzwyczajeniach? Nigdzie cię nie widać.

— Doszedłem do przekonania — odrzekł Franio gorzko, — że tyle człowiek wart, ile ma pieniędzy. Muszę koniecznie zbożać się, bo bez tego ani rusz.

— Zapewne, zapewne... Nie wszyscy jednak ludzie kierują się względami pieniężnymi. Znam na przykład takie panny...

— O! co tych, to ja nie znam! — zawołał Warecki.

— Owszem — panna Marliczówna.

Franio zmieszal się, spojrzął na Okszyca z ukosa, a potem wykrztusił:

— A cóż panna Marliczówna? Gałają, że się z nią żenisz?

— Już nie będą gadali. Dostałem odkosza.

— Jakto? co ty mówisz?

Pozbył się nagle swej sztywności i z najwyższem zajęciem przyśunął się do krzesła Okszyca. Ten rzekł:

— Słuchaj, Franio. Porzućmy obaj ten ton i pomówmy po dawnemu, jak krewni i przyjaciele. Ja nie mogę lekko o tem mówić, bo mnie panna Marliczówna za głęboko, za serdecznie obchodzi. Jest to śliczna i dobra kobieta.

— Jakto? sądzisz ją tak, dostawszy odmowę?..

— Jak-że bym mógł inaczej?—odrzekł Okszyca, podnosząc nieco głowę.—A ty, Franiu, co o niej myślisz?

Warecki kręcił się na krześle; spojrział na bladą, poważną twarz Okszyca i rzekł gwałtownie:

— Mój Stachu! Kiedy jesteś ze mną szczerzy, to i ja ci powiem. Myślałem już, że przestanę być twoim przyjacielem. Ja żyć nie mogę bez tej dziewczyny!..

— Kochasz ją?—zapytał Okszyca trochę rwącym się głosem.

— Mój Stachu! Przebac mi, chociaż nic, prawie nic przeciwko tobie nie uczyniłem. Skoro tylko dowiedziałem się, że wyraźnie o nią się starasz, uciekłem, bo pomyślałem, że to nieuczciwie współzawodniczyć z tobą, który mi jesteś przyjacielem, a jej możesz dać i majątek, i pozycję, podczas, gdy ja, oprócz że ją serdecznie kocham, cóż jej dać mogę dzisiaj?..

— Powiedz, Franiu—możesz mi to powiedzieć: czy jej kiedy mówiłeś o swoim uczuciu?

— Ach, tak zupełnie—nigdy... tylko raz, w Lublinie, musiała zgadnąć, choć nic jeszcze nie powiedziałem.

— W Lublinie?

— Tak, u Dominikanów. Coś tak mnie wzięło za gardło, że ledwo nie wypaplał.

— A ona co odpowiedziała?

— Nic. Kazała mi uklęknąć obok siebie—i nic więcej.

Okszycowi przemknął w pamięci obraz obojga młodych, klęczących przed wielkim ołtarzem. Więc i wspomnienie odwiedzin kościoła Dominikanów, jedno z jego najlepszych wspomnień, nie należało już do niego... Przymknął oczy i ścisnął ręką skronie, a gdy po chwili odkrył twarz, miał wyraz podniecony, niemal wesoły, którego Franio nie zgłębił.

— To dobrze, żeś się wziął do pracy, Franiu. Masz całe życie przed sobą i... możesz się ożenić z Halką Marliczówną.

— Stachu! takich, jak ty, ja nie znam!—zawołał Warecki, zrywając się z krzesła i wyciągając dłoń do Okszyca.

— Jakto, mój drogi?—cóż w tem dziwnego, że ci radzę? Przecie mówiłem, że dostał odkosza. Zresztą mnie się już nie żenić... Chciałem ci jednak powiedzieć co innego.

Warecki chodził teraz po pokoju wzburzony, rozrzewniony i zakłopotany zarazem. Okszyca, zgadując jego wahanie, zapytał:

— Myślisz o przyszłości i czy masz niby... prawo żenić się bez dostatecznych zasobów materyalnych?

— Widzisz, — rzekł Franio, uśmiechając się dziecinnie, a razem energicznie, — za dwa, trzy lata wyratują mnie te ryby. Nie drwij ze mnie; obliczyłem, że w trzecim roku, jeżeli wyrost będzie nawet średni, będę mógł sprzedawać rocznie za 4000 rubli. No — koszt założenia, utrzymania... Ale jak się wezmę do tego rękami i nogami, potrafię utrzymać siebie i żonę. Tylko jeszcze trzeba czekać co najmniej dwa lata.

— Dobrze, załóż sobie rybolówstwo, zbuduj młyn amerykański, albo fabrykę przetworów leśnych. Pożyczę ci na hypotekę twego folwarku 100,000 rubli.

— Taak! — odrzekł Franio, nie przestając chodzić po pokoju i biorąc za żart słowa Okszyca, — cała moja Baranówka warta netto może 35,000. A sam procent od takiej summy...

Okszyc powstał i, kładąc rękę na ramieniu Wareckiego, rzekł dobitnie:

— Pożyczam ci 100,000 rubli i bardzo cię proszę, abys ich nie odmawiał. Procentów nie chcę, a oddasz mi, gdy się dorobisz drugich stu. Niema gwałania, jestem twoim wujem i chcę ci pomódz w życiu. Dlatego cię dzisiaj sprowadziłem.

Franio patrzył na Okszyca zrazu bezmyślnie, bo wszystkie jego pojęcia o ludziach były sprzeczne z tem, co slyszal, i nigdy nie zdarzyło mu się zajrzeć w tak błyszczące oczy człowieka. Ale gdy narzeczcie zrozumiał, że ten nadzwyczajny dziwak chce cudzego szczęścia, — jego szczęścia — coś mu zagrało w piersi i, objawszy w pół chudą postać pana Stanisława, oparł głowę na jego ramieniu.

Okszyc położył kościste ręce na miękkich włosach Frania i uściaskał go po ojcowsku:

— Tak, mój chłopcze, rzecz skończona: jutro jedziemy do regenta, do Lublina, a stamtąd ruszysz zapewne do Warszawy, gdzie wiesz, co masz uczynić. A pamiętaj, co ci zawsze Okszyc mówił o miłości. To nie są stare bajki. to zapomniane wielkie prawdy.

Dziesięć minut potem pan Stanisław usłyszał pod oknami rozgłośny galop konia Wareckiego, jakiś tryumfalny.

VI.

Około połowy listopada Okszyc otrzymał list od pana Lisa, który go prosił na polowanie do Rzędzina, prawil mu mnóstwo komplimentów, ściszał, całował i przesyłał ukłony „od jednej i drugiej Anusi“, najczulej go ciągle wspominających. Pan Stanisław odpisał, że

niezmiernie żałuje, ale jest chory i, skoro tylko będzie mógł, wybierze się do ciepłych krajów.

Listopad włókł się, szary i zimny. Od paru dni wiał silny wiatr północny, ścinając ziemię mrozem—i urosł nareszcie w suchą burzę. Drzewa około domu zahuczały nieprzerwanym basem i czasem tylko głos się wznosił, wpadając w gardła kominów. Jednak granie to, chociaż ponure, było harmonijne, bo natura nie zna prawie nut fałszywych. Okszyce, patrząc na walczące z burzą wierzchołki jodeł, na szalone wiry żółtych liści, porywanych z ziemi w kręgosłupy, słysząc ciągle wycie wiatru, rozlane w przestrzeni, jak grzmot nierytmiczny, myślał, że, zanim przyjdzie w całej swej grozie, otrąbia się zima.

Pewnego ranka, po zimnej nocy, którą odczuł boleśnie w płucach, pan Stanisław wyjrzał przez okno i zmrużył oczy przed ogromnym blaskiem. Jakby drzewa dostały naraz białych liści, całą ich przejrzystość napelniły jaskrawe, bajeczne puchy szronu, sypiąc iskry pod słońce. Ledwo gdzieś czerniało wewnątrz jodły obwisłej, albo odzimek grubego drzewa. Oddalenia stały się nieobliczalne w tej rozlanej i piętrzącej się bieli o jasno-błękitnych cieniach, i park był zmieniony do niepoznania, zaczarowany w jakąś wizję polarną, pełen czystej powagi i śmiertelnej świetności.

Pan Stanisław chodził od okna do okna, bał się bowiem wyjść i odetchnąć świeżym zapachem pierwszego śniegu. Nigdy nie czuł się tak bojaźliwym fizycznie, jak tej jesieni.

Tego dnia otrzymał telegram od Frania z oznajmieniem o zaręczynach jego z Marliczówną.

Okszyce ucieszył się. Już był pożegnał swoje pragnienia, uważał je za niemożliwe i niewczesne, życzył zaś rychłego spełnienia szczęścia, do którego sam się przyczynił.

Zima, ukazawszy się raz w swej najpiękniejszej szacie, schowała się znowu. Po paru tygodniach słoty i wichrów, pan Stanisław poczuł się znacznie gorzej: samo oddychanie zaczęło go kłuć w piersiach. Lekarz wyprawił go niezwłocznie do Cannes, ale on się ociągał, chciał bowiem przed wyjazdem zostawić swe papiery w porządku.

Zabrał się do pisania testamentu. Po krótkim wahaniu, czy zostawić Bernatowice w rękę krewnych swego nazwiska, doszedł do wniosku, że, nie mając żadnego bliższego krewnego Okszyca, między dalszymi nie widzi wybitnej osobistości, ani przyjaciela. Jednym więc zamachem pióra uczynił Franciszka Wareckiego swym ogólnym spadkobiercą, włożywszy na niego obowiązek wypłacenia kilku znacznych zapisów na instytucje naukowe i dobroczynne w kraju, oraz kilku legatów dla krewnych i sług.

— Ale Bernatowice będą w ręku Halki — pomyślał. — Ona będzie gospodarowała w starym dworze i w parku, gdybym umarł...

Nie wybierał się jednak na tamten świat koniecznie i z upodobaniem. Czynił tylko to na wypadek śmierci, co uważał za potrzebne do logicznego i godnego przedłużenia swej pamięci na ziemi.

Śpieszył, bo czuł się chorym. Listy i dokumenta miał w porządku, ale jedną jeszcze rzecz chciał przekazać spadkobiercom: swój dziennik.

Był to raczej pamiętnik filozoficzny, w którym znajdowały się, z powodu wypadków jego życia i epoki, różne uwagi o pięknie, o miłości i o altruizmie. Martwiło go to, że nie ujął teorii swych w pismo systematyczne, chciał bowiem, żeby jego wywody i doświadczenia nie przepadły. Wieczorami pisywał więc dużo aż do późnej nocy, poczem nie mógł zasnąć, albo spał niespokojnie. Podniecona wyobraźnia pracowała dalej i Okszyce snił teraz co noc, aż go wspomnienia snów ściagały na jawie.

Świat snów był dla niego drugim, równoległym życiem, rozwijał się na prawach swych osobnych z dzieciinną, ale potężnie twórczą logiką, a nawet miał poniekąd swój grunt realny, nie zaczerpnięty jednak z dotykanej rzeczywistości. Okszyce znał naprzykład krajobrazy, nigdy nie widziane na jawie, a powtarzające się w jego snach, niektóre od lat dzieciennych. Pamiętał szczególnie wrażenie tych widoków i wrażenie wracało zawsze takie samo, tylko zarysy ulegały małym zmianom. Czasem też zjawiały mu się we śnie nieznanne osoby.

Korzystając z paru dni znośniejszej pogody, pan Stanisław wyszukał w parku grupę brzoź, „przywoitą do osłonięcia monumentu lub pamiętki“, i położył pod nią duży polny kamień, szlifowany z jednej tylko strony, na którym kazał wyryć napis:

Tibi Amor Aeterne.

Kamień ten, w stylu puławskiej Ogrodniczki, dawno zamówiony, przyszedł dopiero teraz, późną jesienią, do Bernatowic. Okszyce położył go w miejscu upatrzonem i zadumał się smutno nad pytaniem, jak ten kamień będzie wyglądał na wiosnę?..

Tego dnia pisał znowu do późnej nocy, lecz, położywszy się spać, zasnął prędko, bez bólu w piersi, prawie bez troski.

Sen ulitował się nad niedolą człowieka i wyprowadził duszę z nędznego ciała w dobre krainy.

Tak—zasnąłem w parku na zimnych liściach, bo była jesień, ale teraz już wiosna... Jak pachną te kasztany, stojące w długich rzędach podwójnych, jak te konie wiedeńskich fiaków pędzą z wyuzdaną fantazyą! I tłum cały śmieje się, bo muzyka gra ze wszystkich stron i jest wielkie święto na Praterze... Siądźmy przybyłe jakim stoliku, moja Miła, wmieszajmy się w ten tłum mieszczański, ale taki grzeczny. Patrz—powstali wszyscy i kłaniają się nam.

Ładną mamy podróż ślubną? Prawda, jak nam dobrze ze sobą? Ale mówny coś do tych panów i pań, którzy się do nas przysiedli.

Jak Ona ładnie rozmawia i jak się wyróżnia od tych Paryżan, którzy tylko mówią, aby się popisać frazesem. Jaki ma śliczny półobrót głowy do mnie i błyski porozumienia w uśmiechniętych oczach! Masz słuszność, ja myślę to samo, co Ty, moja Jedyna; my nie możemy inaczej myśleć, bośmy dla siebie stworzeni od wieków. Jak to się jednak dzieje, żem Cię nigdy nie widział pierwej? Nawet nie podobna jesteś do żadnej z moich znajomych, a przecież, choć tak niedawno poznana, jesteś zupełnie moja.—I dlatego jesteś piękna, żeś taka moja — i dlategoś dobra, żeś moja. O tak—daj mi rączkę pod stołem, taką ciepłą, choć w duńskiej rękawiczce.—Usta twe pachną malinami. Jakie twe oczy mgliste przy pocałunku.

Oni Cię mają za francuskę, boś taka zgrabna i żywa, gdy rozmawiasz.—Niech sobie! Wszystko nam jedno, co o nas ludzie myślą.

Czas jechać, bo się spóźnimy. Po co te paryskie fiakry wszystkie zamknięte? A tu właśnie wjeżdżamy na mój most i trzeba wysiąść, bo to jeden z najpiękniejszych widoków świata. Ślicznie zgarniasz suknię, wsiadając.

Patrz na lewo! Te nieprzeliczone rzędy kolumn, jedne nad drugimi, piętrzące się ponad rzeką, za mgłą błękitną, co powstaje z wody, zakłeta przez Claude Lorraina. Najniższe są assyryjskie, wyższe doryckie, potem jońskie, korynckie, toskańskie. Każde pokolenie dodaje więcej tych ogromnych portyków, po za którymi są śpichrze i bogactwa narodów. Są tam i nasze.

A ta kopuła nad niemi, cofnięta w dal, na pół rozplywająca się w błękitcie, z jasnym krzyżem wśród firmamentu, to święty Piotr Watykański.

A na prawo, niedaleko od mostu, ten pałac z poczerniałego marmuru—myślisz, że to palazzo della Cancelleria? Nie, to mój pałac Wejźmy do niego.

I Okszyce wchodzi we śnie do swego pałacu, czując przy boku kochany ciężar kobiecego ramienia, czując promieniejące ku sobie jej słodkie, serdeczne ufanie. Wchodzą do wewnętrznego podwórca, objętego z trzech stron krużgankami o lekkich kolumnkach, w trzy pię-

tra. Oparta o mur naprzeciwko bramy, szumi fontanna ogromna, prze-wala się po oślizgłych trytonach, wydymających wodę z zakrzywio-nych muszli, siecze srebrną pianą grzbiety wesółych najad, jednych do-rosłych, drugich ledwo wylęgłych z wody, które stadem uciekają z pod szumnej kaskady, rozsypując coraz szerzej białość i mchy obmokłe na stulonych ramionach.

W przedsiódkach stoją posągi pięknych bogów i ludzi: dumne ce-zary, wdzięczna Afrodyta, potężny Zeus i smutny Antinous.

Galerye, galerye bez końca—frontony z Olimpii, z Eginy, odła-my fryzu Fidyusza. I mnóstwo rzeczy nowych, tylko co wykopanych w Sydonie? Tak—w Sydonie. Statuy kobiece archaiczne z ukośnemi oczami, w krótkich płaszczkach na sztywnych chitonach. Jakie ko-lory jaskrawe w ozdobach, jak świecą te oczy z agatu i z emalii!

Sarkofagi, urny, stele grobowe. Kamienne pokrowce mumii, z wypisanem przekleństwem na tego, kto je otworzy—białe stele z po-godną grecką rzeźbą: młodzieńce żegnają się z dziewicami, odchodząc; pomniki biskupów i rycerzy, śpiących sztywno pod łukiem, ozdobionym kwiatami i owocami, na trumnach. Pamiętasz groby Firlejów?

Okszyce prowadzi żonę przez wielkie schody, pełne jeszcze odła-mów rzeźby i tablic marmurowych. Ale oto sale weselsze, jaśniejsze, zawieszane obrazami. On je zna wszystkie, cieszy się gienialnością prerafaelity, zrzucającego bizantyńskie więzy, i rozkwitem Odrodze-nia, i nerwową siłą Baroku, i wdziękiem szkoły francuskiej. Prowa-dzi żonę do dzieł nowych. Ile już polskich obrazów po świetcie!

Ona mówi:

— Kiedy ty to kochasz, i ja to Kocham.

Idą ciągle razem, ona oparta o jego ramię, oczyma wpatrzona, sercem wtórująca. I Okszyce czuje ciągle, jak przez wrażenia inne przepływa cichy dreszcz szczęścia między nimi, jak świat się prze-istacza od wewnętrznego oświetlenia, które bije z nich obojga.

Patrzają teraz na jeden obraz ogromny szkoły weneckiej, pełen strojnego tłumu i marmurowej architektury. Wszędzie tarasy, połą-czone tysiącznemi schodami. Wzorzyste kobierce z kwiatów, inkru-stowane w kamienne posadzki tarasów; małe fontanny zraszają je cicho. Kobiety noszą suknie jedwabne, klejnoty i strusie pióra; niektóre świe-cą nagimi ramionami. Jakiś bal wspaniały pod odkrytem niebem—na marmurach, na kwiatkach, na strojach i ramionach leży jasne światło dnia.

— Ale to nie obraz—przecie my w nim jesteśmy, droga moja,—przecie i ty masz balową suknię i nagie twoje ramiona mają wdzięk rzeczy świeżo odkrytych.

Powietrze takie czyste, lekkie, że się je wciąga w płuca, jak szczęście i życie. Szmer, unoszący się nad tym tłumem, musi być złożony z samych słów miłosnych, śpiewa jak chór skowronków rano, nad polem. Odmłodniałem, wyzdrowiałem, Ukochana! Patrz, jak łatwo wchodzę na schody i pochyłości, jak nie mnie nie męczy, nie przestrasza! Ujawszy się w pół, możemy wlecieć na ten wyższy taras, nie dotykając ziemi stopami.—O, tak!—Patrz, już tu jesteśmy, już tam.—Jaka to rozkosz wzajemne kochanie! Dla czego nie wcześniej, dlaczego pierwej Cię nie znałem, moja Jedyna?—Tyś wiedziała przecie, że nikogo, oprócz Ciebie, kochać nie mogłem. I Bóg to wiedział.

Wszyscy ci ludzie, którzy nas mijają, idą parami, mężczyzna z kobietą, i pochyleni ku sobie, szepcą, a z ich dobrych uśmiechów widać, że się rozumieją sercami. Patrz! to sami nowożeńcy! Sami młodzi i szczęśliwi! W oczach chłopców znać dumę i niedopitą rozkosz, oczy dziewczęce patrzą wilgotne, nieśmiałe i ciekawe. Każda para odosabnia się w tej rzeszy, pochłonięta przez swoje szczęście i swoje widziadło świata.

Poznajesz?—wszyscy nasi znajomi, którzy się pobrali temi czasy Witają nas skinieniem głowy cichem, przyjaznem, bez słów, żeby ani nam, ani sobie nie przerywać uroczystej przechadzki po tym pięknym kraju.—Poznajesz Franja z Halką? Zatrzymali się i patrzą na nas wdzięcznymi oczyma, usuwając się z drogi tak pokornie... Chodźmy ich uściskać.—To nie jest tamta Halka, w której Ciebie chciałem poznać, moja Upragniona, to jest pani Warecka, z domu Marliczówna, dobra kobieta. My ich tu zostawimy, bo mamy iść dużo wyżej i nie wrócimy już może nigdy do nich, do Bernatowic.

Ale kto Ty jesteś?...

Okszyc obudził się z uśmiechem na twarzy. Wolno, bojaźliwie otwierał oczy i poznał w półmroku swój pokój:

Zerwał się na posłaniu i zawołał głośno:

— Mój Boże! kogo ja widziałem? to Ona była, Ona nareszcie—raz w życiu, choć we śnie, ale przecie za życia...

Przez cały dzień marzył, zamykając oczy, pragnąc jeszcze przywołać nadziejskie wrażenie swego snu. Wieczorem zapisał go do dziennika.

Stanisław Okszyc umarł w Cannes, nie doczekawszy nowego roku. Nie było przy nim nikogo z osób, wspomnianych w niniejszem opowiadaniu. Krążyła wieść, że narzeczeni, wezwani depeszą, przyje-

chali do Cannes i byli świadkami ostatnich chwil swego dobroczyńcy, ale to jest legenda. Okszyć nikogo nie wzywał, umarł cicho, jak żył, przy skonie jego był tylko lekarz, ksiądz i jeden Polak, niedawny znajomy, kolega suchotnik.

Chyba tylko do łoża śmiertelnego przyszła ta wysniona, ubłagana na sen ostatni, Anielica?..

Nic nie stoi na zawadzie małżeństwu Frania z Halką. Pobiorą się w końcu zimy, bo zechcą zapewne ponosić choć krótką żałobę. A na wiosnę ogród w Bernatowicach znowu zakwitnie życiem.

JÓZEF WEYSSENHOFF.

Starożytna Litwa.

Ludy i Bogi

III *).

Od dzięki energii Jaćwinga lub Prusa, który to (wedle świadectwa żyda Ibrahima z r. 973) zawsze sam jeden, posiłków nie czekając, na wroga się rzucał i do upadłego walczył; od niezłamanego żądaniem klęskami oporu Żmudzinów, niweczającego wszelkie zapędy Niemieckich rycerzy; od przedsiębiorczości i karności Litwina, zdobywającego wielkie przestwory ziem ruskich przez zespolenie drobnych swych sił i wyłączenie ich w jednym kierunku — odbija dziwnie ospałość i miękkość *Łotysza*; zdawało-bysię, że przez styczność z Finuami, trwającą już od kilkudziesiąt wieków, *Łotysz* krwią ich, a raczej temperamentem, przesiąknął. Milczą więc dawne dzieje zupełnie o szczepie, który dzisiaj liczbą i oświatą nad innymi litewskimi celuje, gdyż najazdowi obcemu, bądź to fińskiemu, odpychającemu go od morza w Kuroni

*) Patrz *Bibl. Warsz.* 1897, II 235—265 i III 416—450.

i Liwonii, bądź niemieckiemu, z którym się nawet przeciw fińskim ciemiężcom łączył, oporu silnego nie stawiał i od napadów litewskich, czy ruskich, chronił się tylko ucieczką w lasy lub składaniem daniny. Kierunku jakiegoś własnych dziejów nie wyrobił Łotysz żadnego; nie biorąc udziału w życiu historycznym, przyjmował z niewzruszoną flegmą nowych panów, nowe rządy, nowe wiary, jakie mu po kolei narzucano ¹⁾.

Lecz z ową nielitewską biernością na zewnątrz szła w parze iście litewska wytrwałość w walce o byt wewnętrzny, przywiązanie do ojczyznojęzyka i zwyczajów, odpór wobec wpływów obcych; one-to sprawiły, że, mimo niekorzystnych warunków, Łotysz schedy ojczyzniej nie tylko nie zmarnował, lecz ją nawet kosztem fińskich Kurów powiększył, dawnych swych panów przetrwał i strawił, że zachował podziś i język, i odrębność plemienną.

Cały północny pas szczepu litewskiego zalegli ci Łotysze, osiedli nad dolnym biegiem „Daugawy“ (wielkiej wody) t. j. Dźwiny, dzielącej ich Letgole (kraj Letów) od ich Zemgoły (Semgallii, kraju niskiego); oni sięgają na zachód przez Kurlandję do Prus, przesiedlając się i na mierzeję Kurońską, na wschód zaś sięgają niemal po Braclaw, Siebież i Psków na północy, zajmują południową połowę Liwonii. Chrześcijaństwo szło do nich, ruskie od Połocka i Pskowa, rzymskie od Rygi; gdy r. 1208 kapłan Alobrand wiarę im głosił, rzucali losy i pytali własnych bogów, jaki im przyjąć obrządek? i padły losy za rzymskim. Lecz zadawali się Niemcy zewnętrznem przyjęciem obrządku, i wsiąkało chrześcijaństwo w masy ludowe nieznacznie, jako tako jeszcze w obszarach naddźwińskich i nadmorskich; nie tykało ich niemal dalej na wschód ku Witebskowi, w Rzeżyckiem, Lucyńskiem, gdzie

¹⁾ O jedynej większej akcji łotewskiej „Zemgoły“ opowiada ruski latopis pod r. 1107: zwyciężyli wtedy wszystkich braci Wsiesławiczów i z drużyny ich zabili 9000 — liczba wydaje się znacznie przesadzoną. W 80 lat później, gdy biskup Meinhard i jego Liwowie gród Ikeskolę (Uexküll) murowali, napadli Zemgoły warownie, i nieświadomi murarskiego kunsztu, prostem zarzucaniem powrozów na mury kamienie ich do Dźwiny ściągając chcieli. R. 1215 Estowie, wracając z wycieczki, pojмали właśnie Letgolskiego Talibalda, który kryjówkę leśną przedwcześnie był opuścił, i piekli go u ognia, aby wydał pieniądze; gdy ten częścią tylko im wskazał, piekli go dalej, na co on: „był wam wszystkie pieniądze, własne i synów moich, wskazał, przecież mnie zamęczycie“ — więc im nic więcej nie wyjawiał. I upiekli go żywcem, jak rybę. Synowie, mszcząc ojca, spłądrowali wsi Estów, paląc je i piekąc żywcem wszystkich jeńców, dzieci zaś i niewiasty, bydło i konie uprowadzali; żadna kryjówka leśna nie uszła ich bacznosci. Niebawem sami synowie Talibalda więcej niż stu znaczniejszych Estów na pamiętkę ojca lub żywych spalili, lub w inny sposób okrutnie zamęczyli; pomagała im reszta Łotwy i wyplenili ziemię z ludzi i pokarmu. Jak na Litwie, tak i u Łotwy decydowały o wszystkim wyrocznie losów; wojnę wypowiedzali rzucaniem dził: sojusze utwierdzali na miecze.

i w szesnastym wieku Łotysz bez księdza, kościoła i sakramentów w pól pogański wiódł żywot. Reformacja rozerwała ludność; znacznie mniejsza częśćka, na południowym wschodzie, w t. zw. Inflantach polskich, utrzymała się przy katolicyzmie; większa, acz nie bez oporu, musiała luterstwo przyjąć, choć długo jeszcze tęskniła za kapłanami katolickimi, nie nakładającymi wielkich ciężarów, za kultem świętych i Maryi, łączonym z resztkami pogaństwa, za licznymi dniami świątecznymi, uwalniającymi od wszelkiej roboty. Ruch literacki, Odrodzenie, ogarnęły też wcześniej i żywiej część luterską; katolicka w dalekim odstępie za nią zmierza. Język łotewski, odmienny po narzeczeniach, przypomina w głosowni swej rozwój nowszych języków słowiańskich, w słownictwie zaś obfituje w wyrazy niemieckie i ruskie, miejscami i w fińskie; terminologię chrześcijańską przejęto częściowo od Rusi, np. *baznica* kościół, *krusts* chrest, *leldena*, „wielik dzień“ (Wielkanoc) i t. d., więc nie ograniczała się Ruś do samego wybierania haraczu, jak ją tak zwany Henryk Łotwak (kapłan niemiecki, piszący dzieje liwońskie ok. r. 1230) oskarżał.

W ustach Łotyszów obu obrządków żyje po dziś dzień dawna pieśń ludowa *zinge* lub *dzisima*: odmieniła ona wprawdzie formę, zeszczuplała niemal w same kuplety, czterowiersze, jakby nasze krakowiaki, bez rymu — dwa wiersze czerpią motyw z przyrody, dwa drugie z życia ludzkiego, np. „Któraż sosna, któraż jodła Bez gałęzi wyrosła? — Któraż siostra wychodziła Bez obmowisk za mężulka? i t. p. Odznacza ją miękkość tonu, delikatność uczucia, malowniczość obrazu; wszystko w niej ożywia się, słońce, miesiąc i gwiazdy nawet występują, jak osoby działają i prawią, jak rodzeństwo lub pary małżeńskie. Ten pociąg ku uosabianiu wszystkich zjawisk świata, choćby i roślinnego, nadzwyczaj charakterystyczny, uprzedzonego badacza, wietrzącego wszędzie mitologię i resztki pogaństwa, łatwo w błąd wprowadzi; mieliśmy przykład na znakomitym uczonej (Mannhardt), który z dzisiejszych kupletów łotewskich o ciałach niebieskich odtworzył całe mity solarne, wytrzymujące porównanie z hymnami wedyjskimi i podaniami greckimi. My się na te bezdroża nie zapuścimy; zaznaczymy, że podobna symbolika mogła być niegdyś źródłem, zasilającym stoki mitologiczne, dziś jest tylko sposobem mówienia, tworzenia; sam fakt, że cała rola słońca w tych pieśniach polega na rodzaju żeńskim dzisiejszej jego nazwy, powinien był wzbudzić nieufność mitologa przeciw pierwotności takiej koncepcji, obcej zupełnie mitom aryjskim. Ani „synowie boscy“ („bożenięta“ tradycyi białoruskiej), ani „córy słońca“ pierwotności tej, zdaniem naszym, ostatecznie nie dowodzą; i one wynikają z urządzania gospodarstwa niebieskiego na wzór ziemskiego, bez istotnej przymieszki dawnego pogaństwa, choć w jego duchu i manierze;

czasem wręcz sieroty tak nazywają, bo dla nich słońce jest matką, ocierającą łezki (obok Maryi św. i jej cudownej chustki jedwabnej).

Zamiast do pieśni ludowej dzisiejszej, albo do obcej klechdy, udamy się znowu po pewne wskazówki do dawnych źródeł i przytoczymy z nich rysy zacofania religijnego Łotysza, które go odznacza jeszcze i w siedemnastym wieku. Z szeregu takich źródeł wybieramy dwa: jedno, wydane niedawno (r. 1891 przez prof. Lohmeyera) z zapisek zakonnych o missyi (jezuickiej), przedsięwziętej r. 1606 w zapadłe kąty Infantów polskich, przytaczamy w całości, w dosłownem niemal tłumaczeniu.

Jeden z naszych księży wybrał się podczas wielkiego postu aż do samej granicy moskiewskiej, ku Rzeżycy i Lucyni, gdzie jeszcze Łotysze, nie wiedząc o Bogu, nędznie, jak dawni poganie, do piekła schodzą. Ci bałwochwalcy bowiem czczą drzewa i gaje, którym w pewne czasy, około Wielkiejnocy i na św. Michał, różnorakie dary ofiarują. Przez kilka dni, nie bez trudu i unęczenia, nakłaniano jakiegoś ich „papa“, starca dziewięćsięcioletniego, aby się spowiadał, co wreszcie uczynił. Na niego bowiem zwalali wszyscy winę bałwochwalstwa, prawiąc, że on-to je od przodków przejął i godzien był, by mu, jako starcowi, wierzono; on też, z dwoma innymi starcami, obrządki ich odprawiał i ofiary drzewom składał. Po spowiedzi zapytany, jakie-by obrządki lub dary i po co gajowi oddawał, tak odpowiedział: my nędznicy, bez słowa Bożego i księży, jakich wierni po innych miejscach mają, zmuszeni jesteśmy w potrzebach naszych szukać pomocy, i skorośmy usłyszeli, że przodkowie nasi czcili osobliwsze drzewa, którym pewne dary składali i przez to wspomżenia, uwolnienia od chorób i ubogacenia wszelakimi dobrami dostępowali, toż i my czynić tak musimy, jeśli nie chcemy do szczętu zaginać. Zapytany, ilu bogów mieli, odpowiedział: są bogowie różni, wedle różności miejsc, osób i potrzeb. Mamy, rzekł, boga, co niebem się opiekuje ¹⁾; mamy i boga, co ziemią włada; ten, najwyższy na ziemi, ma pod sobą różnych bogów, mniejszych niż on. Mamy boga, co nam ryby, innego co nam zwierzyńcę daje; mamy boga zboża, pól, ogrodów, bydła (t. j. koni, krów i rozmaitych zwierząt). Ofiary, jakie się im składa, są różne: jednym większe, innym mniejsze, wedle jakości bogów; a wszelkie te dary ofiarują się pewnym drzewom i gajom — drzewa te zaś zowią się świętymi. Jeden dostaje w ofierze wielki chleb w kształcie węża, z otwartym pyskiem i długim ogonem; innemu składa się — mniejszy, w kształcie psa, świni i t. p. To znowu czczone są dwa osobliwsze drzewa, dąb i lipa: dąb zwie się

¹⁾ Tekst łaciński pomyłony, może brzmiał: co dwór niebieski zamieszkuje.

męskim, a czciciele kładą podeń w pewne czasy parę jaj; lipa nazywana jest żeńską, i ofiarują jej masło, mleko, sery; i tłuszcz, za zbawienie i zdrowie własne i dzieci. A kto zaniemoże, natychmiast posyła „popa“ ku drzewom, który się z niemi spiera, dlaczego im chorować dopuszczają, skoro się z długu wobec nich uścili. Jeśli zdrowie natychmiast nie wraca, przynosi się drzewom podwójną porcję rzeczonych przedmiotów, i tak chorzy przychodzą do zdrowia. Bogu koni, co go zwą *dewiny uschinge*, ofiaruje każdy dwa grosze i dwa chleby i wrzuca w ogień kawał tłuszczu. *Moschelowi*, bogu krow, ofiarują masło, mleko, ser i t. d., a jeśli zachoruje krowa, zaraz drzewom składa się ofiarę i to skutkuje. Bogu pól i zbóż, *dewiny cerklicing*, ofiarują po lachach w pewne czasy czarnego wołu, czarną kurę, czarne prosię i t. d. i kilka ton piwa, mniej lub więcej, wedle tego, jak ich ten bóg *cerklicing* zapomógł. Ofiaruje się te dary drzewom w następujący sposób: „pop“ z innymi starcami, szepcząc pewne słowa, składają dary, poczem kilku przybiega i wznosi w górę beczkę piwa; nim lud zacznie pić, kropi „pop“ lipowem kropidłem stojących naokoło; potem szykują ogień na wielu miejscach i rzucają do stosu część przynosiń, tłuszcz; mniemają bowiem, że bez piwa bogowie nigdy ich nie wysłuchają. Dobrze podpiwszy, zaczynają wszyscy około drzew tańczyć i śpiewać. Ktoś inny opowiedział mi, że poszedł raz z ojcem poryby na miejsce, oddalone o kilkanaście wiorst od domu; gdy za pierwszym i drugim razem zimą nie ułowili, napomniał ich „pop“, aby bogu wód ofiarę złożyli, skoro widzą, że on na nich zagniewany. Pytali, czego-by bóg wymagał; odpowiedział „pop“: trzech beczek piwa, jakie obcy wieśniak z domu był przywiózł, aby, sprzedawszy je, ryb kupić. Odbiegłszy więc sieci w stawie, zwołali po domach rodzinę, aby im boga przebłagać pomagała, a gdy urządzili różne ognie i piwo wypili, wrócili do rybołowu i taką moc nałowili, że starczyło na wiele wozów. Ów obcy wieśniak, napełniwszy trzy wozy swoje, uszedł bez ich wiedzy, bo miał im jeszcze coś dopłacić; niebawem poszedł za nim w ślad jeden starzec z owych bałwochwalców, położył dwa jaja na jego polu i zlorzeczył mu, przezco w owe lato wszystko zboże wieśniakowi poniszczył. Toć i są Sduceje, niewierzący w zmartwychwstanie; gdy kapłan nasz o tem prawił, wyrwał się z nich jeden: mego ojca wilki pożarły, jakżeż on ożyje?

Jeśli wieśniak chce drugiemu zaszkodzić, zwołuje dwóch lub trzech sąsiadów i objawia im tajemnicę; stawia na stół naczynie z piwem, a około niego dwadzieścia małych świec woskowych, chwyta garsć siana, kraje je nożem nad stołem, potem rzuca pod stół, mówiąc: złam tak rękę, nogę, ty, lub żona twoja, lub córka, lub koń, lub krowa i t. d. Ma ktoś wroga, co go np. oskarżył przed panem, biegnie na-

tychmiast do boga — drzewa, odbiera owe dwa jaja, co mu przedtem ofiarował, i mówi: widzisz, w każdy godziwy czas ofiarowałem tobie należyte dary, a ty mnie opuszczasz? Tak długo jaj tych tobie nie wrócę, póki nie wyrządzisz wrogowi mojemu, co zechcę. I tak umiera wrogowi dziecko, lub koń, lub krowa i t. d. Również leją balwochwalcy piwo w ogień, jako bogu swemu; chleb, gdy pieką, nim jedzą, pierwszy kawałek w ogień rzucają; leją także piwo na ściany komina, prosząc, by im ogień nie szkodził, ani w polu, ani w kominie. Zachoruje komu dziecko, lub koń i t. d., biegnie natychmiast do „popa“ i pyta o przyczynę; ten odpowiada, że bóg ofiary wymaga, wróży więc kostkami, jaka ma być ofiara: czy czarna kura, czy kozieł, jaja, chleb, beczka piwa, i tak ojciec napaści uchodzi.

Przy pogrzebach zachowują następne obrządki: najpierw palą suknie zmarłego i łożę, na którym zmarł; u głów zmarłego w grobie kładą chleb, mniemając, że na tak długą drogę potrzebnym mu będzie; w prawą rękę dają mu drugi chleb, by dał Cerberowi, co to przywiązany przed rajem bez skałeczenia przepuszcza; w lewą rękę kładą dwa grosze dla przewoźnika przez rzekę; zimą stawiają nad grobem wóz dREW, by się dusza ogrzała. W dzień zaś zaduszny, sporządziwszy naprzód śniadanie, zwołują dusze swych zmarłych, każdego po nazwisku, i zaczynają wyrzuty robić i oskarżać dusze, że nie uchowały i nie obroniły koni i bydła ich od wilków i chorób, chociaż corocznie należyne im ofiarowali dary: wy dopuszczacie, że zdycha nasze bydło, że myszy nam zboża pożerają, piorun w polu pustoszy i t. d. Wreszcie błagają dusze, o których mniemają, że część ich w wilki lub niedźwiedzie, część w bogów się przetwarza: Iwanie, lub najdroższa matko moja, pamiętaj o dzieciach twych; jedz z tego naczynia i pij, ile się tobie spodoba, tylko pomnij o nas. Tymczasem kładą na stół chleb, rzucający potem w ogień, razem z piwem, wylewanem również na ziemię lub na stos. Nakoniec zmiatają piec i wypędzają dusze z niego; inny chwyta siekierę i nacina nią ściany po czterech węglach, ażeby nie utkwily w jakim miejscu.

Gdym to wszystko usłyszał, przepowiadałem im katechizm i prawdę chrześcijańską i obiecałem, że na przyszły rok zimą z Bożą łaską wrócę, co najchętniej przyjęli. Księży mają aż o jakie trzydzieści wiorst; „pop“ ich chrzci im dzieci, żyją bez ślubu po większej części; pacierz ledwie który umie; nikt się z nich nie spowiadał.

Dwa krótsze sprawozdania dorzucają kilka szczegółów. Oprócz owych (wymienionych wyżej) trzech bogów, mają i bogowie deszczów i gromów osobne nazwiska (jakie?): zwierzęta ofiarne są zawsze czarnej maści; do każdej ofiary należy wrzucanie i palenie tłuszczu, również jak i, po tańcach i śpiewach, nadmierne używanie piwa, aż do

pijaństwa. Od lat siedemdziesięciu ujrzeli po raz trzeci kapłana nieszęgo. W relacyi z r. 1618 czytamy ciekawe rzeczy: wielu Łotyszów po okolicach Dyneburga, Ruson, Rzeżycy, corocznie mieniają żony (?); ochrzcziliśmy stu ludzi (w wieku od lat 8—34); do spowiedzi zaś nikt się nie dał nakłonić. Często oni pewne kamienie, jako święte, chowając je w kuchni, w gumnach, albo w śpichlerzach, zwanych „atmeszenes wiete“ t. j. miejsce dorzucania gdzie, zrzucali kawałki potraw i kropili krwią ofiarną: wielką było-by krzywdą miejsce takie sprofanować; i nikt ich nie powinien dotykać, prócz tego, co tę moc ma od zwierchnika. W sześciu miejscach w Rzeżyckiem wyniesli księża nasi takie kamienie; jest ich jednak dużo u bardzo wielu bałwochwałców, trudno się o nie dopytać, a cóż dopiero je wykorzenieć. Powywracaliśmy drzewa, dęby, którym mężczyźni dary składali, lipy, którym kobiety niby bogom kury ofiarowały za urodzaj i pomyślność. Wywróciliśmy i Ceroklisa, bożka piekielnego, któremu głupi lud oddawał pierwsze ze wszelkich potraw i napojów kąski i hausty. W Dyneburgu jeden sześćdziesięcioletni starzec z żoną, czciciele dęba, któremu rocznie dwa jaja, jeden grosz i rozmaity tłuszcz ofiarowali, przyrzekli uroczyście, że po wyzdrowieniu dąb wytną i spalą; na nalegania naszych księży byli-by to i zaraz uczynili, lecz nie mogli dla choroby, a czeladź ich o drzewie tem nie wiedziała.

Relacje jezuickie dopełniamy mniej dokładnemi, lecz za to różnorodniejszymi, społecznemi relacyami luterskiemi, o Łotyszach lutrach w Kuronii i Liwonii, uzupełniając je na kilku miejscach szczegółami z rękopisu Fabrycyusza, poświęconego Karolowi Chodkiewiczowi r. 1612. Autorem tych relacyi jest pastor, Paweł Einhorn, piszący po niemiecku i łacinie („Widerlegung der Abgötterei“ r. 1627, „Reformatio gentis letticae“ 1636 i „Historia“ lettica 1649; treść tych dzieł się po części powtarza); włączamy tu i niejeden szczegół etnograficzny, nie mitologiczny.

Ogólny sąd pastora o Łotyszach jest niepocholebny, lecz przebiega z niego widoczna niechęć i wzgarda dla wszystkiego co „Undeutsche“. Więc oskarża Łotyszów o silne nałogi złodziejskie; mówi, że lubią zwodzić i oszukiwać; że wyśmiewają Niemca poza plecami i ludzi podburzają; że leniwi, pracują tylko pod ścisłym nadzorem; nadzwyczaj zręczni i pojętni do wszelkich rzemioł, darem tym prześcigając Niemców o wiele; z zadziwiającą sztuką wyrabiają drewniane naczynia i t. p. Opowiada dalej pastor, jakie fatalne skutki omal nie powstały, gdy im z kronik o dawnej ich niezawisłości prawie chciano, do jakich wniosków i planów—przeciw panom niemieckim—Łotysze natychmiast dochodzili. Monotonne pieśni, a raczej wycia, towarzyszą wszelkim ich czynnościom: czy kobieta w żarnach miele, czy mężczy-

zna lasem jedzie (o jednej ostrodze, dosiadając konia z prawej strony); tańcząc, wyskakują obiema nogami odrazu; pieśni ich krótkie, liczba stóp równa, melodia zawsze ta sama; ubogim jest i język ich (nie mający wyrazu dla cnoty, co później często przytaczano); kobiety noszą rozpuszczone włosy, budząc tem wstręt u widzów; dziewczęta i służące noszą na głowie wieńce z farbowanego włosienia.

Od kolebki do grobu towarzyszą Łotyszom bóstwa na każdym kroku, w każdym zajęciu. *Łajma* - dola, sprawia szczęśliwe położenia, podkłada położnicy płótno, własny wyrób kobiety; *Dektu* - dola kołysze i pielęgnuje nowo narodzone dziecię. Dziewczętom nadają Łotysze imiona od ptaków; jeżeli niemowlę silnie płacze, to znak niezadowolenia z nazwiska, należy je przechrzczyć; jeśli odbyto chrzest niegodnie (t. j. ze złym księdzem lub niegodnymi kumami), urasta dziecko na lunatyka. Wszystko w życiu polecone jest opiece specjalnych bóstw; są osobne bóstwa kwiatów, ryb, państwa, słabości, bogactwa, rzek i studni, koni, bydła, ogrodu, pola, lasu, wiatru, rybaków, strzelców, żeglarzy i t. d.; każde nosi odpowiednią nazwę, złożoną najczęściej z *mate* (macierz, kobieta), np. *laukamat* (macierz pola), *meżamat* (lasu), *lopemat* (bydła), *jurasmat* (morza), *darzamat* (ogrodu), *wejamat* (wiatru) i t. d. Więc w pieśniach swoich wzywają kobiety matkę ogrodu lub bydła, podróżnicy matkę dróg i t. d. Niedawno słyszałem, jak skarżyli się rybacy, że matka, czyli bogini morza (*jurasmate*) jest na nich zagniewana, nie używa im ni połowu, ni szczęścia. Boją się dyabła i złych duchów, przybierających wszelkie postaci, oprócz gołębia, baranka i szczupaka (bo w głowie jego wyrażone narzędzia męki Pańskiej); kurzą przeciw nim kadzidłem, noszą czosnek i cebulę, ruszają w drogę dopiero po pianiu kogutów; odpis z ewangelii św. Jana wieszają po stajniach dla zdrowia dobytku, zasadzają też przeciw morowi bydłęcemu końskie lub krowie łby na kołach, lub wkładają do żłobu, jeśli *liton*, zmora, konie nocą zajeżdża. — Ieł koński lub martwą kość. Wiara u nich mieszana jest: więc dla bydła np. wzywają Matki Boskiej, *O Maringa darga*, *O lopu matiet bagata*, (O Maryo droga, bydła matko bogata).

Uroczystości doroczne i nadzwyczajne obchodzą zbiorowemi ofiarami. W posuchę np. wzywają Perkuna wśród lasu na wzgórzach, ofiarując czarną jałowicę, czarnego kozła, czarnego koguta; zabijają je wedle zwyczaju, cała okolica zbiera się razem na taką ucztę, przyczem, napelniwszy piwem naczynie, obchodzą z niem trzykroć rozłożony ogień i wlewają je, prosząc Perkuna o deszcz. Takie zbiorowe, składkowe ofiary (*sobar*, por. litewskie *subazios collecta*, składka) odprowadzali Łotysze pokryjomu np. w r. 1602 i 1625, gdy mór panował, napomniani we снаch, by ofiarą mór zażegnali; za zebrane pieniądze

kupowali bydło ofiarne, przynosili w równych miarach zboże dla warzenia piwa i pieczenia kołaczy i spożywali wszystko wspólnie; warzą zaś i pieką zazwyczaj w drewnianych naczyniach, wrzucając w nie rozpalone kamienie. Około Bożego Narodzenia ofiarują z osobliwym ceremoniałem na rozstajnych drogach wilkom kozę, poczem wilk (*meżawirs* albo, *mežadews*, mąż lub bóg leśny) trzodom szkodzić nie będzie, choćby i między nimi przechodził. Samą noc Bożego Narodzenia, tak zwany *blukawakar* (wieczór kłocu) spędzają na tańcach, śpiewach i krzykach, ciągnąc i paląc ów kłoc, chodząc od domu do domu.

Lecz najważniejsze święta, decydujące wyłącznie o pomyślności całego roku, to zaduszki, obchodzone w miesiącu duchów, czy dusz. t. j. w październiku, w poniedziałki od św. Michała do Wszystkich Świętych, lub do św. Marcina, albo w jeden, albo w kilka dni, gdy karmią i poją duchy przodków po domach (w łaźniach), albo na grobach. Jeśli duchów dobrze nie nakarmimy, mszczą się rozgniewane, wywołując nieurodzaj, tratując zboże jeszcze w korzeniu. Od kiedy nam karmienia dusz zabraniają, utraciliśmy wszelką pomyślność, w jaką obfitują jeszcze ci, co je zachowują.

W takie dnie, zwane też boskiami (*dewudenas*), nic się nie robi; gdyby kto np. zboże młócił, to posiane wcale-by nie wzeszło. W czysto umiecionej i ogrzanej łaźni, pirci albo na poddaszu, stawia gospodarz mięswo, warzywo i piwo, rozkłada ogień, wzywa zmarłych po imieniu, by przybywali i pożywali (jeżeli przytem ujrzy cokolwiek, ducha np., to na przyszły rok umrze); potrawy stoją do wieczora, poczem się je zabiera i spożywa. W ostatni dzień (np. na Wszystkich Świętych) kąpią i myją dusze, żegnają się z nimi: „usłużyliśmy wam wedle możności. zachowajcież nas do przyszłego roku w pokoju“. Gospodarz rozrębuje koczerkę na progu i każe duszom odchodzić, lecz gościńcem, nie polami, po zbożu, by nie stratowały korzeni, nie wywołały nieurodzaju. Przeciw tym *dweselmelej* (biesiady dusz) zmierza już ustawa kościelna z r. 1570.

Mimo surowych zakazów, zachowały i obrzędy weselne formy pierwotne, porywania niewiast. Nie proszono bowiem o ich rękę rodziców czy krewnych; pan młody, umówiwszy się z przyjaciółmi, nawiedzał dom wybranej, wchodził z nimi do izby, zostawiając jednego u koni; gdy przybyłych (pod jakimkolwiek pozorem), raczono, goście prosili, by dziewczyna i ich towarzysza do izby zawołała; ten wychodząc porywał i uciekał, a za nim niebawem i pan młody z orszakiem; gonieni bronili się, wprowadzali ją przemocą do domu pana młodego, poczem rodzice godzić się musieli. Gdy się takie porywanie nie udało, „umykali“ dziewczynę, gdy szła po wodę, lub kiedykolwiek bądź, wypadając z zasadzki. Uważali, aby wóz z młodą przy wjeżdżaniu

do domu oblubieńca nigdzie nie zaczepiał: przed młodą parą wbijali w stół szable, która dłużej drgała, wróżyła dłuższy żywot; młoda chodziła po całej zagrodzie, wrzucając pieniądze do studni, ognia i t. d. dla szczęścia: dzień i noc zastawiano stoły i śpiewano najsprośniejsze pieśni (pastorowi każda świecka pieśń była i sprośną zarazem) ¹⁾.

Chowają Łotysze w pełnem ubraniu, wrzucając do trumny pieniądze; (raz, gdy ja już unieść miano, wetknął jeszcze szybko syn mone- tę); że w r. 1601. dla nadzwyczajnej drożyzny, niczego zmarłym dodawać nie mogli. kładli z nimi choć igłę i nici, aby nie obdarci przed Bogiem i aniołami stawali. Nienależący do orszaku pogrzebowego nie ważył się wejść na cmentarz, ani w uroczyska lub gaje święcone, by go „na członkach nie skręciło ani uszkodziło: a chromoty takiej pozbywano się ofiarą pieniężną. Niechętnie grzebali trupów po cmentarzach (niby dla opłaty), wołeli po lasach i gąszczach to czynić, nie dbając o rozdarcie przez wilków i niedźwiedzi; wszystko mi równo, niech ze mnie i kładkę przez wodę zrobią, rzekł jeden ²⁾). Nieruchomości dziedziczy najmłodszy z familii, gdyż on z nich najmniej za życia rodziców korzystał: zwyczaj i motyw powtarzają się i za obrębem Łotwy.

Wilkołaków rozróżniali dwojakich: jedni stają się wilkami w pewne czasy, zwlekając ciało na ustroniu, poczem dusza w jakiego wilka wchodzi: jeśli-by kto w ów przeciąg czasu ciałem tem ruszył, nie mogła-by dusza więcej do niego wrócić i musiała-by do śmierci w wilku pozostać. Innym zaś odmieniają ciało i duszę w wilcze, przy przepijaniu używając pewnych słów. Czarom mocno oddani: mogą nawet solą szkodzić, jak inni trucizną; zboże kiełkujące tak mogą z czarować, że żdźbłem w ziemię, a korzonkami w górę rość będzie, nieprzydatne ku niczemu. Gdy stanie się im szkoda lub krzywda, stają pod dzwonami, kiedy w nie w święta lub niedzielę uderzają: ogłaszają tam szkodę, np. kradzież, i rozchodzi się wieść ona: albo klną krzy-

¹⁾ W „kupletach“ weselnych można i dziś jeszcze odnaleźć niejeden motyw z dziedziny wierzeń, przesądów, np. śpiewa młoda: „Czeszcie mi głowę, Rzućcie włosy w ogień. By ich wiatr nie unióśł Na skrzypiące drzewo“; albo: „Która złamie (zetnie) wierzechołek brzoźki (gałąź lipy). Ta wyjdzie za wdowca“. O Łajmie — doli (por. niżej) nie zapominają, np. „Ja idąc w obczyznę (wychodząc za mąż) Trzech na-przód wysłała: Bożenko mi wrota otworzył, Łajma krzesło mi postawiła, Anioł mi ogień trzymał. Gdy wianeczek zdejmowano; albo: „Wybiegnij Łajmo moja, Wprzód na pole młodego, Abym nóżką nie wstąpiła W łez kałużynę“ i t. d. Liczba kupletów „sprośnych“ nie wielka.

²⁾ Szczegół ten uderza, skoro przypominamy, że na pamięć zmarłych właśnie po Litwie kładki przez rzeczki i t. p. stawiano; czy nie zaszło tu jakie nieporozumienie ze strony Einhorna? Zwracamy również uwagę na szczegół o nieprzystępności gajów, powtarzający się dosłownie u Długosza o Litwie.

wdziela pod dzwonem“, „niech zaginie, jak głos dzwonu zanika: Niechrzczone dzwony porywają dyabli i wrzucają w jamy lub studnie, gdzie je w północ Bożego Narodzenia słyszeć można. *Puk* (niemiecka nazwa latawca), czerwony, gdy próżny leci, siny, gdy zboże gospodarzowi znosi; chowają go w osobnym zaułku, gdzie go tylko gospodarz nawiedza, ofiarując mu pierwociny potraw i napojów.

Odwiodło-by nas za daleko, gdybyśmy wszystko sprawdzać chcieli, co dziś jeszcze w pieśni lub obrzędach i zwyczajach albo w wierzeniach, z dawnych imion boskich i praktyk pogańskich ocalało, chociaż mitycznych piosenek, o jakich Einhorn wspomina, owych wzywań „matek“, już niema. Wybierzemy szereg, również ciekawy, prawie jak pouczający. Relacya z r. 1606 nazywa boga końskiego *dewiń usziń*; „bóg“ ten po dziś dzień znany jest i czczony. Koński targ zowią targiem Usinia, kto ma piękne konie, „widać ten Usinia dobrze poważał“; śpiewają: Usiń jedzie przez górę na kamiennym koniu, on przynosi drzewom liście a ziemi konicz zielony“; ofiarując mu koguta, śpiewają: „Dla Usinia zarznęli koguta, Jam go pod próg rzucił: Niech konie tak wyskakują, Jak kogut ten się miotał“. Twierdziła jeszcze niedawno (1880) staruszka pewna: niech mówią, co chcą, ale odkąd Usiniowi znowu zarzynają koguta, konie i bydło lepiej się hodują. W dzień Usinia (t. j. na św. Jerzy, 23 kwietnia) wchodzili miejscami sami mężczyźni nad ranem do stajni, zarzynali, warzyli i jedli koguta; wieczorem wyganiaли po raz pierwszy konie na pastwisko, palili stos i ucztowali; gotują i dziś tyle jaj, ile koni, znacząc każde; pięknie które, to koniowi w przyszłym roku bieda grozi. Przyrzadzali i jajecznicę; nikt przed gospodarzem kosztować jej nie śmiał; po modlitwie, dodawał gospodarz słowa: niechżeż teraz stary ojciec Usiń koni strzeże i chroni od wszelkiej przygody, od wilków, od choroby i t. d. Gdzie indziej istniały pnie, na których w dzień Usinia składano ofiarę, mięso (wnętrznosci i t. d. koguta i świni), chleb i piwo; pożarł to zwierz jaki, cieszone się ogólnie: zdrowe będą konie, bo przyjął Bóg ofiarę; nie tknięto ofiary lub porwał ją człowiek, tęskniono: Bóg nas opuścił, uraziliśmy go czemś; szczęścia z końmi na ten rok mieć nie będziemy.

Cóż to ten Usiń? Czcząc go w dzień św. Jerzego, patrona koni, przypisują mu własności tegoż, tak że Usiń i Jerzy jednoznaczni, mieniają się nieraz, jak w owej pieśni o wiosnie, lecz stosunek ten widocznie nie pierwotny. Czy nazwa nie odkryje tajemnicy? Nawiązywano ją do „sanskryckich“ pierwiastków światłości i blasku wiosennego czy słonecznego — napróżno; z lotewskiego (aryjskiego) materiału jej chyba nie wywiędziemy. Na Rusi Usień, Owsień, Awsień albo ła-usień, istnieje w pieśniach—kolędach głównie, jako przypiew, np. Komu mo-

stami jeździć? lausień! dzielnemu chłopu, lausień! albo: Oj Owsień, Oj Owsień! komuż, komu jechać po tymto mosteczku? Jechać tam Owsieniu i nowemu roku“. R. 1649 zabraniano w Moskwie śpiewać ludziom, co w wilią wołali Kolędę i Usień. Ten, może bezmyślny przypiew kolęd a może obce jakieś słowa?) tak wbił się w pamięć ludzi, że u Mordwy np. w dzień noworoczny „launsiai“ jako boga świń wzywają; i ruski Owsień jeździ na siwej śwince. I u Łotyszów nie zaginął jeszcze wszelki ślad, że Usiń ich pierwotnie i świniami się opiekował —nie próżno bowiem zestawia go pieśń z właściwym ich opiekunem, Tenisem (św. Antonim, up. „Usiń u góry, Tenis u dołu chlubić się zaczęli; Usiń wychwała swe konie, Tenis prosięta; pędzi Tenis białą świnkę pod górę, staje mu Usiń naprzeciw: gdzież idziesz, ty w czarnej świcie ze złotymi pierścieniami? Przyszedłem prawować się z tobą, ubił mi koi prosiaka“. Twierdzili-byśmy, że do boga końskiego, czczonego przez gospodarzy i pastuchów, rodzimego, pogańskiego, podobnie jak poświęcane mu ofiary, przyczepiła się nazwa ruska; wysnuwać z niej jednak jakichkolwiek wniosków co do pierwotnej natury tego bóstwa nie uchodzi; należy je zostawić, czem jest, bóstwem końskim i dać pokój bóstwom słonecznym; co najwyżej można przypuszczać, że nazwa ta służyła kiedyś i bożkowi świń, lecz gdy dla tego ustalił się Tenis, Usinia do koni ograniczono.

I w „*Moszel*, bogu krów“ nie pogańskiego, starego w nazwie samej nie uznajemy. Jest to zdrobniała Marya (Masza, przyrostek *el* służy nieraz w podobnej funkcji); wyżej przytoczyliśmy wzywanie łotewskie Matki Boskiej, jako „bogatej matki bydła“, tu przytaczamy jeszcze charakterystyczną niby litanję łotewską, wzywającą opieki świętych nad bydłem: ach ty silny Usiń koni — ach ty miła Marynia krów — ach ty bogata owiec Anito — ach ty zwinna kóz Barbele — ach ty starowny Tenesit (Anton) świnek — strzeż i opiekuj się memi końmi, memi miłemi krowami i t. d. Naturalnie, nazwy te, prócz Usinia — Jurja?, są chrześcijańskie, jak Gabie litewska (od ognia); lecz i *Morsawenia* i *Bireite*, jakimi nas „mitologowie“ raczą („pogańskie opiekunki krów, owiec), nie zwiodą nas; *marszawina* zwie się przecież kobieta, zapędzająca bydło „marszy“ (panny młodej) do obory pana młodego.

Dajemy jeszcze dwa inne przykłady podobnych obchodów. W noc zielonych świątek spędzają gospodarze i parobcy konie na pastwisku gminnem, obiegają je z łąkowniami i workami (na chleb), poczem na ognisku wydrążają kołem jamkę, wrzucają do niej najpierw jajo, później wlewają piwa, wódki, mleka, tłuszczu, jaj, sera, mąki, mięsa i jajecznicę (*pantagu*), dla *pegulas mate* (matki pastwiska); zapalają nad ofiarą tą ogień i uczują przy nim; co z *pantagu* zostaje,

pożywają na drugi dzień bez chleba. Ofiara ta strzeże koni od wilków, moru i t. d. i nie godzi się nikomu od niej uchylać — w przeciwnym razie koniom się wieść nie będzie.

„Dotąd jeszcze, miejscami, obchodzą swoje *rudinoji*, dożynki: przed świtem rzną koguta, duszą go i sekretnie mąż z żoną zjadają w kącie swej izby, a we dnie zaproszonych sąsiadów ugaszczają mięsem i piwem“. W odnośnych przesądach odgrywa znaczną rolę t. zw. *jumis* albo *jumaleńsz* (sporysz, źdźbło o dwóch kłosach); znalezione w czasie żniw chowają, jako wróżbę urodzaju, zatykając w kleci za belką. Podczas świąt Bożego Narodzenia, t. j. w porze decydującej o przyszłym urodzaju, kiedy zapewnia się na bezrok bydłu, domowemu ptactwu, drzewom owocowym i t. d. obfitość, i o *jumisie* nie zapominają. Męska młodzież wyprawia tańce, t. zw. *jumalu*, dziwacznie na głowie przebrana, płąsa i śpiewa. powtarzając owe *jumalu*; wedle p. Ulanowskiej zaś dziewczęta w bieli przychodzą (w wieczór św. Szczepana, gdy się „igryszcza“ zawodzą) i tańczą — ztąd wyrażenia potoczne, siedzi jak *jumola* i i. Snopkiem *Jumy* zowią ostatnie kłosy, zżęte na polu, o które się kobiety wyścigają, wróżą z niego i śpiewają mu: „Gdzie Jumo przespałeś Taką długą wiosnę? — W poleczka koniuszku, Pod szarym kamykiem“; albo: „Jumit wóz okuwał z dziewięciu kołami, Aby mógł kołować Z niwy na niwę“.

Na zakończenie przytaczamy kilka „mitycznych“ piosnek. ze zbioru p. Ulanowskiej i w jej tłómaczeniu, chociaż po innych zbiorach i ładniejsze, i dziwniejsze napotykaemy. Jak u Litwina sierotę słońce, księżyc, gwiazda, Orion ¹⁾ za mąż wyprawiają (por. Bibl. Warsz. 1897, III, wrzesień, 422), podobnie śpiewa Łotyszka: „Ani mi ojciec balu nie wydawał, Ani mamunia wiana nie składała, Ani siostrzyczka razem szła, Ani braciszek z tyłu jechał — Księżyc mi ojcem był, Słońce moją mamusią, Jasna gwiazda razem szła, Jutrzenka z tyłu jechała“. W innej piosence wraca zamężna siostra do braci: „przez kwiecistą rzekę na kwiatach się przeprawia, przez złotą, na garści złota, przez słoneczną na *słońca córce* i obdarza braci kwiatami, złotem, a najmłodszego *słońca córką* (zwykłą sobie dziewczyną). Wszystko to przenośnie, nie mitologia, podobnie jak mosty z różanych listków, z żytnich kłosek lub starych talarów; jak złota kołyska, w której panienka pod zieloną lipą śpi, jak złote uzdy i dery, które i w nocy kawalerom przyświecają. „Dziewczęcia złotą koronę unosi zielony szczupaczek, na zielonej trzciny ko-

¹⁾ Orion, po litewsku *setas* i *setinas*, też po łotewsku, nazwany od *sita*; za-przecono temu; jednak i na Czarnej Rusi Orion *rzeszotem* się zowie, Federowski, lud białoruski I. 1897, str. 150, taksamo u Finnów.

nuszek, w głębokiego morza dnie — młode dziewczęta nie wiedziały, gdzie słończko w nocy śpi, w głębokiego morza dnie, na zielonej trzciny koniuszku“. W jednej kołodzie, w pytaniach i odpowiedziach, o Dorocie (albo o małej myszce), śpiewają: „gdzie podziała się rosa? ściekła do morza; gdzie podziało się morze? Boże konie je wypily gdzie podziały się Boże konie? Boży synowie pojechali Słońca córkę swatać (albo Boży synowie ich zajeździli; gdzie podzieli się Boży synowie? Córki słońca ich przekleły).“ W innych pieśniach *na słońca dworze* znaczy: na ziemi; *dwaj boscy synowie* ułamali wierzchołek różyczki (duszy zmarłego z żalu), ustroili nim czapeczki, wchodzą do Maryi kościoła; lub: Konie rzą, dzwonki grają, *bożyczek* prowadził koniuchów — pasterze śpiewają, krowy ryczą, *miła Maryja* pasterzy prowadziła; albo krówkę pstrokatą święta Maryja pstrzyła, świętym rankiem pasąc. Jeszcze dziwniejsze pieśni jak np.: „u Bożenka dobrze żyć, trzy źródła w podwórku, jedno piły pstre krowy, drugie siwe koniki a w trzecim słońca córka kieliszeczki bielila; słońca córka prała, na „lotusie“ stojąc; Bożenku! twój to cud, że nie utonąła. Drauchajcie ogień, łamcie łuczywo, Prowadźcie Boga do chaty; Bożyczek stoi za wrotami Na spoconym koniku“. Albo: Kowalczyk (o kowalu srebra nieraz śpiewają) kuje w niebie, Węgle rzuca do Dźwiny, Ja posłałam prześcieradełko, Mnie narzucal sreberka“. Wszystko to raczej łamigłówki i zagadki, niż mitologia.

Mitologią zaś, t.j. wspomnieniem o pogańskim bóstwie, trącą piosenki, śpiewane np. przy narodzinach i chrzcinach. W nich to mąż żonie do „pirci“ (łaźni) most buduje, by nie zamoczyła nóżki, idąc śladem Łajmy (doli); proszą Łajmę niech śpieszy, choćby i boso przyszła, niech da złoty klucz: otwierający lekko drzwi (rodów); mąż zamyka żonę w łaźni Łajmy, Bóg wie, Łajma wie, czy ją znouu na słońce wypuści; ofiaruje żona złoty pierścień, wchodząc. „bierz Boże złoto, nie bierz duszy“; nie wszystkim Łajma podkłada jedwabne prześcieradła; przyniosła ona czystej wódeczki, złoty ręczniczek, obetrzeć oczeńka (dzieciatka), Śpiewa i dziewczynka: „mała byłam, nie rozumiałam, weszłam do łaźienki Łajmy, mnie Łajma krzesło podała, błyskotkami obwieszając“. Ciekawy i obrzęd wybierania żerdzi w lesie, aby potem na niej u pułapu kołyskę zawiesić, połączony z żartami i z hojnem ugoszczeniem; szczegóły zapisane w Materiałach Etnograficznych p. E. Woltera I, 1890, str. 127 i 148. Do tego obrzędu odnoszą się zwroty piosenek, np. gdy córeczka (zameżna) posyła ojcu sto pozdrowień „za kołyski powieszenie“, lub jeśli pytają: „Kto wilkowi, kto niedźwiedziowi w lesie wieszal kołyskę? Zamiast Łajmy i tu występuje nieraz Maryja św.; ona daje ręcznik czy obrus; jej pytają, co jej dać za ofiarę — kureczkę czy owieczkę? owieczka niech dla dziecięcia zostanie.

II.

Staliśmy wreszcie u celu.

Zebrawszy materiał, co starszy i ważniejszy, należało-by go teraz objaśnić; na niejednen szczegół zwróciliśmy już i wyżej uwagę, dajmyż jeszcze kilka próbek tego, jak wierzenia litewskie objaśniać *należy* lub *można*; w wyborze ich kierujemy się przeważnie idea, jaką wyłuszczyliśmy na końcu ustępu.

1. Zacznijmy od owego podania o *Golędach* (dodajemy, że w dyplomatach polskich średniowiecznych, np. r. 1065 spotykamy imię jeńca jakiegoś, Golędzin; a może i podlaski *Goniądz* od nich przezwano wreszcie, że r. 1058 zwyciężył kijowski Izięslaw „Golędz“). Gdy ziemia przeludniona ich dostatecznie nie żywiła, kazali zabijać dziewczęta a chłopców dla wojny chować—matkom zaś, karmiącym pokryjomu dzieci, urzynali piersi; ciągu dalszego podania nie powtarzamy. Fakt zabijania lub wysadzania dzieci, przeważnie dziewcząt, był i bez wszelkiego głodu u wszystkich Prusów ogólnym, trwał jeszcze w XIII wieku w całej sile — nie zapomniano o nim podanie; lecz cóż znaczy w tym związku urzynanie piersi? czemuż były-by matki chłopięta dla wojny karmiły? sam szczegół zaś tak okropny (znamy przecież obrzynanie piersi tylko jako karę w poszczególnych wypadkach), że ludowe podanie dowolnie (i niezręcznie) chyba go nie wykomponowało. że się raczej coś innego pod tem kryje. Otóż dla trafnego wytłómaczenia, łączymy obrzynanie piersi nie z karmieniem zbytecznej dziatwy, lecz z głodem, (naturalnie nie dla przeludnienia!) grożącym Golędom. Gdy bowiem ziemia pokarmu odmawia, należy ją przebłagać czy zmusić, by łono otworzyła; jak w długotrwałą spiekę przy ofierze wylewaniem wody do źródeł i dołów, oblewaniem pewnych postaci i t. d. z nieba deszcz sprowadzają, tak w czasie głodu otwierają piersi, symbol i schówek wszelkiego pokarmu ziemskiego, kaleczą kobietę lub kobiety, przechowujące, zatrzymujące w piersiach wszelki pokarm i obfitość. I tak opowiada ruski latopis pod r. 1071: gdy raz niedostatek w Rostowskiem panował, ruszyli się dwaj wieszczkowie od Jarosławia, prawiąc: „my wiemy, kto to urodzaj zatrzymuje“. I poszli oni wzdłuż Wołgi i Szeksny; gdziekolwiek przyszli do włości, tam nazywali znacniejsze niewiasty. twierdząc: „ta-to zatrzymuje zboże, a ta miód, a ta ryby, a ta skórę“. I przyprawiano do nich siostry, matki i żony wła-

sne; oni zaś przerznawszy je za plecami, wyjmowali czy zboże czy rybę i zabijali takim sposobem wiele niewiast... Gdy urzędnik wielkiego księcia pytał obu: „dla czego zatraciliście tyle ludzi, twierdzili oni“: ci-to zatrzymują urodzaj; jeżeli ich zgładzimy, będzie obfitość; jeżeli chcesz, przed tobą wyjmiemy z nich zboże, czy rybę, czy co innego.

Przesąd ten istnieje po dziś dzień u Mordwy, lecz już tylko symbol tego pozostał, co niegdyś dziki Fin w istocie tworzył. Po modlitwie codziennej zarzuca gospodyni worek z jadem na plecy — za jednym cięciem gospodarza wypadają z worka chleby i t. d. Przypuszczamy więc, że i u Gołędów w czasie głodu kobiety kaleczono, jako zatrzymujące pokarm i obfitość — straszny szczegół przechował się w podaniu i połączył z innym, z dzieciobójstwem; zniewagi swej i morderstw musiały wreszcie kobiety na mężach pomścić i tak to uległ zagładzie szczep Gołędów.

2. Wedle mistrza Wincentego (Kadłubka) jest powszechnym obłędem pruskim, że *dusze* po wyjściu z ciała *przechodzą* w nowo narodzonych, inne zaś *zwierzęceją*, przechodząc w zwierzęta; poświęcili więc Jaćwingowie chętnie życie młodzieży — zakładników, gdyż szlachetna śmierć odrodzi ich jeszcze szlachetniejszymi. „A zatem, twierdzono, istniała wiara nie tylko w przechodzenie, lecz także w doskolenie się duszy. Zwierzęcenie zaś duszy tylko tyczyć się może duszy złego człowieka“. Innemi słowy, byłaby to wiara w metempsychozę, jaką z Egiptu przejąwszy, Pitagorejczycy po świecie klasycznym szerzyli, i brakłoby tylko Prusom oznaczenia doby, jakiej dusza dla wypełnienia kręgu stworzeń wymaga, abyśmy ich choćby między Platoników policzyli. Lecz wprowadzenie etycznego momentu (duszy dobrej i złej) i rozróżnianie ciał szlachetniejszych i mniej szlachetnych, stopniowi kultury, jaki Prusowie zajmowali, nie odpowiada. Łotysze znowu wierzyli, że dusze po części w wilków lub niedźwiedzi, po części w bóstwa się przetwarzały. I tu niema zasadniczej różnicy; niedźwiedz i wilk są przecież u nich, jak u licznych Finów, bóstwami; wilka wręcz bogiem lub mężem leśnym Łotwa nazywała; zostać po śmierci wilkiem lub niedźwiedziem, toż to przecież taki sam zaszczyt, jaki czeka duszę królika afrykańskiego, przechodzącą po śmierci we lwa. Zwykli śmiertelnicy pędzili za grobem żywot, jaki na ziemi był ich udziałem, wedle powszechnego mniemania pruskiego; ginących zaś w obronie ojczystych progów i innych, znacznych ludzi, czekało przemienienie w leśnych panów czy bogów; później, miejscowo, uogólniono to może; *weli*, zmarli, wszyscy odpowiadali za wilków. Lecz, spyta kto, jakżeż mogła utrzymać się fikcyja, że dusze własnych, miłych przodków w drapieżnych szkodników się przetwarzały? Otóż sam

wilk nie szkodzi; on mści się tylko za urazy, lekceważenie przodka własnego czy obcego; nasyłają go czarodzieje—twierdził wiek szesnasty, jak nam Olaus o tamtych stronach opowiada — nie wilcy, ale wilkołacy głównie szkody wyrządzali.

3. Opowiada Hieronim praski o osobliwszej czci, jaką w głębi Litwy cieszył się *żelazny młot* niezwyklej wielkości; „znaki zodyaka“ rozbiły nim wieżę, w której potężny król słońce więził; należy więc cześć narzędziu, co nam światło odzyskało. Już Mannhardt zwrócił uwagę na kult młotów (kamiennych) na północy; młoty „Tora“ (pioruna) wyrabiano w Skandynawii dla czarów jeszcze w nowszych czasach; znajdujemy po grobach srebrne młoteczki jako amulety; hr. Ty szkiewicz opowiadał, jak wysoko chłop litewski cenił własności „kopalnego“ młota (zeskrobany proszek z wodą przeciw chorobom służył i t. d.). Lecz najciekawsze i najważniejsze świadectwo zapisane jest w historii duńskiej Saksona. Król wicz duński Magnus, syn Nielsa (r. 1105—1134), wracając ze zwycięskiego pochodu na wschód, kazał między innymi trofeami sprowadzić do ojczyzny „młoty niezwyklego ciężaru, jakie jowiszowemi (piorunowemi?) zwano i na jednej z wysp wedle dawnej wiary czczono. Starożytność bowiem, chcąc przyczynę grzmotów zwykłych rzeczy podobieństwem pojąć, wpadła na olbrzymie młoty kruszcowe, wywołujące niby ów łoskot na niebie, mniemając, że tak głośną siłę pod postacią kowalskich narzędzi najtrafniej naśladować należy“. Widzimy więc, że żelazny młot litewski to piorun, jakim czy powłokę chmur latem, czy raczej więzy śnieżycy i lodów na wiosnę życzliwe ludziom siły niebieskie rozbijają; czczono także młoty. i trzysta lat przed Hieronimem, na wyspie, pewnie fińskiej, może u Estów Ozylii. może jako narzędzie ich Tarapita — Jowisza? Lecz co znaczy liczba dwanaście u Hieronima? student uniwersytetu praskiego o znakach zodyaku myślał, o których kapłan litewski chyba nic nie wiedział. Jeśli tej liczbie ogółem dowierzać wolno, przypomnielibyśmy, że w białoruskiem a raczej czarnoruskiem podaniu „była sobie jedna kobieta, Marta, miała *dwanaście* synów, którzy byli szczęśliwi. Potem Bóg zrobił ich piorunami, żeby po całym świecie czartów zaganiali do piekła i t. d.“ (Federowski, lud białoruski I, 1897, str. 152). Wystawianie dyabłów na pociski gromowe jest ogólnoeuropejskim przesądem, jaki i na Litwie już od wieku szesnastego pierwotne pojęcie odmienił: chrześcijańska ekonomia niebios musiała w inny sposób siłę piorunu użytkować.

4. *O gajach świętych*, z których i drzew, zwałonych wichrem, uprzętnąć się nie godziło, opowiada Długosz (XIII, 160), że świętymi były i zwierzęta, chroniące się w nich, tak, iż przez ciągły ów zwyczaj czworonożne i ptaactwo tych lasów, jakby domowe jakie, nie stroniło

od ludzi. Skoro zważymy, że dla Litwina gaje takie były rzeczywiście nietykalnymi, że sam Mindowg nie ważył się w nie wchodzić lub różeczkę w nich ułamać, zrozumiemy to podanie. Toż samo donosi w starożytności Strabon o Henetach: były u nich dwa gaje; Hery i Artemidy, „w gajach tych ulaskawiły się zwierzęta i jelenie z wilkami się kupiły; gdy się ludzie zbliżali i dotykali ich, nie uciekały; skoro gonione od psów tu się schroniły, ustawała pogoń“. I bardzo trzeźwi mitografowie uznawali w tych gajach heneckich tylko symbole, „pojęcia o kraju bogów i o czasach rajskich“, przykład litewski poucza zaś dostatecznie, że podanie to, jak tyle innych, które najmylniej *symbolicznie* tłumaczą, należy rozumieć *dostłownie*, o prawdziwych gajach i zwierzętach, nie o jakimś raju i towarzyszach Adama; przesada w podaniu naturalnie razić nie może. Badania mitologiczne byłyby już oddawna o wiele głębiej dotarły, gdyby mania symbolizowania wszelkich szczegółów, i dziś jeszcze nie wykorzeniona, nie odwracała ich na manowce.

5. Czem były właściwie łotewskie *atmeschenes viete*, miejsca „zrzutu“ i kamienie święte? Jezuita Rostowski, czerpiący z tej samej relacji r. 1618, którą wyżej przytoczyliśmy, rzecz retorycznie zabarwił, prawil o „kamieniach i skałach, czczonych jako bóstwa“, sześć takich „oltarzy“ około Rzeżycy i Dyneburga wywróciła missya zakonna i rozpedziła tłumy ofiarników; lecz retoryką taką Rostowski tylko w błąd wprowadza. Źródło jego mówi o czemś zupełnie innem: kamienie te nie były bowiem jakimiś oltarzami dla czci boskiej ani dla ofiar licznej drużyny; w każdej niemal zagrodzie można je było znaleźć, bądź w kuchni, bądź w gunnie, choć się z niemi starannie kryto; dotykał się ich tylko, kto moc miał (pospodarz); on zrzucal na nie zrzynki potraw i skrapiał je krwią ofiarną. Te „miejsca zrzutu“ zaginęły dziś u Łotyszów, lecz istnieją np. u Mordwy. Każde tam domostwo posiada swego Kardas-siarko; w jamkę śród dworu, przykrytą kamieniem, wlewają krew ofiarną i t. p.; jamka ta jest siedzibą i oltarzem owego ducha domowego, rządzącego innemi, niższemi; który Mordwin zaś pod wpływem cywilizacji jamki tej na swem podwórzu już nie pilnuje, ten umieszcza zato swego Kardas-siarko pod progiem chaty. Kamienie oznaczały więc miejsce, pod którem duch domowy, taki litewski *dīnstipats* np. (t. j. pan zagrody), ofiary przyjmował. Zwracamy zarazem uwagę, jak często Łotysz, np. Usiniowi, w *jamce*, wyłobionej kołem, ofiaruje takie wlewanie i wtykanie w ziemię, wskazuje to chyba na pojęcie Usinia i in. jako bóstw pierwotnie ziemskich, stojących pod władzą Żempatów, albo Żeminy. Nie mieszamy więc tego kultu domowego z właściwym kultem skalnym, zaświadczonym u Litwy skądinąd.

6. *Wilkołacy* w dzisiejszej łotewskiej tradycji, ile wiemy, nie występują inaczej lub znamiennie, niż w tradycji ościennej, np. ruskiej; co Einhorn opowiadał o dwojakiej ich istocie, przyrodzonej i nabytej, można włożyć na karb książkowej tradycji, datującej dla północy głównie od wspomnianego wyżej dzieła Olaus. Przechodzenie dusz zmarłych w wilki w żadnym niemal związku nie stoi z likantropią, t. j. z wiarą w ludzi żywych, czasowo lub na zawsze przetwarzających się lub (od czarodzieja, wiedźmy czy dyabła) przetworzonych w wilki; likantropię mógł częściowo wywołać zwyczaj maskowania się, przebierania za wilka lub niedźwiedzia, jak bersalierzy północy, dla spotęgowania wyglądu wojowniczego, co inni potwornem malowaniem i t. p. osiąkali. W tradycjach ludowych o wilkołakach uderza jedностajność (np. o przemianie ślubnej pary orszaku weselnego w wilki) i pytaliśmy się mimowolnie, czy drogą sztuczną i późną, książkową, lub opowiadaniem (likantropia w Europie właśnie w szesnastym wieku w ogólną manię się wyradza) obłęd ten ponownie się nie szerzył; przynajmniej dla Litwy żadnych starszych wiadomości nie mamy. Dodać można, że jeżeli wilkołacy najczęściej około Bożego Narodzenia występują, to wpływa na ten przesąd nie tylko zgłodniałość wilków owej pory, lecz może i zwyczaj (maskowania się) biegania z wilczą skórą po kołodzie i drażnienia psów wiejskich, o czym nawet przysłowia wspominają (biega z nim, by z wilczą skórą po kołodzie, Rysiński). Właściwą likantropię odróżniać należy wreszcie i od odwiecznej a powszechnej władzy czarodziejów — goniących chmury i czarownice, pożerających miesiąc, — zamieniania własnej lub innej osoby w jakiegokolwiek zwierzę.

7. Analogiami *fińskimi* dla objaśnienia motywów litewskich, głównie zaś łotewskich, posługiwaliśmy się z umysłu. Już nieraz mimochodem zwracano uwagę na podobne analogie, wskazywano na czyisto fińską rolę, jaką u Łotyszów np., nigdy zaś u Litwinów, w obrzędach, towarzyszących narodzinom, łaźnia, *pirć*, odgrywa; na pojęcie zorzy północnej, jako odbłyску płomiennych mieczów walczących duchów; nie przytaczamy rzeczy wątpliwych, np. czy nazwa jumisa i jumaty (sporyszów) nie stoi w związku z fińską nazwą wielkiego bóstwa; samo występowanie owych łotewskich żeńskich bóstw opiekuńczych, wody, bydła i t. d., owych *jurasmate*, *lopumate* i t. d. przypomina stosunki fińskie, np. u Mordwy, gdzie tę matę *zyrjaw*a zastępuje, albo u Estów, gdzie *emma* podobnie się zjawia. Odwieczne sąsiedztwo fińskie nie pozostało więc bez wpływu na wierzenia łotewskie. Wpływy skandynawskie widoczne np. w owym *blukuwakars*, wieczorze kłocu, na Boże Narodzenie (dziś czwartkowe wieczory tak zowią, w które się prząść nie godzi dla szkód w ogrodzie i polu, a i *blukis* się wyodrębnił

i sam straszy, jak niemiecki Ruprecht); ruskie w *Koładzie* (dawny przypiew igryszcz świątecznych, dzisiaj krzyki, spory, kłótnie oznacza), *Kucze* (kutja), *Usiniu* i indziej.

III.

Przechodzimy do ostatniego, najważniejszego zagadnienia, dla którego całe rozwlekłe studyum podjęliśmy. Co należy sądzić o mitologii litewskiej? pytanie tem bardziej uzasadnione, skoro w najnowszych czasach, ze stron, zdawałoby się, najkompetentniejszych, mitologii litewsko-łotewskiej decydującą rolę przyznano; skoro klucza mitologicznego, zagubionego w Indyi i Helladzie, szukają nad Niemnem i Dźwiną.

I tak *Maks Müller*, koryfeusz dawnej szkoły mitologicznej, w najnowszym swem dziele, powtarzającem zresztą stary temat na stare łądy, z Łotwy niemal zbawienia dla swej solarnej mitologii oczekuje, zwiedziony owemi przerośniami i obrazami, w jakie piosnka łotewska słońce-mateczkę, jej córy, dwór i t. d. wciąga *). *Herman Usener* znowu, poznawszy mitologię litewską i łotewską, zarzucił zupełnie poglądy, utrwalone wieloletnimi studjami, i wedle systemu żmudzkiego odtwarza stopnie rozwoju wierzeń mitycznych, w dziele p. t. „Potternamen, Versuch einer Lehre von der religiosen Begriffsbildung“, Bonn 1896. Cóż takiego dopatrzył on w mitach i bóstwach łotewskich i żmudzkich?

Pod wpływem mitologii klasycznej złożyły się nasze wyobrażenia o wierach pogańskich w ten sposób, że z góry przypuszczamy w nich istnienie kilku lub kilkunastu bóstw wyższych, wielkich, z pra-

*) Contributions to the science of mythology, London 1897, tom II str. 430—440; próżno szukalibyśmy w jakiegokolwiek literaturze przesłanek świata duchowego, otwartego nam w Wedach... lecz może należy uczynić nam wyjątek dla Łotwy... tu spotykamy, obok idei nowszych, chrześcijańskich i mohametańskich (!), równocześnie myśli i zwroty, w swej prostocie nietylko wedyjskie, ale wydające się nam nieraz więcej prostemi, pierwotnemi i zrozumiałemi, niż frazeologia mitologiczna hymnów wedyjskich... (żałując, że zbiorów zmarłego Mannhardta dotąd nie ogłoszono, woła M. Müller): wielki skarb tu ukryty, czyż nikt go nie zdobędzie? Jeszcze więk-
szych rzeczy spodziewa się on po tradycyi litewskiej, skoro i język litewski staro-
żytniejszy, niż łotewski.

staremi, niezrozumiałemi już dla zwykłego śmiertelnika imionami, z pewnemi attributami, ze ściśle określoną władzą na niebie czy na ziemi; obok nich istnieją bóstwa drobniejsze, miejscowe, z całym orszakiem półbóstw, duchów opiekuńczych ludzi, zwierząt i roślin. Więc uderzają naszą uwagę w Grecyi głównie: Zeus, Hera, Atena, Apollon, Ares i inni, w Italii: Jowisz, Juno, Mars, w Indyi: Indra, Mitra, Rudry, w Giermanii Wotan, u Słowian Swarożyc i Świątowit.

Zupełnie odmiennym jest wygląd mitów łotewskich i żmudzkich. Zamiast owych osobistych imion bóstw, niezrozumiałych już np. dla Homera, i zamiast osobistości boskich, z całkiem indywidualnemi rysami, attributami i funkcjami, wszystkie bóstwa łotewskie przedstawiają jeden typ: bez kształtów, bez nazw osobistych, bez indywidualnych znamion, są to same żeńskie uosobienia sił przyrody; Łotysz w wieku szesnastym nie miał właściwie bogów, wiedział tylko o „matkach“ wód, ziemi, ryb, krów, kwiatów, pola, lasu, dróg i t. d. Spółczesny olimp żmudzki nie znał wprawdzie takiej wyłączności postaci żeńskich, lecz w gruncie rzeczy mało od łotewskiego typu się różnił.

Otóż wracamy na chwilę do relacyi Imp. Laskowskiego. Uderzało w niej nie tyle mnóstwo wyliczanych bóstw, ile przejrzystość ich nazw i towarzyszące jej ograniczenie bóstw samych do najdrobniejszych funkcyi. Nam, przyzwyczajonym z innych mitologii do bóstw, władających niebem, ziemią, morzem i otchłanią, trzęsących światem, żywiołami i ludźmi, wydawały się śmieszną karykaturą żmudzkie bóstewka Laskowskiego. Wylicza on między nimi np. takiego Kierpicza i Silinicza, bóstwa mchu leśnego, jakim chyba szpary w belkach zatykać można; wylicza dalej osobnego bożka dla prosiąt, dwóch osobnych dla świń, a dla jagniąt aż trzech; jest u niego osobny bożek dla szeptu; dwaj czuwają nad zgodą i pokojem, Ligicz i Derfint, trzeci, Bent wyprawia kilku razem w drogę. Z nimi licują znakomicie: bogini zagniecionej na chleb mąki, albo kwasu; bożek gaszący iskiarki; bożkowie czesania lnu, barwienia wełny, (podwójni, a jeden z nich raczej gnojówkę oznacza), bogini budzenia ludzi, węglów domowych (w kilku zupełnie odmiennych okazach, z których jeden między drobiem się wylągl); bogi naczynia domowego, orzechów, pszczół (dwojacy, lecz o różnicy ich funkcyi nic nie wiemy) i tym podobni inni. Że o niektórych swych bóstwach prócz imienia Laskowski nie podać nie umie, świadczyłoby raczej za jego prawdomównością, gdyby nie fakt, że same nazwy bóstw tych Laskowskiego tylko kompromitować się zdawały, gdyż odnajdziemy między nimi, i bożka brzozonego i bożka od kija miotłowego, a gdyby wszystkie te nazwy w dokładnem, nie w wykoszlawionem, brzmieniu zapisane były, odkrylibyśmy pod nimi pewnie i innych dygnitarzy podobnej miary. Co jeszcze więcej powa-

gę tych bóstw naruszać się zdawało, to np. bożek osobny, strzegący krzyżów po mogiłach, a więc sługa chrześcijaństwa. Więc całkiem konsekwentnie w najnowszej fabryce bóstw, u p. Veckenstedta, odnalazły się bóstwa fajki, pirogów i pijaków (pipka, piraga i pijokas). Przypuszczano ogólnie mistyfikację, jakiej ofiarą padł Laskowski, albo nieporozumienie jakiegokolwiek inne. Akielwicz np. posądzał Laskowskiego, że to on tylko w ciągle powtarzanych okrzykach żmudzkich, wai diewuli (bożenkul), fałszywie mitologię, wzywaniu osobliwszych bożków, wietrzył.

Otoż w tej to małostkowości i przejrzyści bóstw żmudzkich, śmiesznej niemal i karykaturalnej, zachowałby się wedle p. Usenera, właściwy klucz do rozwiązywania zagadek wielkich koncepcyi mitycznych, Zeusa i Apollona, Junony i Marsa, Indry i Wotana (Odyna), Swarozyca i Świętowida. Skarlale owe bóstwa lotewskie i żmudzkie, z przyrzeczoną dokładną etykietą ich funkcyjek, nie stoją bowiem w świecie mitycznym całkiem odosobnione; dublety ich powtarzają się najpełniej w starym Rzymie.

Pojęcia o mitologii rzymskiej, zupełnie jednostronne, czerpiemy wyłącznie z poetów, wzorujących się znowu na poezyi obcej, greckiej; istotne zaś wierzenia rzymskie, nad których całością i niewzruszonością dla dobra państwa *pontifices* czuwali, były zupełnie odmiennej natury; wypełniały je same bóstewka à la Laskowski, tylko jeszcze o wiele drobniejsze i jeszcze o wiele przejrzystsze. Bóstwa rzymskie, których nie poeta, mówca, lub wódz, lecz chłop italski, kapłan rzymski i gospodyni domu wzywali, w stałych, odwiecznych formach, były to najprymitywniejsze uosobienia wszelkich, aż do najdrobniejszej, faz w życiu przyrody i ludzi. Cały proceder rolniczy np. stał pod opieką niemal kilkudziesięciu tysięcy osobnych bóstw, którym, przy rozpoczynaniu odnośnych robót, modły i ofiary należały; był więc np. osobny bożek od gnojenia, osobny od pierwszego kiełkowania kłosu, od pędu do góry, od nalewania się ziarenek i t. d.; były osobne bożki od wierzei i zawiasów u drzwi; osobne bożki od kolebki, od ząbkowania, od przestachu u dzieci, a każde z tych bóstw nosiło nazwę, wyrażającą dokładnie tę jego funkcyę. Spisy tych bóstw zawierały osobne księgi liturgiczne, tak zwane *indigitamenta*, z których wymieniał je *pontifex* kapłanowi, sprawującemu dla nich ofiarę.

W przeciwstawieniu do wielkich, ogólnych koncepcyi mitycznych, olimpijskich, nazwano bóstwa takie „wydziałowemi“ (*departament god, Sondergötter*); od nich właśnie wychodzi teoria najnowsza. Twierdzi ona, że np. i u Greków pierwotnie tylko takie miejscowe bóstewka, z drobną funkcyą i przejrzystą nazwą, istniały; z czasem traciły niektóre nazwy ową przejrzyść, z powodu zmian głosowych, stawały

się niezrozumiałemi i przez to samo nadawały się nazwane tak bóstwa do przyjmowania coraz liczniejszych i coraz rozleglejszych funkcji, tem bardziej, że przecież i między funkcjami samemi istniały zawsze znaczne różnice: bożek światła niebieskiego, wzywany codziennie i wszędzie, musiał mimowoli nabierać powagi i znaczenia, obcych bożkom myszy lub mszyce, wzywany może raz do roku na polu lub w winnicy. Otoż zbieg znaczącej funkcji z tajemniczą nazwą dawały podkład dla wyniesienia się takiego bóstwa nad inne; udawano się coraz częściej, coraz wyłącziej, o pomoc skuteczną do niego; ono wchłaniało inne bóstwa, spadające do rzędu jego atrybutów; zaś własne jego atrybuta i funkcje, wypływające z jego pierwotnej istoty, nabierały teraz nowego znaczenia, wywoływały opowiadania, które-by je tłómaczyły, t. j. mity; tudzież opierano o nie rodowody boskie, dawniej nieznane.

Lecz teoria, niezadowolona tym wynikiem, sięgnęła jeszcze głębiej, i bóstwa „wydziałowe” nie są dla niej najpierwotniejszym osadem myśli religijnie podnieconej; z tej wyłaniały się niegdyś „bóstwa chwilowe” (*Augenblicksgötter*); sam spadający grom był już bogiem (litewski *perkūn*) jak Macedonowie *Keraunos*, grom ubóstwiali); sama włócznie, na którą kto przysięgał, stawała się jego bóstwem. Później dopiero ustalały się takie bóstwa w szeregi licznych a drobnych istot mitycznych; różniczkowały się dalej te istoty, większe wchłaniały w siebie coraz więcej funkcji i mitów, mniejsze ginęły; a ostatecznym celem, do jakiego religije pogańskie zdążyły, było-by wytworzenie jednej ogólnej koncepcji mitycznej, jakiegoś panteizmu. Dawniej więc sprowadzała teoria mity i bóstwa do jednego *mianownika*; odnajdywała np. w każdym micie i bóstwie symbole dramatu słonecznego, odgrywające się na niebie i pod ziemią, więc owo prześladowanie i porywanie Dafny czy Heleny (jutrzenki), owo zawieszanie złotego runa czy jabłka (słońca) na drzewie światowym (niebie), dalej opanowanie jego i strzeżenie zazdrosne przez potwory nocy i zimy, smoki i t. p. w grodach (Troj), jaskiniach i wieżach (Danae), wreszcie odzyskanie zwycięskie przez bohatera (słonecznego) Jazona czy Heraklesa i t. d. Wedle innych teorii znowu wyrażały niemal wszelkie mity fazy dramatu napowietrznego, burzy, owo zazdrośne zamykanie przez rozmaitych potworów życiodawczej wilgoci, owego pokarmu niabiańskiego, w czarnych chmurach — okowach, roztrzaskanie tych oków przez piorun — słońce, dojenie krów niebieskich — wylwanie ich pokarmu na ziemię i t. d. Podobne tłómaczenia ustają teraz; pytalibyśmy odwrotnie, na podstawie nazwy i szczegółów kultu, jaka była pierwotna odczyzna i funkcja bóstwa i kultu; do jakiego rzędu zjawisk one należały, co spowodowało zlewanie się, jednoczenie mitów, kultów i funk-

cyi, gdyż konglomerat ich, nie jednolitość, przedstawia każde wyższe bóstwo. Jeśli np. wzywają przeciw pladze polnych myszy Apollona Smintheusa, to nie jest to żadna symbolika promieni słonecznych palących, ogryzających zboże, jak myszy, lecz był dawniej osobny bożek samych tylko myszy, Smintheus, zlany później z Apollonem, a ten pierwotnie nie był wcale bogiem słońca—tym bowiem był Helios, słońce—lecz, jak nazwa jego dowodzi, bogiem odwracającym, goniącym (złe, pod wszelkimi postaciami), użyczającym później wszystkiego (dobrego, zdrowia, życia, światła, słońca). Mitologia grecka z wielkimi koncepcjami mitycznymi przedstawiała-by więc późną ewolucję pojęć i obrazów mitycznych, których, względnie pierwotną, podstawę odnajdujemy w Italii i na Litwie; sama przejrzystość nazw „boskich“ przeszkodziła tu zlewaniu się funkcji i wytwarzaniu jakichkolwiek mitów; i u Greków bowiem, im nazwa przejrzystsza, tem uboższe bóstwo w atrybuta i mity; jak bladą rolę odgrywają np. Helios-słońce, Seleno-księżyc lub Gaja-ziemia; żaden mit niemal nie splótł się około ich skroni, mało który rzeźbiarz kusił się o odtwarzanie ich kształtów; wobec przejrzystości ich nazwy zanikały wszelkie popędy mitologiczne.

Również wynika z tej nowej teorii, że mitologia porównawcza, która niegdyś tyle piór poruszała i takie oczekiwania budziła, wcale nie ma racji istnienia; postaci, jakie ona najgorliwiej wprzód rozbięrała i porównywała, takiego Zeusa, Indry i Wotana np., nie mają przecież nic wspólnego, nie wyrosły z jednej podstawy, nie są jednolitej natury, lecz rozrosły się olbrzymio a niezawisłe od siebie, z byle jakich, choćby i najdrobniejszych początków, które, dla każdego z nich z osobna, odszukiwać należy. Spólną może być tylko skłonność do synkretyzmu, do zbijania i skupiania drobnych bóstw, poszczególnych, we większe, ogólniejsze i do mitycznego tłumaczenia pierwotnych atrybutów indywidualnych, do opowiadań o bogach, do tworzenia mitów.

Lecz gdzież pewność, że bóstwa indigitamentów rzymskich i katalogów JMP. Laskowskiego dawniejsze od bóstw Homera i Wedów? Na tej przesłance oparta cała teoria; przypatrzmyż się jej uprawnieniu, rozbierzmy jeszcze pokrótce owe bóstwa litewskie.

IV.

Każda próba systematyzowania bóstw litewskich wychodzi z faktu, że Litwin nie znał ani świątyń, ani posągów; że nie urabiał wła-

sną ręką żadnych kształtów boskich i nie wznosił nad nimi osobnych gmachów. Domy święte, w których kapłani-ofiarnicy mieszkali; wieże, w jakich ogień święty nieustannie gorzał; narzędzia, jakimi niewidzialne bóstwa na ludzi i przyrodę widomie działały (np. owe młoty piorunowe); drzewa lub kamienie, pod którymi lub na których one przyjmowały ofiary; amulety wreszcie i resztki ofiar, kości, obdarzone częścią siły boskiej—wszystko to razem nie zastąpi jeszcze ani świątyń ani posągów. I nie przekazała nam cała bogata tradycja ani jednego szczegółu, świadczącego o przyjmowaniu kształtów czy rysów ludzkich przez bóstwa; niema nawet takich szczegółów, jak np. u Liwów, upatrujących w wyciętej na drzewie przez jakiegoś Niemca twarzy ludzkiej bóstwo niemieckie, więc wrogie Liwom, zdejmujących je z drzewa i posyłających wodą Dźwiny za odpływającymi Niemcami.

Przybierały wprawdzie i bóstwa litewskie postaci zwierzęce lub ludzkie; kryły się nawet stale, szczególnie pod kształtem wilków i niedźwiedzi, po lasach, a węzów po domach i robaków po polach; lecz z reguły, zwykłemu oku niewidome, żyły na niebie w świętym gaju, lub w świętej wodzie i w ziemi, lub skale; brały udział w ofiarach, wchłaniały dym tłuszczu, parę odlanego napoju, grzały się u ognia; same ofiary spożywali zaś śmiertelni; gdyż czynność, jaką, np. na niebie lub pod ziemią wywołać miano, musiano wpierw na ziemi wzorować. Więc jeżeli Żmudzin podczas burzy obchodził z odkrytą głową i z pościem na plecach zagrodę, mówiąc przytem „Perkunie bożeńku, nie strzelaj we mnie, proszę cię boże, rzucę ci polec”, a potem *sam* ten polec zjadał, to komizm w tem, jakąś niekonsekwencyę, odczuwał tylko chrześcianin.

Że bogowie przeważnie w gaju, w drzewach, mieszkali, było przekonaniem ogólnem; gdy gaje święte, widomy znak bóstw, niewidomych dla tłumu, wyrąbywano, zawodzili więc poganie, że odebrano im dom boży, w którym zwykli byli błagać pomocy bożej, skąd deszcze i pogodę otrzymywali, że nie wiedzą, gdzie szukać boga, któremu siedzibę odebrano“. Taki g-j cały za święty uchodził; szczególnie świętymi były i pojedyncze w niem drzewa, odznaczające się np. wiekiem i wielkością, lub jakiegokolwiek inne po-za gajami, o których nieraz tylko ofiarujący wiedział; przynajmniej czeladź pod Dyneburgiem nie znała drzewa, jakiemu ich gospodarze ofiary składali. Lecz nie mieszkalo bóstwo pod samą korą drzewa; gdy rozżalony Żmudzin, że przez tyle lat kury i jaja naprózno drzewu znosił, Laskowskiego pytał, czy je w odwet obłupić może, chciał tylko drzewo zelżyć, nie bóstwo z pod kory wypłoszyć; nie godziło się przecież ofiarnego drzewa lub kamienia i dotykać. Obecność bóstwa w lasach i gajach zdradzał szum drzew, gwar leśny; trzask gałęzi, wycie zwierza. Bóstwo

polne, zboża i urodzaju, mieszkało znowu na łąkach, używając żywności; gdy nadchodziły zimy, należało je więc przebłagać za ogołocenie niwy, podziękować za hojne zbiory i na rok przysły łaskę zaskarbić; przy owym dożynkowym obchodzie splatali Prusowie (z ostatnich snopów czy kłosów?) nieznanne nam kształty zwierzęce, czy ludzkie; zwąc je Kurkiem¹⁾, czcili je jak bóstwo. — Porównajmy teraz kult młotów gromowych u Litwinów.

Jakież były to bóstwa, co po lasach i t. d. mieszkały?

Spisy łotewskie i żmudzkie wielkich bóstw, prócz Perkuna, nie wymieniają, lecz z tego nie wynika bynajmniej, by ich i pierwotnie nie było. Chrześcijaństwo obalało bowiem za pierwszym zamachem wszelki kult bóstw wielkich, wszelki kult publiczny, wszelkie kapłaństwo i „świętynie“, chociaż do kultu domowego, prywatnego, nieraz ledwie po wiekach się dobiegało; żmudzki czy łotewski chrześcijanin i po wiekach, jeszcze zawsze czcił węża domowego, miał ogień w największym poszanowaniu, zrzucał pierwociny potraw i napojów na święte kamienie, pisał z największą wiarą wróżka, czy znachora, o zgonie rzeczy, powodzenia i zdrowia, chociaż o wielkich bóstwach ziemi i nieba dawno zapomniał — resztą pamięć o nich nigdy do niego, lecz tylko do kapłanów należała, z nimi też zaraz ginęła. Gmin pogański o „religii“ swej mało co wiedział; mity i kultury przechowywali kapłani między sobą. Tak tłumaczy się owa naiwność Żmudzina, pytającego, czy ksiądz Wężyk był przy stworzeniu świata, że o niem opowiadać umie; albo owego Łotysza, pytającego, gdzie dusza jego ojca, jakżeż on ożyje, skoro go wilki pożarły. W najdawniejszym dokumencie, u świeżo nawróconych Prusów, wymieniono np. tylko jedno bóstwo, którego kult z dożynkami był spleciony. dlatego też łatwo wykorzenić się nie dał; kult innych wielkich bogów publiczny widocznie już upadł, nie istniał więcej; chrześcijaństwo już się z nim nie liczyło, skoro zabrakło jego kapłanów.

Mimo to, zaprzeczyć się nie da, że mitologia litewska dążyła rzeczywiście do przerodzenia wszelkich bóstw w bóstwa „wydziałowe“, specjalne. Najkonsekwentniej stosowali Łotysze wszelkie

¹⁾ Nazwa, dotąd niewytłumaczona. spokrewniona może z łotewską nazwą „boga pól i zbóż“, *cerokla*, wskazująca na pędy roślinne, postawione pod opiekę jego. W każdym razie odpowiada ją *kurk* i *cerokl* „żytnim“ babom, dziadom, wilkom, świniom, kozom i t. d. albo snopom szczęścia i t. p. innych narodów europejskich, t. j. demonom zbożowym, sprawiającym żyzność a kryjącym się na rogu pola, pod kamyczkiem lub w ostatnim snopie, żółtym uroczyście, upstrzonym i obwożonym soleniami. Z pruskim *kurkiem* i łotewskim *ceroklem* łączymy żmudzką (Strykowskiego) *kruminę kłosów*, t. j. zarośl ich: warto zauważyć, że nazwy łotewskie i litewska stykają się i w innym, przenośnym znaczeniu (*ceroklis* żąb trzonowy, *kruminas* tożsamo).

czynniki fizyczne do żeńskich postaci „matek“, może pod wpływem fińskim; lecz i u nich istniały bóstwa innego rodzaju. męskie, np. ów *cerokl*, lub *dekla*, *lajma*; i możemy przypuścić, że owe „matki“ dróg, wód, krów i t. d. były wytwor-em późniejszym, degieneracją bóstw. U Żmudzinów bowiem już niema wcale tej jednostajności; nazwy męskie i żeńskie stale się zmieniają, nazwy po większej części przejrzyste, o ile ich nieudolność pisarska nie wykoszlawiła; lecz sam sposób tworzenia wielu tych nazw, np. przyrostkami — *czius* i — *icza*, przejętymi dopiero z języków słowiańskich, dowodzi, że i takie nazwy staremi być nie mogą. I rzeczywiście, cofając się do Prus i Litwy, spostrzegamy, że najdawniejsze nazwy boskie ani wedle jednej, stałej normy urobionemi, ani też przejrzystemi, zrozumiałemi nie były; pruski *kurk* i *natrimp*, litewski *andaj* i i., analizie językowej się nie poddają. Lecz i między nimi były już bóstwa „wydziałowe“ z przejrzystemi zupełnie nazwami: *medein* „drzewny“ (bóg) i *żverina* „zwierzęca“ zdradzają jawnie przezwanie bóstwa od samej funkcji, a co za tem idzie, brak mitów i opowiadań o nich i przedstawianie ich sobie co najwyżej w postaci jakichś leśnych potworów — olbrzymów lub raczej wilka i „suki“. *Medein* i *żverine*, nazwy wieku XIII, są utworzone przyrostkiem — *inis* od nazwy drzewa (*medis*) i zwierza (*żveris*) taksamo, jak u Strykowskiego w XVI wieku bóstwo *upinis* t. j. rzeczne (*upe* rzeka), *krumine* roślina (*krunos* krzak) *swiecpunstynis* (? bóstwo drobiu); u Laskowskiego *eżerinis* jeziorny (*eżeras* jezioro). Inne nazwy bóstw składają się z rzeczownika w przypadku drugim i *diewos*, więc *kelu diewos* (bóg drogi), *seimi diewos* (bóg semji t. j. czeladzi), *gulbi diewos* (bóg pomocy), u Laskowskiego *diewos* domyslać się trzeba, np. *audros* (fali t. j. bóg), *eraicziu* (jagniąt bóg); słowo *diewos* zastępują i *patis*, *pati* (pan i pani) lub *sargas* (stróż). Że o takich bóstwach, najprostszych personifikacyach, mity nie istniały, łatwo przypuszczać.

Pozostaje więc *Perkun*. I jego wymienia dopiero źródło trzynastego wieku. Lecz przerażał on wyobraźnię litewską już co najmniej tysiąc lat wcześniej. Dowodzą zaś tego narzecza fińskie, które od Estów i właściwych Finnów aż do dalekiej Mordwy na wschodzie, to imię litewskie przyjęły: estońskie i fińskie *pergel*, *perkele* dziś piekło oznaczają (od nich wzięli Lapończycy swego *perkal* — dyabła), a mordwińczykowi jeszcze dziś *purgine-pac*, pan gromu, na ziemię dla miłostek schodzi, niby Zeus do Semeli — chociaż wyłączone nie jest, że kult Perkuna, tem bardziej zaś ruskiego Peruna, od Gotów i Skandy szeryć się mógł. W każdy sposób najstarszy to bóg, z imieniem przejrzystem, bo oznaczającym sam piorun, lecz nie ściśle „wydziałowy“, bo nie ograniczony do samego gromu, pan nieba i słońca i wszelkiej pogody.

Bóstwa litewskie dzieliły się — na to zgadza się kilka relacji — na niebieskie i ziemskie. O niebieskich, prócz Perkuna, milczą niemal zupełnie źródła nasze, zwrócone wyłącznie ku ziemi. Na niej istniała (czy i na niebie?) cała hierarchia bóstw, męskich i żeńskich; rej wodzili „pan ziemi“ i pani, *zemiņa*; pod temi stali „panowie domowi“, „stróże pól“ i bogowie zbóż, bogowie leśni i zwierzęcy, bogowie wód itd., obok nich bogini losu, przeznaczenia, Łajma, jedna, dwie lub trzy siostry? Ciągłemu dalszemu rozgałęzianiu i rozdrabnianiu tych bóstw nie przeszkadzały żadne ściśle ustalone funkcje bóstw większych; przejrzystość ich nazw i bezkształtność ich samych pobudzały formalnie do tworzenia, w razie potrzeby lub tylko sposobności, na ich podobieństwo, coraz nowych bóstw, bóstw pszczoł, mchów, koni, krów, owiec, prosiąt, brzoź itd., w końcu i takich, coby się krzyżami u grobów chrześcijańskich opiekowały. Osobne, bardzo wybitne miejsce zajmował zawsze *ogień*, pośrednik między niebem a ziemią, wznoszący się ofiarą do nieba i spuszczaający się z niego gromem na ziemię, biesiada dla bogów, ogrzewający skrzepłe członki, i sam bóg, wymagający ofiar i dozoru, aby nie zniszczył chaty czy pól, pożerający ciała przodków na stosie i ciała jeńców ofiarnych. Kult ognia, zrozumiały aż nadto w kraju północnym, wśród lasów, mroków i mrozów, tak dalece Litwę charakteryzował, że ją jeszcze w czternastym wieku krajem „czcicieli ognia“ (*pyrsolatron*, w listach patriarchy wschodniego) nazywano; niebezpieczeństwo pożaru, przy suszeniu zboża i otwartem ognisku sprawiało, że jeszcze w XVI stuleciu Żmudzin Gabię - Agatę (por. słowa Łasickiego; ogień Agacie niby Weście poruczony w opiekę) kilkakrotnie wzywał, jako Matergabię, przy pieczeniu chleba. Pelen-gabię (Gabię ogniska świecącego), a szczególnie w suszarni, prosząc ją: bożyczko Gabia, wznos parę, spuszczaaj iskry, osobno jeszcze do *Tratitas kibirkštu* t. j. gasciela iskier, się zwracając. Nazwa świętej Gabii i po dziś dzień się przechowała, (por. Bibl. Warsz. 1897, III 443;) w Wornianach mówią i dziś jeszcze: święta Agato ze świętą Gabietą wybawcie mnie od ognia (Walter I, 136); polskie i ruskie brzmienie nazwy tu więc połączone.

I zaroilo się od bóstw około Litwina; losami jego kierowali niebiescy bogowie (i Łajmy?), których wolę zbadać (wyroczniami) i nakłonić (ofiarami) należało, od kolebki do grobu, w pochodzie wojennym czy w przymierzu ugodowem; potrzebami zaś codziennego życia, otaczającemi przedmiotami ze wszystkich działów przyrody, opiekowały się bóstwa ziemskie, w niezliczonej zgraji, 30000, jeśli Hezyoda liczbę na nich by przenieść można. I spoufalił się Litwin z tem mrowiem boskiem, przybierającym nawet kształty owadów, robaków i gadów, pełzającym około ogniska, bydła domowego, i na polu, mściwem tylko,

jeśli drażnione lub despektowane. Zdziwieni zaznaczali chrześciance, że przesądny Litwin ubóstwiał wszystko, aż do ropuchy i do mieliska, że nawet poszczególny ród, okolica, dom, własnych miewały bożków, wyłącznie im przynależnych. Tak przedstawia się pogaństwo litewskie przed samym swoim zanikiem, lecz przewaga mrowia boskiego pewnie z późniejszych datuje się czasów. Samo tak znaczące występowanie kultu Perkuna i ognia sprzeciwia się hipotezie Usenera, żeby te roje bóstw pierwotny podkład wierzeń litewskich stanowiły. I Litwin miewał niegdyś większych bogów, a ocalał z nich Perkun i dla funkcji, i dla przejrzystości nazwy—o innych zapomniano; z bogów wymienionych w wieku trzynastym, powtarzają się w trzysta lat później już tylko nazwy przejrzyste, specjalne. Że bóstwa „wydziałowe“ przedstawiają dosyć wczesną fazę wierzeń mitycznych, o tem żaden mitolog-etnograf nigdy nie wątpił; lecz rozwój dalszy mógł się odbywać w dwojakim kierunku: albo dążąc do coraz ogólniejszych, wyższych koncepcji, mitycznych, jak u Greków, Indów Celtów, Germanów, Słowian; albo spuszczać się do coraz niższych, drobniejszych, jak u Italów i Litwinów; bóstwa indigitamentów i katalogu Laskowskiego nie są w naszych oczach pierwotniejsze, starsze, niż bóstwa Homera i Wed, przedstawiają nam tylko rozwój krańcowy w odwrotnym kierunku.

Lecz przedmiotem kultu litewskiego nie były wyłącznie bóstwa większe i mniejsze; duchy przodków, wznosząc się do nieba i spuszczać na ziemię, sprzęgały je niewidomym łańcuchem. Od właściwego kultu przodków można oddzielić wierzenia w życie zagrobowe; połączone one zwykle z przedstawieniami miejsc zaziemskich, do których odbywa się podróż napowietrzną, jak u Prusów, lub wodną, jak u Łotyszów; w piosenkach litewskich nieraz mowa o głównej ich wodzie, Dźwinie — Daugawie, zaciemnionej od roju duszyczek, a zagadka o czólnie brzmi dziś jeszcze: „żywym będąc, zieloną koronę nosi. umarłym—*drogą duszyczkę*“. Lecz pobyt na dalekim zachodzie, za drogą słoneczną, albo nie ogarnia wszystkich dusz — inne zostają tu na ziemi, jako zwierzęta lub bóstwa opiekuńcze — albo nie wyłączają ich powrotu na ziemię, przynajmniej chwilowego, gdy po zbiorach, w czasie *itgów*, „długich“ świąt, żywi ich wzywają, karmią, poją i myją, a potem odsyłają napowrót, skąd przyszli. Bogów wzywa się przy każdej sposobności, przed rozpoczęciem każdej czynności; *welów*, duchów, w pewnych (dorocznych) odstępach, aby zabezpieczali doroczny bieg zajęć, od jesieni do jesieni, aby wpływem swoim nie krzyżowali wysiłków ludzkich i opieki boskiej. Życiu i powodzeniu zagraża przecież tyle niebezpieczeństw, że i największa liczba opiekunów zbyteczną nie będzie.

Opiekę bogów i welów okupuje się ofiarami, stałemi i nadzwyczajnemi, większemi i mniejszemi, złożonemi z napojów i pokarmów; najskuteczniej podrażnia sama woń palonego tłuszczu i sam widok krwi surowej zmysły boskie, choć i w zwierzęcej postaci porywają, co się im znosi. Ofiary bywały najrozmaitsze, wielkie, składkowe, w imię całego rodu czy gminy, z całkowitych bydła pewnego rodzaju i maści, hojniejsze przy hojniejszych zbiorach czy łupach, nawet z nieprzyjaciół—jeńców, których mściwe bóstwo w ręce swych sług wydało; mniejsze, gdzie, zamiast bydła, ciasta w kształcie np. wieprzka, lub para kur czy jaj starczyły. Odmieniały się i obrzędy: przy jednych ofiarach, np. wiosennych o urodzaje, zabierano resztki, kości, rogi itd, i zatykano po domostwach (dla urodzaju dla zabezpieczenia od chorób lub czarów); przy drugich, np. dla bogów domowych, nic po ofierze nie zostawiano, nawet wodę z misek omytych trawil ogień; przy jednych brano udział gromadnie, przy drugich nikt obcy, nie należący do rodziny, zjawiać się nie śmiał, albo musiał się okupywać (zwyczajem i dziś zachowanym, np. przy chrzcinach); jedne składali mężczyźni u dębów, drugie u lip kobiety; jedne trwały przez dni kilka i nikt się z nich wymawiać nie mógł, drugie nie wymagały nakładu ni czasu. Przy jednych ofiarach wróźono, przy drugich nie; były błagalne i dziękczynne, za urodzaje, za przyplódek, za łupy wojenne, z których część szła do domów świętych, dla kapłanów. Spólne były ofiarom pewne modlitwy czy słowa i to, że przed kapłanem lub gospodarzem nikt z potraw czy napojów kosztować nie śmiał; oni wydzielali pierwsze części bogom, rzucając je w ogień, po węglach, lub spożywając sami, poczem dopiero inni udział w uczie czy potrawie brali. Miejsca ofiar były ustalone, dla gmin, rodów, jednostek, w świętych gajach, nad ruczajami, przy ognisku; dla bogów były i osobne naczynia, w których tłuszcz, krew itd. palono; nawet sposób zabijania ofiarnych zwierząt (kur itd.) bywał odmienny, wskazujący nieraz na czasy bardzo odległe (zatłukiwanie); obecnych przy ofiarach skrapiano, każdy z nich do stosu drew przykładał: tem uwydatniała się łączność i spólność ofiarujących.

Obraz ten wierzeń i obrzędów litewskich dopełnia nadzwyczajna ich przesądność, nie pozwalająca i kroku stąpić bez poprzedniego zbadania wyroczni i losów, zdająca się wszędzie na wolę bogów i inteligencyę wieszczka — kapłana, „wiedzącego“, „losującego“, „czarownika“; dalej wielożeństwo; ciałopalenie, przyczem mężom i panom towarzyszą żony i sługi (pod r. 1205 opowiada ksiądz Jan, więziony na Litwie, że w jednej wsi pięćdziesiąt kobiet się powiesiło dla śmierci mężów... nie żywe więc, lecz trupy ich gorzały na stosie mężowym;

jak i u Polaków i inużniej pozostały długo w zwyczaju, dary do trumny kładzione i palenie choć części ubrania, czy sprzętów nieboszczyka.

Z mitów, t. j. opowiadań o bogach itp. zachował się tylko mit o młocie słonecznym i kowalu; tudzież mit (czy litewskiego początku?) o Sowim i ciałopaleniu; parę mitów o życiu zagrobowem; wreszcie mit o Gołędach; Laskowski przechował mit o słońcu — Perkunie, obmywanym i odświeżanym ze znojnej drogi przez matkę; inny mit upatrują w słowach, jakimi u niego (gospodarz ofiarnik?) boginie „Luibegeldy“ wzywał: „wy boginie“ przesłałyście do nas wszelkie nasiona zbóż w łupinie żołądzi; lecz może Akielewicz ma słusność, twierdząc, że to wiejska łamigłówka (o okręcie przewożącym zboża), nie mit o początku zbóż.

Oto zarys mitologii (religii) litewskiej, oparty na źródłach płynących obficie dla ostatnich lat półpogaństwa (1560—1630), skąpe dla właściwych czasów pogańskich. Wygórowanych nadziei nie usprawiedliwiliśmy; nie należy od mitologii litewskiej wyczekiwać objaśnień, jakich ona dostarczyć nie zdoła. Obok tego zawodu wypada jednak zaznaczyć, że posiadamy o niej pełniejsze i pewniejsze wiadomości, niż o mitologii Słowian, Niemców (prócz Skandynawów) lub Celtów. Późne wystąpienie na widowni dziejowej i jeszcze późniejsze przyjęcie chrześcijaństwa sprawiły, że w świeżo wzbudzonych zajęciach starożytnicznych i w sprawozdaniach misyi jezuickich mógł paść jeszcze snopek światła na chylące się ku rychłej zatracie resztki pogaństwa. Uzbierać można było i w drugiej połowie szesnastego wieku pewnie więcej, niż to, co nam przechowano: kanonik Strykowski np. po litewsku nie albo nie wiele umiał, więc, mimo najlepszej chęci i zrozumienia ważności rzeczy, zostawił tylko garść (i to wątpliwej wartości) szczegółów; świecki Laskowski znowu pochwytał z przygody, bez głębszych i pilniejszych poszukiwań, rzeczy bardzo wielkiej i bardzo małej wagi, pomieszał wszystko, do gruntu nigdzie nie docierając. Lecz jeden dopełnia drugiego i umożliwia nam zestawienie jakiego takiego obrazu.

Wyróżnia się w nim przedewszystkiem kult *Perkuna, ognia i węzłów*: już te trzy szczegóły nadają religii litewskich plemion całkiem odrębny wygląd, nie powtarzający się ani u Słowian lub Niemców, ani u Finów. Inną znaczącą cechę przedstawia, w powolnem przetwarzaniu mitów, dążność do zatracania bóstw większych, starszych, indywidualnych; dążność do wprowadzania na ich miejsce bóstw drobnych a licznych, nowszych, na co już ich nazwy wskazują, bez okre-

ślonych ściśle postaci, bez mitów; dążność, powiedzielibyśmy niemal, zdemokratyzowania szeregów boskich, ponad któremi Perkun na niebie a Žempatis (Žeminink) na ziemi absolutnie rej wodzą, jak i pod wielkim „księdzem“ litewskim wszelkie różnice stanu i rodu się zacierały: na hierarchii ziemskiej wzoruje się więc i niebieska. Ze starszemi bóstwami giną ich nazwy niezrozumiałe; Perkun utrzymuje się niezachwiany, choćby dla wyrazistości swej nazwy; na podobieństwo jego przybierają i inni bożkowie etykiety swych funkcji, stają się bogami lub panami, czy paniami, tego a tego, takimi a takimi, później „matkami“ tylko; nawet i Perkunowi narzucają „matkę“, chociaż w innej funkcji, niż łotewskie. I kult świętych gajów i rzek — wobec braku świątyń — zdaje się u Litwinów o wiele dalej rozwiniętym, niż u Słowian np.; kult przodków, w gruncie tu i tam identyczny, przybrał u Litwinów kształty jeszcze wyrazistsze; kapłaństwo również silniej ufundowanem było, jak i przesądnością, ciągłą zawisłością od wyroczni, od losów, Litwin Słowianina prześcigał, chociaż mimo to żadnej teokracji nie wytworzył. Nad całością swej wiary, jak i swego zwyczaju i języka, czuwał Litwin zazdrośniej niż Słowianin, opierał się wytrwalej wszelkim zmianom z zewnątrz, żywił jeszcze większą nieufność ku temu, co obce: nie przeszkadzało to jednak, by nie wsiąkały w jego wierzenia elementa fińskie, by nie wpływało wcześniej chrześcijaństwo, podsuwając kult i nazwiska świętych na miejsce pogańskich. Przełom zupełny nastąpił wreszcie, chociaż późno i powoli; dziś zachował Litwin i Łotysz charakter i język, ale dawnej wiary pojęcia zatracił, prócz kilku mało znaczących nazwisk i zwyczajów, wspomnień dalekiej przeszłości.

A. BRÜCKNER.

Kartki z fizyologii i higieny pracy umysłowej.

I.

Stany fizyologiczne materji żywej nie są czemś trwałem, niezmiennem. Czynności prawidłowe naszego ciała, funkcyje normalne każdego narządu, każdej tkanki, każdej komórki wahają się ustawicznie pomiędzy dość od siebie odległymi granicami, zależnie od warunków otoczenia, od bodźców chwilowych, od licznych podniet ze strony organów sąsiednich, wreszcie od owego zawilego kompleksu warunków, którego nie możemy nazwać inaczej, jak chwilowem usposobieniem organu lub organizmu całego. Zadaniem nauki fizyologii jest wy badać te wszystkie oscyllacye w czynnościach normalnych, wskazać, w jaki sposób, w jakim kierunku i w jakim stopniu funkcyja zależy od owych działających na nią wpływów, wykryć prawa, według których czynności prawidłowe zachodzą. Tą drogą nietylko dochodzimy do istotnego poznania samego zjawiska, będącego przedmiotem naszego badania, ale nadto umiemy w następstwie przewidywać zmiany stanu fizyologicznego w zależności od osobliwych warunków, w jakich funkcyja się odbywa. Metod zaś do takiego badania czynności organizmów zapożyczyła fizyologia od nauk ścisłych, przedewszystkiem od fizyki i chemii. I przyznać trzeba, że metody te nie zawiodły. Wyrażamy dziś liczbami, mierzymy w swoisty, specjalny sposób funkcyje fizyologiczne i jesteśmy w stanie wskazać w pewnych miarach uchyle-

nia, jakim funkcyje te podlegają pod wpływem najrozlicniejszych warunków. Jakość funkcyi mniej już nas obecnie zajmuje niż strona ich ilościowa, a choć dalecy jeszcze bardzo jesteśmy od doskonałego poznania wszystkich narządów ciała ludzkiego, choć w wielu jeszcze kwestiach zasadniczych panuje niepewność i ścierają się poglądy sprzeczne, mamy jednakże to niezłomne przekonanie naukowe, że kroczymy wciąż naprzód po drodze, która musi nas doprowadzić do tych celów, jakie trzeźwa nauka sobie stawia.

Lecz współcześnie, w miarę postępu na tej drodze, ujawniają się coraz jaskrawiej trudności badania, polegające nietylko na braku metod, na niedoskonałości zmysłów i przyrządów naszych, ile zależące od samego przedmiotu, tkwiące w samej naturze postrzeganych zjawisk. Pomysłowość, spryt badacza wyężdżają się, by wyłączyć z badanego zjawiska fizyologicznego wszystko, co jest w niem uboczne, podrzędne, przypadkowe, by uchwycić samą tylko istotę danej czynności życiowej a pozostawić na później studyowanie sztucznych warunków, które wpływają na nią w taki sposób, że nieraz trudno ją rozpoznać niewprawnemu oku. W żadnej innej dziedzinie wiedzy przyrodniczej nie spotykamy się tak często, jak w fizyologii, z niezgodnością wyników badań, podjętych przez rozmaitych uczonych nad jednym i tem samym zjawiskiem. Pochodzi to ztąd oczywiście, że wielce jest trudnem tak doskonale zwalczenie wszystkich nastroczających się przeszkód, aby dwaj rozmaici badacze studyowali dane zjawisko w zupełnie jednakowych identycznych warunkach. Własności ciał martwych, stanowiących przedmiot badania fizycznego i chemicznego, zmienne są w bardzo ściśle określony sposób, zależnie od zmiany działających na nie czynników. Zmienność stanów fizyologicznych natomiast nie daje się uchwycić w sposób równie dokładny, tak ażeby zależność tę w każdym przypadku można było oznaczyć liczbą ściśle określoną. Gdy pewne ciało martwe, dajmy na to, stałe ogrzeję o pewną liczbę stopni ciepła, własności ciała tego zmienią się w określony sposób tak, że zmiany te stałe, z niewzruszoną konsekwencją i zawsze ilościowo w ten sam sposób wystąpią, ilekroć doświadczenie to będzie wykonane. Nie zupełnie, nie dokładnie tak samo dzieje się z organami naszego ciała. Mięsień, który w pewnych określonych warunkach wykonywa pewną pracę, w tych samych warunkach innego dnia wykona może nieco mniej lub nieco więcej. A gdy użyję bodźca określonej siły, by mięsień do pracy pobudzić i oznaczę ilość dokonanej pracy, to być bardzo może, iż przy zastosowaniu tegoż bodźca innym razem otrzymam pracę niezupełnie równą tamtej.

Logika naukowa, ściśle rozumowanie teoretyczne nie dopuszcza ją, coprawda, możliwości, aby w istocie tak się dziać miało. I prawa

fizyologiczne, które ze spostrzeżeń i doświadczeń wysnuwamy, również tych nieściśłości dopuszczać nie mogą. Lecz zadaniem jest właśnie naszego badania, abyśmy potrafili wyłączyć wszystkie, niekiedy nader drobne, wpływy, które pozornie zakłócają prawo, mającą porządek istotny, abyśmy to prawo wykryli pomimo wszystkich obsłonek, które je przyciemniają dla naszego wzroku. A trudności w naturze samego przedmiotu leżące wzrastają tem więcej, im bardziej liczyć się musimy z różnicami indywidualnymi, których uwzględniać nie potrzeba w fizyce i chemii. Fizyk studyjający zjawisko światła, ciepła, elektryczności, chemik, badający własności pewnego określonego ciała, mają tę pewność, że przedmioty ich badania nie są zmienne indywidualnie. Światło, w dany określony sposób otrzymane, światło słoneczne, światło pewnego gatunku nafty, światło elektryczne, wytworzone przy danej sile prądu, przedstawiają się wszystkim badaczom w jednakowy sposób. Dany związek chemiczny, naturalny lub sztucznie przyrządzony, każdemu chemikowi, bez względu na to, jaką drogą do związku tego dojdzie, zdradza się zawsze temi samemi własnościami. Inaczej z organami naszego ciała i ich funkcjami. Jak niema dwóch ludzi doskonale do siebie podobnych, tak niema też doskonale pod względem ilościowym funkcjonujących podobnie dwu żołądków, dwu wątrób, dwu serc i dwu mózgów. Prawo ogólne, wspólne wszystkim organom pewnej kategorii, rządzi nimi i czynności ich wyznacza w pewnym określonym kierunku. Lecz prawo to jednocześnie jest zależne od prawa wyższego, zapewne dla całości życia ważniejszego, które ilościowe dopuszcza odchylenia od pewnej miary przeciętnej i w ten sposób wprowadza różnice osobnicze, indywidualne, wyznaczające cechy, kładące specjalne piętno na organizmach żywych. Uwzględnienie tych różnic indywidualnych, wyłączenie ich w tym razie, gdy chodzi o czysty, wierny obraz samej istoty funkcji, o pozbawienie jej wszystkich czynników i dodatków, mogących zamglić dokładny jej rysunek, jest znów zadaniem dla biologa niezmiernie trudnem.

Gdy mamy do czynienia z organem tak złożonym, jak mózg ludzki, który najbardziej ze wszystkich i zmienny jest w swych stanach fizyologicznych, i najpodatniejszy do wpływów najrozliczniejszych, i wreszcie najwięcej ze wszystkich ma odcisnięte na sobie znamiona różnic indywidualnych, wówczas trudności dla badacza wzrastają niepomrotnie. Pamiętajmy także, iż same funkcje mózgu, pomijając nawet ich istotę tak mało dla badania dostępną, bardzo są wielorakie, nader różne w swej godności fizyologicznej, że bezwzględnie obiektywne ich badanie prawie jest niemożliwe, subiektywne zaś spostrzeżenia i doświadczenia dają pole złudzeniom i mimowolnemu wprowadzaniu w grę czynników niepożądanych; pamiętajmy dalej, że sam sub-

strat anatomicznie jeszcze niedość dokładnie jest poznany, że wreszcie tradycja, przesąd i z góry powzięte mniemania na tem polu więcej wazą, niż gdziekolwiek indziej w dziedzinie badań fizjologicznych — a pojmiemy należycie, jak ważną jest rzeczą, aby wszystkie wnioski, zebrane w tej sferze dociekań naukowych przechodziły przez rzetelną krytykę, ażeby wytrzymały prawdziwą próbę ogniową.

II.

Fizjologia jest nauką o czynności organów i bada organy w warunkach dla spostrzegania najkorzystniejszych, czyli wówczas, kiedy czynność ich jest najintensywniejsza. Praca zaś organów ulega wahanom ilościowym, zależnym nietylko od stopnia podniety na nie działającej, lecz również od miary ich sprawności. Każdy narząd, każda komórka pracuje i zużywa się w miarę pracy, a gdy zużycie to doszło do pewnego stopnia, praca musi być znakomicie zmniejszona lub nawet zupełnie na czas pewien zawieszona, jeżeli nie^oma nastąpić zużycie, wyczerpanie grożące całości organizmu. To też w prawidłowych czynnościach wszelkich narządów ciała naszego okresy wytężonej pracy idą naprzemian z okresami względnego lub absolutnego spoczynku. Pragnąc wytłómaczyć sobie należycie istotne przyczyny znużenia, zmęczenia, wyczerpania organów, najdokładniej badano to zjawisko na mięśniach, które stanowią w tym względzie przedmiot studyow najdogodniejszy. Ilość pracy mechanicznej dokonywanej przez mięśnie np. w formie ciężarów podnoszonych na pewną wysokość, daje się ściśle określić; i siła podniety, zniewalającej mięsień do pracy, również z dostateczną dokładnością mierzoną być może. Z badań tych nietylko oceniono sprawność mięśni, nietylko wykryto pewne prawa, rządzące czynnościami mięśni i nerwów, lecz nadto poznano, że podczas pracy zachodzą w mięśniu pewne przeobrażenia chemiczne, wytwarzające produkty, których obecność działa hamująco na dalszą pracę mięśnia. Gdy sztucznym sposobem udaje się usunąć te produkty pracy mięśniowej, mięsień zdolny jest w dalszym ciągu wykonywać swe skurczenia. W warunkach prawidłowych natomiast te produkty, stanowiące o znużeniu mięśnia, zostają usunięte podczas spoczynku przez strumień krwi i przez utlenienie, w komórkach mięśniowych się odbywające. Dłuższa, forsowna praca wzmagą ustawicznie ilość wytworzonych pro-

duktów zużycia, a skupianie się ich w mięśniach działa podobnie hamująco na jego pracę, jak większa ilość popiołu lub żużlu na proces palenia się w piecach.

Analogie pomiędzy mięśniami a innymi narządami łatwo dają się wykryć. Wielka liczba organów pracuje wogóle głównie dzięki elementom mięśniowym, które stanowią istotną ich część składową. Serce zbudowane jest z masy mięśniowej zupełnie do masy mięśniów naszych podobnej. Ruchy żołądka i kiszek, nieodzowne do należytej funkcji tych organów, zachodzą jedynie dzięki warstwie mięśniowej stanowiącej integralną część składową ścianki tych narządów. Rytmiczna czynność płuc, oddychanie, zależne jest przede wszystkim od czynności mięśnia płaskiego, oddzielającego jamę klatki piersiowej od jamy brzusznej, tak zwanej przepony brzusznej oraz od mięśni międzyżebrowych. I we wszystkich tych organach okresy pracy większej muszą iść naprzemian z okresami względnego spoczynku, tem więcej że dla wielu z nich, np. dla serca lub płuc o absolutnym spoczynku wogóle za życia mowy być nie może. Absolutny spoczynek zresztą dla żadnego organu podczas życia normalnego nie da się pomyśleć. Żołądek, strawiwszy pokarm i przesunawszy wytworzoną miazgę do kiszek, nie wyczerpał się do ostatecznych granic. Wątroba, wytworzywszy pewien zapas żółci i przerobiwszy chemicznie pewne materje, które drogą naczyń krwionośnych dostały się do niej z kiszek, nie spoczywa w zupełności, wolna na czas pewien od zwykłej swej roboty. Już sam fakt ustawicznego krążenia krwi, ciągłego doprowadzania do komórek ciała ożywczego tlenu dowodzi, że właściwa robota ani na chwilę ustać nie może. Wszystkie też organy znajdują się stale w pewnym stanie napięcia, w pewnej gotowości do wyzwolenia swych sił z chwilą, gdy zajdzie tego potrzeba. Wszystkie organy przypominają w ten sposób luki naciągnięte, w których złożony jest zapas energii, i potrzeba tylko podnieci, aby z biernej swej roli wyszły i wykonały pewną pracę, już większą, już to mniejszą, zależnie od tego, jak wielkiem jest to napięcie, jak długo ów zapas energii się w nich gromadził.

Utrzymanie takiego stanu napięcia w organach zależy przede wszystkim od wpływu nerwów, które łączą wszystkie narządy z ośrodkami nerwowymi, z mózgiem i rdzeniem pacierzowym. Widzimy ztąd przede wszystkim, że względna bierność organów naszych nie oznacza w żadnym razie bierności całego organizmu. Niezależnie bowiem od płuc i serca, których praca ani na chwilę ustać nie może, jeszcze i ośrodki nerwowe czują pełnią funkcję, strzegąc gotowości wszystkich organów do pracy i stanowiąc współcześnie i straż i zarząd naczelny nad całym ciałem. Lecz wnosić ztąd również musimy,

że tem bardziej nieubłaganą jest konieczność, aby spoczynek, choćby nie absolutny, w pewnych odstępach czasu następował po wyczerpanej pracy organu, i aby spoczynek ten został wyzyskany ku naprawieniu szkód, spowodowanych przez pracę, ku wyrównaniu niedoborów i strat, poniesionych podczas wysiłonej czynności. Sen jest takim spoczynkiem dla wszystkich organów, głównie zaś spoczynkiem dla mózgu, serca i płuc. Wprawdzie i podczas snu nie gaśnie w zupełności czujność ośrodków nerwowych, i podczas snu serce i płuca funkcjonować muszą, bo ani na krótką chwilę ustać nie może krążenie krwi, ani wymiana oddechowa gazów w płucach. Ale wszystkie te czynności opadają we śnie w swej intensywności. Brak funkcji świadomości, choć pozostają odruchy; liczba skurczów serca zmniejsza się znakomicie głębokość i częstość oddechu znacznie zostaje zredukowana.

Podczas pewnego okresu czynności sprawność organu nie jest jednakową bynajmniej w każdej jednostce czasu. Ilość pracy, wykonywanej na początku, różni się od tego co wykonywamy, w pełni czynności, i od tego, co wykonywamy wówczas, gdy znużenie poczyna owładać organem. Jeżeli fizjologia potrafi zbadać i ująć w pewną formę prawa, według których te wahania w sprawności organów zachodzą, jeżeli zdoła wskazać, w jakich warunkach sprawność jest największa a wydajność pracy najkorzystniejsza, jeżeli wnioski stąd zaczerpnięte dadzą się z pożytkiem zastosować w życiu powszedniem przy najrozlicniejszych warunkach oddziaływających na nasz organizm; w takim razie nauka osiągnie najwyższy swój cel praktyczny, albowiem stworzy prawdziwą higienę ciała ludzkiego.

Pomijając inne organy, uwzględniając zaś tylko pracę mięśni i pracę mózgu, musimy przyznać, iż osiągnięcie owego celu w tych dwu kierunkach już stanowić musi kwintessencję wszystkich zabiegów tej części fizjologii, która powołaną jest do dyktowania przepisów tam, gdzie chodzi o pozyskanie jasnego sądu, w jakich warunkach praca fizyczna i umysłowa człowieka jest najkorzystniejsza, najcenniejsza. Higiena pracy ma za zadanie wskazać najskuteczniejsze środki w walce ze znużeniem, z wyczerpywaniem się organów podczas pracy. Ta część higieny narodziła się niebardzo dawno temu. Zdobycie przez nią dotychczas rezultaty nie imponują jeszcze obfitością. Jednakże doniosłość niektórych z nich jest bardzo ważna, a zwąwa na tem polu praca badawcza najlepszych pozwala się spodziewać wyników.

III.

Niebezpieczeństwo, zagrażające ze strony pracy, ujawnia się w znużeniu. Czem jest właściwie znużenie, tego dokładnie dotychczas nie objaśniono jeszcze. Mamy wszelako dane pozwalające twierdzić, że w zjawisku tem przebiegają jednocześnie dwa różne procesy. Każda praca w ciele naszym polega na rozkładzie, rozszczepianiu zawitych związków chemicznych na prostsze ich części składowe. Wszelka czynność mięśni lub mózgu odpowiada zużyciu pewnego zapasu sił, dających się porównać z zapasami materiału palnego, zużywanego pod kotłem pracującej maszyny parowej. Jeżeli praca trwać ma przez czas dłuższy, potrzeba przeto ustawicznego pokrywania ponoszonych strat, w przeciwnym razie bowiem sprawność pracującego narządu poważnie zostanie zagrożoną. Z drugiej zaś strony wiadomo, że niektóre z owych produktów pracy, owych materii, pochodzących z rozkładu chemicznego podczas czynności mięśni lub mózgu, działają trująco na tkanki naszego ciała, zmieniają je i tą drogą zmniejszają ich naturalną odporność i sprawność. Lecz gdy wogóle dość szybko te ciała trujące ulegają zniszczeniu lub zostają usuwane z organizmu naszego, natomiast nierównie powolniej zachodzi odnowa w zapasie sił i pobieranie nowych części składowych do zużytych tkanek. Należy zatem oczekiwać, że pewna część uszkodzeń, wynikających z pracy, szybko się wyrównywa, gdy tymczasem druga powoli, stopniowo, w ciągu dłuższego dopiero czasu zanika. Doświadczenie codzienne potwierdza to rozumowanie. Wiadomo, że po robocie krótkiej objawy znużenia szybko przemijają, natomiast praca krótka, lecz wielokrotnie z małemi przerwami powtarzająca się sprawia znużenie, którego ślady ujawniają się jeszcze w dniu następnym, a często nawet i później. W mózgu ludzkim i u wszystkich zwierząt wyższych zawsze nawet — twierdzić to możemy stanowczo — podczas czuwania straty są większe niż zyski, bo i przy zupełnem próżnowaniu w końcu każdego dnia następuje stan znużenia, którego usunąć już nie jesteśmy w stanie przez zwykły wypoczynek, lecz zjawia się konieczność niczem niezwalczonego snu.

Znużenie zatem jest nieodłącznym towarzyszem wszelkiej pracy, jest nieuśląganym pracy wynikiem. Jeśli mamy być ścisłymi, powiedziec musimy, że znużenie rozpoczyna się właściwie jednocześnie z począt-

kiem pracy. W odpowiednio wykonywanych doświadczeniach można też istotnie już w bardzo wczesnych okresach pracy wykazać pierwsze ślady znużenia. Trudność w wykrywaniu tych śladów znużenia polega tu głównie na tem, że znużenie z początku zostaje zamaskowane przez wpływy działające w kierunku wprost przeciwnym, ku powiększeniu rezultatow pracy.

Najważniejszą oznaką znużenia jest stateczne opadanie sprawności pracującego organu: praca staje się coraz mniej ilościowo wydajną. Lecz zwykle zaobserwowanie tego upadku sprawności nie upoważnia jeszcze do konstatowania znużenia. Zmniejszenie się siły pochodzić bowiem może od wielu przyczyn ubocznych, że wspomniemy tu tylko tak trudno dające się skontrolować odchylenie uwagi od zajmującej nas pracy fizycznej lub umysłowej. Jednocześnie wszakże ze zmniejszaniem się ilościowem wykonywanej pracy zachodzą też bez wyjątku zawsze zmiany w jakości pracy. Miarą pewną znużenia jest także pewne pogorszenie jakościowe sprawności. Nietylko ze skutkiem znużenia mniej wykonywamy pracy, lecz wykonywamy ją także gorzej. Tutaj ocena jeszcze jest trudniejsza ze względu na tak olbrzymią różnorodność jakości pracy w znaczeniu różnic indywidualnych. Lecz niewątpliwie jedną z przyczyn najważniejszych zmniejszania się jakościowej wartości pracy jest opadanie stopnia uwagi, która wyczerpuje się przy każdym rodzaju roboty. Uwaga z czasem rozprasza się, a nie mogąc jej dostatecznie skupić, wykonywamy pracę coraz gorzej. Najwcześniej daje się to oczywiście dostrzedz w takich rodzajach pracy, które wymagają dużego napięcia sił umysłowych. Nie należy jednakże sądzić, że w robocie, bynajmniej nie mającej w sobie nic twórczego, czynnik ten żadnego nie ma znaczenia.

Niemniej zauważyć się daje wyraźnie, że w miarę znużenia praca staje się coraz mniej równomierną, chwiejną, niepewną. Wrażenia zewnętrzne dochodzą do mózgu naszego w miarę trwania pracy coraz mniej pewną drogą, łatwiej mylimy się przy trudniejszych zadaniach, pamięć szwankuje coraz bardziej i popełnia coraz większe błędy.

W najwyższym stopniu zajmującą jest ścisła zależność pomiędzy znużeniem fizycznym a umysłowem. Jeżeli codzienne spostrzeżenia w tym względzie dawno już mogły zwrócić uwagę badaczów na tę okoliczność, badania dokładniejsze natomiast zawdzięczamy dopiero pracom fizyologicznym lat ostatnich, świetnie zapoczątkowanym przez fizyologa włoskiego Mossa ¹⁾. Praca umysłowa wyężona sprowadza za sobą zmniejszenie sprawności mięśniowej, i odwrotnie dłuższa praca fizyczna pociąga wyraźne opadanie zdolności do pracy umysłowej.

¹⁾ Porówn. *Angelo Mosso* „Znużenie” (Warszawa 1892).

Fakty te, doskonale w doświadczeniach stwierdzone, przedewszystkiem domagają się wyjaśnienia. Otóż najpowierzchniejsza choćby znajomość organizmu wskazuje, że oddzielne narządy ciała pozostają z sobą w ścisłym związku, w ciągłej materyalnej i fizyologicznej wymianie. Błędem jest przypuszczenie, że każdy organ posiada pewien specjalny zapas energii, który zużywa podczas właściwej mu pracy. Dwie olbrzymie sieci oplatają cały ustroj zwierzęcy i sieci te w żadnym miejscu nie są przerwane. Są niemi: układ naczyń krwionośnych i układ nerwowy. Rurkami, zwanemi naczyniami krwionośnemi, płynie krew odżywcza nieprzerwanym strumieniem i zrasza najdrobniejsze elementy tkankowe, doprowadzając do nich materyał, który utrzymuje je w sprawności, w zdolności do pracy. A materye zużyte skutkiem pracy strumień krwi zabiera ze wszystkich zakątków, z najodleglejszych kryjówek ciała i pędzi je ku płucom, ku nerkom, ku wątrobie, by z nich oczyścić tę ciecz odżywczą i odnowić ją, uczynić znów odpowiednią dla celów życiowych. Strumień krwi omywa wszystkie organy, a części tego strumienia bez wyboru już to znajdują się w mózgu, już w mięśniach, za chwilę znów w trzewiach, w sercu, w płucach i t. d. Ta ciągła materyalna wymiana pomiędzy organami czyni już zrozumiałem, że, gdy skutkiem znużenia w narządzie jakimś wytworzyły się materye, których obecność dla dalszej pracy jest szkodliwą, mogą one dostać się do narządu innego i tutaj również sprawić zaburzenia nieobojętne dla czynności normalnych. Ażeby dowieść tej możliwości, potrzeba-by jeszcze długich szeregów niezmiernie mozolnych doświadczeń fizyologicznych. Odrzucać wszakże takiego wyjaśnienia bynajmniej nie mamy prawa.

Z drugiej natomiast strony pamiętać trzeba o tem, że każda czynność naszego organizmu, choćby najmniej wymagająca skupienia myślowego, czynność nawet zupełnie nieświadoma, automatyczna lub odruchowa, pozostaje pod czujną opieką i ciągłą kontrolą ośrodków nerwowych. Od wszystkich organów biegą nerwy do mózgu lub rdzenia pacierzowego i odwrotnie. Siedliskiem, regulującym owo napięcie fizyologiczne, ów ustawiczny stan gotowości do intensywnej pracy narządów, tkanek i komórek, jest mózg i rdzeń. Organy odcięte od ośrodków nerwowych tracą swe zdolności fizyologiczne, wątłują i zanikają. Praca każdego organu jest zatem zawsze jednocześnie większą lub mniejszą pracą mózgu lub rdzenia. Podczas pracy mięśni z ośrodków nerwowych wzdłuż nerwów biegą rozkazy, bodźce, które stanowią podniecie skurczów mięśniowych. Bez tych podnieci skurcze mięśniowe odbywać się nie mogą; a choć w czynnościach naszych muskułów, zachodzących przy pewnej wprawie bez widocznego udziału woli,

trudno na razie dostrzedz wpływy mózgu, niemniej istnieją one i nie ustają aż do chwili zupełnej martwoty mięśnia.

Przy całej przeto różnaitości funkcyi naszego zawilego organizmu, przy całej różnorodności świadomych i bezwiednych czynności naszej tkanki nerwowej, jest pewna koncentracya wszelkiej pracy fizyologicznej w ośrodkach nerwowych. Musimy przyznać — a zmusza nas do tego coraz bardziej mnożący się materiał spostrzeżeń i doświadczeń naukowych najściślej dokonanych—że wszelka praca, mięśniowa czy mózgowa, fizyczna czy umysłowa, praca ważniejszego czy mniej ważnego organu, pozostawia pewien ślad w tkance nerwowej mózgu i rdzenia. Autonomia pojedynczych części ciała nie zachodzi tak daleko, aby nie było pomiędzy nimi ustawicznych stosunków, nieustannych wymian, ciągłych zależności. Zarząd zaś naczelny nad wszystkimi czynnościami, tkwiący w ośrodkach nerwowych, skupia w sobie wiadomości o wszystkim, co się w całym organizmie dzieje. Ta władza najwyższa ma w sobie źródło siły istotnie olbrzymie, niespożyte niemal, póki organizm w sposób prawidłowy czynności swe spełnia. Lecz nuży się ona zawsze, ilekroć większy wydatek pracy dokonany zostanie w któremkolwiek miejscu naszego organizmu. Oczywiście znużenie jest największe, gdy same ośrodki nerwowe do pracy są napędzane. Praca umysłowa pozostawia ślady znużenia mózgowego najgłębsze, lecz i praca mięśniowa nie jest dla mózgu bynajmniej obojętną. Po pracy fizycznej czujemy potrzebę nie tylko spoczynku mięśni, lecz i umysłu natężyć nie jesteśmy zdolni. A z drugiej znów strony znaczne znużenie umysłowe odbija się na sprawności mięśni. Posiadamy dokładny przyrząd, zbudowany przez Mossa, t. zw. ergograf, który z doskonałą ścisłością pozwala mierzyć pracę fizyczną mięśni zaopatrujących palce ręki i wprawiających je w ruch. Tysiące doświadczeń wykonanych z ergografem przekonały, że po znużeniu umysłowem palce nie są zdolne do tak wydatnej pracy, jaką wykonywają z łatwością wówczas, gdy umysł znużony nie jest. I tem więcej opada sprawność mięśni palcowych, im znużenie umysłu jest większe. Któż przy obserwacyi powierzchownej mógłby przypuścić, że tak mocna jest zależność pomiędzy mózgiem a mięśniami ręki? W świetle objaśnień powyższych zależność ta staje się zrozumiałą. Dochodzimy do przekonania, że najgłówniejszy zapas energii, ten zapas, który wydatkujemy zawsze, bez względu na rodzaj pracy, mieści się w układzie nerwowym. Wyczerpywanie się siły jest ogólne; cała summa energii, jaką rozporządza nasz ustrój, maleje, gdy którykolwiek organ w pracy swej przesadza. Doświadczenia fizyologiczne dowodzą niezbicie, że właściwie w warunkach normalnych, prawidłowych, jeden tylko istnieje rodzaj znużenia, mianowicie znużenie nerwowe. Ono ma

przewagę we wszelkich zjawiskach znużenia. I znużenie mięśni jest ostatecznie tylko znużeniem i wyczerpaniem układu nerwowego.

Jakże wobec rozważań i wniosków powyższych sądzić mamy o owem rozpowszechnionem mniemaniu, że w warunkach wyczerpanej pracy mózgowej korzystnym jest dla ciała i umysłu zajęcie fizyczne, które mózgowi na czas pewien wytchnąć pozwoli? Przeplatanie zajęć, odmiana w rodzaju pracy, niewątpliwie mają znaczenie bardzo ważne pod względem higienicznym. Jednostronność noży i wyczerpuje umysł szybciej niż konieczność odwrócenia uwagi w prawidłowych i rozumnych okresach czasu. Przypuszczenie wszakże, że mózgowi dajemy wypoczynek wówczas, kiedy pracować każemy mięśniom, jest fatalnym błędem, popełnianym wciąż jeszcze przez rodziców i wychowawców. Jest to grzech fizyologiczny, jeżeli godziny szkolne dla dzieci przeplatamy ćwiczeniami gimnastycznymi w celu zmniejszenia ich znużenia mózgowego. Na przywrócenie sił osłabionych przez pracę umysłową niema innego środka, tylko spokój i wypoczynek.

IV.

O zdobyciu istotnie dokładnej miary uzdolnienia umysłowego marzyć zaledwie można. Czyż bowiem przypuszczać wolno, że uda nam się oznaczyć kiedykolwiek siłę polotu poetycznego lub głębie umysłu filozofa? W zjawiskach psychicznych tak rozstrzygające przypada znaczenie cechom indywidualnym jednostek, że prawie niepokonane napotykamy trudności, gdy chodzi o porównywanie funkcji nieco zawilszych. Natomiast, pozostając w granicach skromniejszych, zadawając się badaniami nad sprawnością umysłową w zadaniach stosunkowo prostych, już obecnie możemy ze względną łatwością pozyskać dane, które dają nam pewien pogląd na właściwości umysłowe jednostek. Z dostateczną ścisłością jesteśmy w stanie oznaczyć zdolność do pracy przy wykonywaniu zadań umysłowych bardzo prostych. Za miarę tej zdolności służyć może mianowicie liczba drobnych, zawsze jednakowych zadań, wykonywanych przez daną osobę w pewnym okresie czasu¹⁾. Można np. obrać takie zadania, jak liczenie liter, czytanie, uczenie się na pamięć szeregów cyfr lub sylab, dodawanie

¹⁾ *Kraepelin*. Ueber geistige Arbeit. 1894 i 1896 Jena Fischer.

ciągłe liczb jednocyfrowych i t. p. Zatrzymajmy się na chwilę nad ostatniem zadaniem. Doświadczenie wykonywa się w tym razie w taki sposób, że osoba badana bez przerwy, niekiedy przez kilka godzin z kolei, w odpowiednich zeszytach dodaje dłużej szeregi ustawionych pod sobą cyfr. Gdy summa przeniosła setkę, wówczas cyfrę setek wprost się opuszcza a do pozostałej reszty dodaje się w dalszym ciągu wypisane cyfry. Co pięć minut odzywa się sygnał zegarowy i wtedy pod dopiero co dodaną liczbą osoba wykonywająca doświadczenie po- ciąga kreskę. Po ukończeniu doświadczenia można z łatwością stwierdzić, po ile liczb dana osoba dodawała w pięciominutowych okresach czasu.

Pierwszym wynikiem tego rodzaju doświadczeń, wielokrotnie dokonywanych przez Kraepelina, a za nim i przez innych badaczy, jest rozmaita szybkość, z jaką pracują różni ludzie. Tak np. z grupy współcześnie badanych dziesięciu osób, najpowolniejsza dodawała z początku 140 liczb w ciągu pięciu minut, najszybsza zaś 384. Ta ostatnia zatem przeszło $2\frac{1}{2}$ raza okazała się sprawniejszą w tego rodzaju robocie od tamtej. Rezultat taki tem jest nieoczekiwany, że stopień wykształcenia wszystkich tych osób był w przybliżeniu jednakowy, gdyż wszystko to byli studenci uniwersytetu mniej więcej jednakowego wieku. A różnice raz stwierdzone dla danych osób powracały z dokładną prawidłowością przy wszelkich dalszych nad nimi badaniach.

W podobny sposób może być sprawdzana zdolność robocza w zakresie zadań innego rodzaju. I oto okazuje się przedewszystkiem, że szybkość pracy danego osobnika zmienną jest wraz z rodzajem pracy. Kto szybko dodaje, może powolnie uczyć się na pamięć lub czytać i odwrotnie. Spostrzeżenie to, tak zresztą zgodne z doświadczeniem codziennem, pozwala się spodziewać, że może z czasem, przy udoskonaleniu dalszem metod badania, powiedzie nam się z tego rodzaju doświadczeń wywnioskować o osobliwych, specyficznych zdolnościach umysłowych poszczególnych jednostek.

Na samym wstępie wszakże tych na pozór tak prostych badań napotykamy już poważną trudność. Na bieg każdej pracy umysłowej w wysokim stopniu wpływa ćwiczenie, wprawa. Tak więc w doświadczeniach powyższych ze stałą prawidłowością powtarza się fakt, że szybkość dodawania wzrasta w miarę trwania badania. Osoba, z początku powolnie pracująca, wskutek częstego powtarzania pracy może stopniowo zbliżyć się do pracującej szybko, a nawet może tę ostatnią w końcu prześcignąć. Okoliczność ta zatem nie pozwala uważać miary chwilowej sprawności wprost za wyraz charakteryzujący zdolność umysłową osobnika w danym kierunku, nie możemy bowiem wiedzieć, z jakim zapasem wprawy przystąpiono do rozwiązywania zadań.

Zdolność wszakże do wprawy, do wyćwiczenia się w pewnym kierunku pracy myślowej ma swoje granice. Za każdym następnym powtórzeniem pracy przyrost w szybkości, uzyskany przez wprawę, staje się coraz mniejszy. U pewnej osoby przyrost w szybkości pracy wynosił od pierwszego do drugiego doświadczenia 25%, od drugiego do trzeciego 15%, a od trzeciego do czwartego tylko 6%. Można przeto dość prędko u każdego człowieka dojść do granicy, po za którą osiągnąć się już nie daje wzrost szybkości w pracy wskutek ćwiczenia.

Dopiero po dojściu do tego punktu właściwie dają się prowadzić dokładniejsze porównawcze badania pomiędzy pojedynczymi ludźmi. Indywidualny wpływ wprawy już się zatarł i odtąd występują różnice zasadnicze, trwałe w zdolności do danej pracy myślowej. Prócz tego zaś zyskujemy możność bezpośredniego mierzenia zdolności do wyćwiczenia się. Zdolność ta oczywiście tem jest większa, im szybciej i wydawniej wzrasta sprawność przy jednakowej liczbie powtarzań jednego i tego samego zadania. We wspomnianej wyżej grupie, złożonej z 10 osób, przyrost sprawności wskutek ćwiczenia od pierwszego do drugiego doświadczenia był różny w granicach od 4 do 25%.

Wielkość zdolności do wprawy jest, zdaje się, pewną ogólniejszą właściwością człowieka. Kto w pewnym określonym kierunku okazuje się bardzo podatnym do zdobywania wprawy, zwykle też i w innych kierunkach, szybki zdradza przyrost sprawności umysłowej. Podobnie rzecz się ma i z trwałością skutków ćwiczenia, rezultatu wprawy w danej pracy myślowej, choć co do tego punktu doświadczenia dotychczasowe nie są jeszcze zupełnie ukończone. Zdobyta raz wprawa, jak wiadomo, nie pozostaje udziałem danej osoby przez całe życie, lecz stopniowo znów zanika. Otóż i to zjawisko, o ile sądzić można z badań dotychczasowych, zachodzi z pewną określoną szybkością dla każdej osoby, tak że dwa osobniki w jednakowym stopniu wyćwiczone, mogą w tym samym czasie stracić różne ułamki owego przybytu, pozyskanego przez wprawę. Tyle wiadomo wszakże na pewno, że rezultat ćwiczenia wogóle zanika bardzo powolnie. Tak np. wpływ wprawy, pozyskanej przez kilkakrotne 1-godzinne doświadczenia z dodawaniem daje się jeszcze wykazać po wielu miesiącach.

Lecz i to ćwiczenie silnego ma wroga. Wzrost zdolności do pracy, pozyskany przez ćwiczenie, spotyka się z potężnym przeciwnikiem, występującym w postaci znużenia. Sprawia ono zawsze opadanie sprawności do pracy, choć z początku samego przez czas pewien to zmniejszanie się rezultatów pracy zostaje wyrównane przez przyrost skutkiem wprawy. Gdy wszakże znużenie raz weźmie górę, opadanie

sprawności zachodzi szybko i nieprzerwanie. Kiedy chwila ta następuje, to zależy od stopnia już zdobytej wprawy, a również w wysokim stopniu od właściwości indywidualnych osobnika, wreszcie od wpływów przypadkowych. Im dana praca lepiej jest wyćwiczoną, tem mniej chwila następującego trwałego znużenia zostaje zamaskowaną przez wpływy wprawy, które maleją już w tym okresie. Gdy więc przy pierwszym doświadczeniu z dodawaniem obserwujemy stale dość znaczny początkowy przyrost sprawności, po czem później dopiero następuje opadanie skutkiem znużenia, natomiast w doświadczeniach dalszych opadanie to występuje coraz wcześniej.

I znużenie wszakże ze wszystkimi swemi właściwościami jest czemś specyficznem dla danej osoby. Duże są różnice u rozmaitych osób w samym charakterze znużenia. Wogóle każdy człowiek wskazuje właściwy sobie przebieg sprawności w pewnym kierunku pracy myślowej i charakterystyczna ta własność jego umysłu stale w jednaki sposób występuje w określonym peryodzie pracy. Z jednej strony pomieścić należy osoby, które w ciągu danego doświadczenia naprzód wykazują przyrost sprawności, a dopiero po dłuższym czasie większy ubytek; u tych osób najmniejszą jest właściwość, zdolność nużenia się, wyczerpywania. Z drugiej strony są ludzie, u których już w samym początku pracy daje się wyraźnie spostrzeżać opadanie sprawności, u nich więc właściwość nużenia się występuje w stopniu wysokim. Pomiędzy temi krańcami znajdują się oczywiście wszelkie postacie przejściowe, lecz każda osoba pojedyncza zachowuje w tym względzie stale swój, że tak powiemy, charakter w pracy umysłowej. Ważność tego wniosku, zaczerpniętego z licznych doświadczeń, tem jest większa, że ową indywidualną miarę w szybkości nużenia się odnajdujemy zawsze, przy wszelkich zadaniach, w których badamy zjawisko nużenia się umysłowego. I tutaj więc spotykamy się z zasadniczą właściwością indywidualną umysłu ludzkiego. Im większą jest ta właściwość, owa szybkość nużenia się (po niemiecku *Ermeidbarkeit*), tem krócej sprawność utrzymuje się na wysokości najznaczniejszej i tem opadanie sprawności jest bardziej nieuniknione. Przy dużej nawet szybkości początkowej w pracy, człowiek prędko nużący się, pozostawać przeto będzie przez dłuższe okresy czasu w tyle po za pracującym powolnie, lecz równomiernie, że już zupełnie pominiemy jakościowe pogorszenie pracy, spowodowane bezwątpienia przez znużenie. Przybywa wszelako i ta jeszcze okoliczność, że znaczna szybkość w nużeniu się bynajmniej nie idzie w parze z niezwykłą prędkością pracy. Przeciwnie, zarówno bywają osoby, które powolnie pracują a jednak szybko się nużą, jak też takie, które przez długi czas wykazują dużą sprawność bez widocznego nużenia się.

Oprócz wskazanych powyżej własności ogólnych, dotyczących zjawisk znużenia, jest szereg jeszcze innych, które również z większą lub mniejszą dokładnością mogą być poddane badaniom porównawczym. Tak więc np. obraz sprawności umysłowej danego osobnika uzupełnić moglibyśmy przez stwierdzenie, w jaki sposób szybkość i dokładność jego pracy zależy od wpływów wewnętrznych i zewnętrznych, zakłócających bieg roboty, odchyłających uwagę, nie pozwalających skupić energii umysłu w jednym obranym kierunku. Również byłoby możliwym włączenie do tej charakterystyki umysłowej tego, co nazwać by można elastycznością sprawności mózgowej, a co wyrażać by się winno w szybkości, z jaką wyrównywiają się skutki znużenia, odwracania uwagi i t. d. Niemniej poddają się mierzeniu wielkości takie jak zależność sprawności umysłowej od przyjmowania pokarmów, od czasu poświęcanego na sen, od wysiłków fizycznych i t. p. Wreszcie szerokie pole dla badań psychometrycznych otwiera się w kierunku uwzględniania jakości pracy, jej wartości, która ostatecznie rozstrzyga wszakże o sprawności umysłowej organizmu ludzkiego. Znużenie—przytoczmy tu wniosek ogólny—sprowadzone przez dłuższy wysiłek mózgowy, nie tylko zmniejsza wartość pracy pod względem ilościowym, lecz *caeteris paribus* zawsze także daje pracę jakościową gorszą.

V.

Gdyby każda praca wyczerpywała te tylko organy, które przede wszystkim są nią zajęte, było-by oczywiście możliwym przy odpowiedniej zmianie zajęć pracować przez czas nieograniczenie długi. Chodziłoby tylko o to, ażeby znużonym tkankom pozostawić możliwość dostatecznego wypoczęcia, a przez ten czas znów inne tkanki mogłyby podejmować pracę ze świeżymi siłami. Można by w ten sposób dojść niejako do płodozmianu umysłowego i cielesnego. Zarówno wszakże doświadczenie powszednie jak i poruszone wyżej ściśle badania naukowe dowodzą niestuszności takiego pojmowania rzeczy. W dziedzinie umysłowej najprawdopodobniej niema wcale tak ścisłego odgraniczenia pracujących części mózgu, jak się to zazwyczaj przypuszcza. Nic właściwie pewnego nie wiadomo nam o tem, czy podczas rozmaitych godzin wykładu i nauki szkolnej, przy rozwiązywaniu najrozmaitszych zadań umysłowych, nie pracują zawsze jedne i te same tkanki. Bądź-

co bądź, już samo tylko czuwanie, bez wszelkiej pracy umysłowej lub fizycznej, prowadzi stopniowo do ogólnego znużenia, które wieczorem objawia się w niezdolności do większych wysiłków i wreszcie w potrzebie snu.

Lecz z drugiej znów strony wiadomo powszechnie, że jednostajna praca nuży, gdy zmiana w zajęciu działa orzeźwiająco. Faktom zaprzeczyć nie można, należy je tylko właściwie i jasno tłumaczyć. Otóż jest tu pewne nieporozumienie i pewna niedokładność w objaśnianiu. Należy bowiem koniecznie odróżnić pojęcia: wyczerpania, zmęczenia organizmu (*Ermüdung*) i znużenia, znużenia (*Müdigkeit*). Wyczerpanie zależy od zanikania zapasu sił, którym rozporządzamy, a stopień tego zmęczenia mierzymy opadaniem sprawności pracy. Uczucie zaś znużenia, jak je w życiu powszednim pojmujemy, może być spowodowane przez pracę jednostajną, jakkolwiek może przy tem bynajmniej nie być zmniejszenia siły pracy¹⁾. Doświadczenia w tym względzie dokonane przez Riversa²⁾ dowiodły najwyraźniej, że nie nuda wywoływana przez zajęcie, nie jednostajność tego zajęcia lecz jedynie tylko istotna wielkość dokonanej pracy jest miarą wyrażającą stopień zmęczenia.

Pomimo to wszakże w nauce szkolnej i domowej zmiana przedmiotu zajęć jest niewątpliwie bardzo korzystną. Przedewszystkiem konieczne przy takiej zmianie krótkie przerwy w pracy stanowią już pewien wypoczynek. Powtórę zaś — a to jest punkt najważniejszy — nie każdy przedmiot w równym stopniu absorbuje siły umysłowe ucznia. Po przedmiocie trudniejszym następuje łatwiejszy i daje możność częściowego wyrównania znużenia. Nie tyle więc różny kierunek zajęć ma tutaj znaczenie rozstrzygające, ile rozmaita trudność przedmiotów, które uczeń poznaje. Zmianie pracy bezsprzecznie też przypisać należy działanie orzeźwiające, wyrażające się we wpływie na usposobienie ucznia, w przyjemności, jakiej doznajemy, wiedząc, że skończyliśmy jedno zajęcie i możemy przejść do innego. Oczywiście zmiana taka nie powinna być zbyt szybka i zbyt częsta, gdyż wywoła przeciwnie uczucia przykre. Przyczyny zaś tych uczuć przykrych przy zbyt częstych zmianach zajęcia szukać należy w trudnościach, jakie pokonywać musimy z początku przy każdej nowej pracy, zanim odpowiednia podnieta do niej nie rozwinie się w całej pełni³⁾. Ta

¹⁾ Kraepelin. Zur Ueberbürdungsfrage. Jena. 1897.

²⁾ „Psychologische Arbeiten“ wydawane przez Kraepelina. 1897 Tom I. str. 627.

³⁾ Porówn. pracę Amberga w „Psychologische Arbeiten“ Kraepelina Tom I. str. 374.

podnieta bowiem, o ile dowodzą badania psychofizyologiczne, nosi swoje specjalne cechy dla każdego rodzaju pracy. a sprowadzane przez nią ułatwienie objawia się tylko w danej określonej dziedzinie pracy. Ułatwienie to zatem znika przy każdej zmianie, po każdej pauzie i musi być na nowo pozyskane, zwłaszcza gdy po przerwie pracować mamy w nowym kierunku. Stąd owa przykrość, kiedy zmuszeni jesteśmy po krótkiej pracy przerwać ją i przejść do innej, gdy właśnie w tamtym kierunku już na dobre szła nam robota.

Coś analogicznego spostrzegać można, gdy zbliżamy się ku końcowi jakiejś nużącej roboty. Myśl, że robota nudna, przykra, niezadługo zostanie ukończona, dodaje nam bodźca i pozwala osiągać wyższe wartości, pomimo najwidoczniejszego zanużenia. Podobieństwo pomiędzy pracą fizyczną i umysłową jest w tym względzie najzupełniejsze. I to właśnie podobieństwo każe nam szukać podnieć pracy nie w samym organie pracującym, lecz w ośrodkach nerwowych, rządzących wszystkimi elementami maszyny zwierzęcej. A gdy przekonanie to tylokrotnie jest potwierdzone przez eksperyment psychofizyologiczny, tem więcej stajemy zakłopotani wobec trudności zadania, którego rozwiązanie podjęliśmy. Mamy tu bowiem do czynienia z objawami usposobienia umysłowego i woli, poruszamy się w dziedzinie zjawisk, tak nieprzystępnych dla badań mierniczych, które jedynie rokować mogą nam zdobycie praw niewzruszonych, ścisłych. Czynniono też wielokrotnie zarzuty tego rodzaju próbom psychometrycznym, jak je wyżej opisaliśmy. Zwłaszcza powoływano się na to, że jednostajność zadań, jakie badacz narzuca umysłowi badanego osobnika, nie odpowiada wcale tym istotnym zadaniom, z którymi umysł nasz w życiu powszednim ma do czynienia. Ten zarzut wszakże mało zdaniem naszym, waży na szali wniosków krytycznych, wysnuwanych z rezultatów owych doświadczeń. Każde doświadczenie jest sztucznym zestawieniem momentów, wśród których zjawisko badane przebiega. I jeżeli tylko nie zapominamy o tem, co właściwie w danym eksperymencie jest sztuczne, a jak daleko sięga samo zjawisko w nagiej swej postaci, nie przysłonię umyślną szatą doświadczenia, jeżeli pamiętamy i dokładnie zdajemy sobie sprawę z odległości, jak rozmyślnie dzielimy samo zjawisko od doświadczenia; wówczas zawsze będziemy w stanie, przy pomocy szeregu najrozmaiciej kombinowanych doświadczeń, wyłączyć to, co jest w nich dodatkiem umyślnym, czy przypadkowym, i dojrzeć prawo, które niby nic główna przewija się przez spletaną tkanę umiejętnie dobieranych i stwarzanych doświadczeń. Trudności, o jakich tu mowa, są niezmiernie duże w dziedzinie badań psychologicznych, lecz że pokonać się dają, tego dowody mamy już dotychczas w licznych pracach, które na podstawach trwałych, we-

dług metody ściśle naukowej, starają się przystąpić do rozwiązania tak ważnych pytań naprzykład, jakim jest sprawa wciąż powtarzająca się i nigdy nie schodząca z listy spraw pilnych, sprawa przeciążenia szkolnego.

Fizjologia, higiena i pedagogika wspólnie pracować muszą, by sprawę przeciążenia szkolnego przedstawić w należytem świetle i dojść w niej do rezultatów praktycznych, istotnie dających się spżytkować przez higienę szkolną. Coż wszakże dziwnego, że pedagog dzisiejszy, często najstarszego niemający pojęcia o zasadach fizjologii i psychologii, niejednokrotnie w poglądach swych i wywodach znajdzie się na stanowisku wprost sprzecznem z poglądami lekarza? A z drugiej znów strony, bynajmniej nie tak rzadko się zdarza, że higienista, powołany do rozstrzygania kwestyi pracy umysłowej w szkole, staje zdumiony wobec ogromnego materiału psychofizjologii, który przy sumiennej ocenie uwzględnić należy, a z którym dotychczas nie miał wcale sposobności się zapoznać. Higiena pracy umysłowej stała się w czasach naszych olbrzymim działem wiedzy biologicznej, którą przyswoić sobie można tylko przez gorliwe studia. Nie daje ona jeszcze odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie jej stawiamy, ale wskazuje już niewątpliwe kierunki, w których odpowiedzi tych szukać należy. Wielce poważne na tem polu zasługi położył znany badacz szwedzki, Axel Key, który w olbrzymim i cennym materiale statystycznym zestawia istotny stan szkół średnich w Sztokholmie ¹⁾. Key przedewszystkiem z masy następujących się dla badacza pytań wysuwa na pierwszy plan te czynniki, które uwzględnione być powinny przy ocenieniu wpływu szkoły na zdrowie uczniów. Daje więc nam obraz rzeczywistego stanu zdrowia uczniów, a w segregowaniu chorób duży kładzie nacisk na krótkowzroczność. Następnie informuje o czasie, poświęcanym na pracę, o zdolnościach uczniów, występujących w możności śledzenia uważnego, korzystania z wykładów. Czas poświęcony na wypoczynek i sen i stosunek tych pauz do stanu zdrowia ucznia bardzo umiejętnie i wyczerpująco jest przedstawiony przez Keya. Badając przeważnie fizyczną stronę stosunków szkolnych, Key skrupulatnie zajmuje się budynkami szkolnymi i mieszkaniem ucznia, wreszcie dochodzi do szeregu dezyderatów, w których na czele stawia konieczność ustawicznego nadzoru higienicznego nad szkołami. O jednym tylko z nader wielu ważnych rezultatów pracy Keya tu wspomnimy. Okazało się, że dzieci dziesięcio-

¹⁾ *Axel Key's Schulhygienische Untersuchungen. In deutscher Bearbeitung herausgegeben von Dr Leo Burgerstein. 1889.*

letnie w szkołach sztokholmskich pracują przeciętnie dziennie po $6\frac{1}{2}$ godziny, chłopcy osiemnastoletni zaś po 11 godzin. Lecz są i tacy dziesięcioletni chłopcy, którzy pracują umysłowo dziennie po $7\frac{1}{2}$ godzin, a osiemnastastoletni pracujący niemniej jak $14\frac{1}{2}$ godziny.

Burgerstein w Wiedniu, który nie zadowolił się wyłącznie zbieraniem materiału statystycznego, lecz nadto podjął badania doświadczalne nad znużeniem uczniów i uczennic, posługiwał się następującą metodą: zestawił cztery szeregi bardzo prostych zadań arytmetycznych (dodawania i mnożenia), których rozwiązanie piśmienne powinno było w przybliżeniu zająć za każdym razem co najmniej 10 minut. Zadania te dawał, zwykle podczas pierwszych godzin wykładowych, uczniom i uczennicom rozmaitych klas w wieku od 11 do 13 lat, tak że dzieci zmuszone były do rachunku cztery razy podczas godziny. Po każdym okresie dziesięciminutowym było 5 m. pauzy, w której zbierano wykonane zadania i rozdawano następny szereg. Całe doświadczenie trwało więc 55 minut, t. j. tyle, ile trwa zwykła godzina wykładowa. Burgerstein wykonał te doświadczenia z 162 uczniami, a zgodność rezultatów otrzymanych tak jest niespodziewanie wielka, że nie można wątpić o dokładności wniosków ¹⁾.

Wogóle w badaniach Burgersteina wystąpił na jaw znaczny przyrost sprawności w oddzielnych okresach 10 - minutowych pracy. W ostatnim okresie liczba wykonanych rachunków była 40% większą od pierwszego okresu. Przy dokładniejszym wszakże rozważeniu rezultatów tej pracy okazało się, że nie wszyscy uczniowie równomiernie brali udział w tym postępie, lecz, że około 43% ku końcowi godziny wskazywało już wyraźne opadanie sprawności. Już i tutaj zatem zarysowują się dokładnie różnice indywidualne w szybkości nużenia się, jak to jeszcze jaśniej występuje u ludzi dorosłych. Znaczna część dzieci dwunastoletnich, po doskonałym wypoczynku (po śnie), nie jest zatem w stanie bez znużenia wykonać prostej pracy rachunkowej, trwającej przez 40 minut z trzema przerwami pięciminutowymi. Lecz nie koniec na tem. Burgerstein podjął trud przejrzenia samych robót, zliczenia popełnionych w rachunkach błędów i poprawek poczynionych przez samych uczniów, pragnąc zdobyć sąd o rzeczywistej wartości pracy. Otóż okazało się, że zarówno błędy, jak poprawki, stale i prawidłowo wzrastają od pierwszego do ostatniego okresu pracy, i to w stopniu daleko większym, aniżeli szybkość w robocie. Podczas gdy szybkość pracy, jak powiedzieliśmy, wzrosła o 40%, jednocześnie li-

¹⁾ Burgerstein. Die Arbeitcurve einer Schulstunde. Zeitschrift. Schulgesundheitspflege. 1891.

czba poprawek wzrosła o 162⁰/₀, a liczba błędów o 177⁰/₀. Z tego wynika już z całą pewnością, że objawy znużenia występują coraz jaśkrawiej już bardzo wczesnie, że u większości uczniów tylko pozornie objawy te zostają maskowane przez wzrastającą szybkość, nabytą przez ćwiczenie. Ilość pracy wzrasta, lecz jakość, wartość jej rzeczywista statecznie opada.

Do wniosków podobnych, lecz posługując się inną metodą, dochodzili Sikorski i Höpfner. Na początku godziny wykładowej i w końcu dyktowali oni uczniom łatwe ustępy z książek i porównywali błędy, popełnione wówczas, kiedy umysł jeszcze nie był znużony, z liczbą błędów po znużeniu nauką godzinową.

Pomijam tu inne metody, obmyślane do celów badania znużenia uczniów. O jednej tylko wspomnę jeszcze, którą zawdzięczamy Griesbachowi ¹⁾. Polega ona na tem, że znużenie mózgowe osłabia czucie dotykowe. osłabia siłę wrażeń dotykowych. Zdolność odróżniania przestrzennego wrażeń dotykowych zawdzięczamy t. zw. zmysłowi miejsca (Ortssinn). Zdolność ta jest ograniczona, a granice są rozmaite w różnych miejscach skóry. Pierwsze badania nad zmysłem miejsca i pierwsze w tym kierunku pomiary były dokonane przez E. H. Webera. Oznaczał on, jak małą może być odległość dwu wrażeń, otrzymanych przez jednoczesne dotknięcie skóry dwoma śpiczastymi końcami, aby wrażenia te jeszcze się nie zlewały z sobą; innemi słowy, oznaczał minimalną odległość dwu punktów na skórze, których podrażnienie daje jeszcze wyraźnie różne wyobrażenia przestrzenne. Tę odległość minimalną nazwał Fechner progiem przestrzeni. Metoda mierzenia tego progu polega na następującem: oba tępościczaste końce cyrkla przykładamy współcześnie lekko do skóry; odległość nóżek cyrkla zmniejszamy póty, aż wrażenia dwu końców zleją się w umyśle w jedno wrażenie linii. Wrażliwość w tym względzie różna jest w rozmaitych miejscach skóry, a topografia powierzchni zewnętrznej naszego ciała w tym względzie dobrze jest zbadana. Otóż, dokonując podobnych badań nad ludźmi rozmaitymi przed pracą i po pracy, Griesbach doszedł do wniosku, że stale znużeniu towarzyszy zmniejszenie wrażliwości skórnej. Po pracy stale minimalna odległość końców cyrkla, przy której odbierano wrażenie dwu dotknięć, była większą niż po wypoczynku.

Nietylko jako metoda, potwierdzająca rezultaty inną drogą zdobyte, doświadczenia Griesbacha interesujące są niezmiernie. Potwier-

¹⁾ H. Griesbach. Energetik und Hygiene des Nerven systems in der Schule. 1895.

dzają one nadto, że pojmujemy należycie istotę samego zjawiska zużycia. Umysł wyczerpuje się przy wszelkiej pracy i wyczerpanie to nie jest jednostronne, lecz odzywa się na całości tkanki nerwowej. Opadanie wrażliwości skórnej skonstatował Griesbach wyraźnie także u ludzi po pracy fizycznej. W każdym przeto rodzaju pracy czerpiemy ze źródła tkwiącego w ośrodkach nerwowych, które słabną pod każdym niemal względem, niezależnie od rodzaju roboty, która je zużyła. Na pozór czyż może być wspólność jaka pomiędzy pracą ucznia nad zadaniem szkolnym a wrażliwością jego skóry? Związek ten jednakże istnieje niewątpliwie, jak to widać z doświadczeń, a związek ten tłumaczy się łatwo wspólnością głównego źródła, z którego ubywa sił przy wszelkiej pracy. Kapitał energii mózgowej zużywa się bez względu na rodzaj zajęcia, o tym kapitale więc nadewszystko higiena pracy ustawicznie myśleć musi. Higiena ośrodków nerwowych dbać powinna o to, aby kapitału owego nie marnotrawiono, aby po większym wydatku jego w jakiejkolwiek postaci nastąpiło koniecznie pokrycie straty, aby ustawiczne, niedozowne dla życia, zużywanie zachodziło tylko w drobnych, niejako procentowych ilościach, doskonale zastosowanych do wysokości samego kapitału.

VI

Czy szkoła współczesna stoi pod tym względem na wysokości swego zadania, czy liczy się istotnie z temi wymaganiami, czy wogóle oparta jest na zasadach racjonalnych badań psychofizyologicznych?

Higiena fizyczna szkół jest oddawna sprawą, pilnie przez ludzi dbających o zdrowie publiczne rozpatrywaną, natomiast higiena umysłowa zaledwie w powijkach się znajduje. Najskrupulatniejszym badaniom poddawane są kwestye, dotyczące budynków szkolnych, oświetlenia sal wykładowych, wentylacyi, ławek, dezynfekcyi i t. d. i t. d. Badania te wydały też istotnie plon już bardzo obfity i posiadamy racjonalne wskazówki, do których tylko, niestety, bardzo mała mniejszość szkół się stosuje. Jeżeli jednak w tym względzie najczęściej dalecy jesteśmy od upragnionego celu, to nie polega to na niedostateczności zdobytych dotąd danych naukowych. Natomiast gorzej znacznie dzieje się na polu higieny mózgow dzieci naszych. Wszyscy, którzy dotknęli się zblizka tego przedmiotu, jednozgodnie stwierdzają, że w systemie

szkolnym na całym niemal świecie są braki poważne. Można śmiało powiedzieć, że wśród instytucji współczesnych niema może innej, która by równie długo, jak szkoła, trzymała się przestarzałej rutyny i tradycyjnych przesądów. Od wielu dziesiątków lat w systemie nauczania szkolnego nie zaszły prawie żadne zmiany i zdawać-by się przeto mogło, że wszystko dzieje się tu jak najlepiej. Tymczasem badania psychometryczne dowodzą, że szkoła nie przestrzega najkardynalniejszych zasad fizyologicznych, na jakich opierać się winno wykształcenie organu tak ważnego, jakim jest mózg.

Ćwiczenie i oszczędzanie—oto dwa najpoważniejsze momenty fizyologiczne, jakimi posilkuje się natura, rządząca rozwojem i doskonaleniem materji żywej. Ilekroć zdarzy się, że jeden z tych momentów zostanie pominięty, drugi natomiast weźmie nad tamtym górę, nieuniknionem tego następstwem musi być krzywda organu, tkanki, komórki żyjącej. Cała, rzec można, sztuka natury polega na tem, że umiejętnie kieruje elementami żywymi, pozwalając im naprzemian ćwiczyć się i oszczędzać. Jest miara pewna, pewna granica, poza którą wyjść nam nie wolno ani w pracy, ani w spoczynku, jeżeli organizm ma zachować harmonię swych czynności życiowych, jeżeli czynności te rozmaite składać się mają na całość pełną, doskonałą, dającą gwarancję zachowania życia i przekazywania go z pokolenia na pokolenie. I wszystkie wnioski higieniczne ostatecznie muszą się zbiegać w prawie, wymagającym zachowania należytej miary w ćwiczeniu i oszczędzaniu organów.

Wielokrotnie w wywodach powyższych wskazywaliśmy trudności, jakie napotykamy, pragnąc ściśle sformułować przepisy higieny mózgu. Indywidualne różnice mózgów ludzkich tak są duże, że już ten jeden wzgląd stawia nas tutaj przed zadaniem ogromnemi trudnościami najeżonem. A zapytajmy, czy szkoła dzisiejsza, szkoła średnia, ta szkoła, która przeznaczona jest dla wszystkich, bez względu na to, na jakim polu działalności osobnik dany w dalszem swem życiu pracować będzie — czy ta szkoła choć trochę liczy się z różnicami osobniczymi w sprawności mózgowej? Najczęściej, nie mając żadnej miary, żadnej wskazówki w ocenianiu przyrodzonych lub w najwcześniejszej młodości nabytych zdolności dzieci, musimy je przeznaczyć do pracy w kierunku praktycznym (realnym), lub skierować je na naukę, w której przeważają tradycje szkół średniowiecznych (klasycyzm). Musimy się zdecydować na to w tym czasie, kiedy właściwie każde dziecko, bez względu na powołanie swe późniejsze, powinno przez szereg lat, czyli przez czas trwania nauki w szkole średniej zdobywać naukę, ogólnie umysł kształcącą, naukę niezbędną dla każdego człowieka społecznego. Łatwo pojąć, w jak niekorzystny sposób działa owa sztuczna koncentracja umysłu na jednym przedmiocie, z pominięciem

innych, niemniej kształcących i rozwijających. Już zaraz na wstępie popełniamy błąd fizyologiczny, ćwicząc mózg zbyt w jednym kierunku, a oszczędzając go całkowicie w innych.

Lecz nie mamy tu zamiaru rozwijać wciąż palącego sporu pomiędzy zwolennikami wykształcenia realnego a klasycznego. Jedynie ze stanowiska biologii, ze stanowiska fizjologii i higieny mózgu zaznaczamy ten punkt nader doniosły, podobnie jak i na kilka innych jeszcze pokrótce pozwolimy sobie zwrócić uwagę.

W szkole średniej, mającej dać podstawy ogólnego wykształcenia, spotykamy się, niestety, zbyt często z objawami jednostronności, która stąd głównie pochodzi, że nauczyciel fachowy, specjalista, zbyt przedmiotem swojego wykładu zajęty, już to nie czuje wogóle solidarności z kolegami, wykładającymi inne przedmioty, już też jedyny cel wykształcenia upatruje w osiągnięciu możliwej doskonałości w zakresie swego przedmiotu. Zdawać-by się powinno, że gdy mamy przed sobą zadanie ogólnego wykształcenia dzieci, stworzenia podstawy, na której dopiero w dalszym ciągu wznieść by się mógł gmach wykształcenia specjalnego, jeden lub kilku najwyższych prawdziwych pedagogów wystarczyć by powinno. Że mniejsza liczba nauczycieli, wskutek bliższego swego zetknięcia się z uczniami, lepiej poznać-by mogła charakterystyczne właściwości umysłu uczniów, to chyba wątpliwości nie ulega. Poznanie zaś to zupełnie jest prawie niemożliwe w tych warunkach, gdy uczeń nieraz z roku na rok zmienia swych nauczycieli, z których znów każdy bardziej jest uczonym specjalistą, niż wytrawnym pedagogiem. Kto inny uczy łaciny, kto inny greki, oddzielny jest nauczyciel dla każdego języka, dla rozmaitych działów matematyki, inny dla historii, inny dla geografii i t. d. Każdy z nauczycieli swój przedmiot na pierwszy plan wysuwa, gdyż każdy tylko tym swoim przedmiotem, jako specjalista się zajmuje, każdy otrzymał specjalne, uniwersyteckie wykształcenie w pewnym tylko kierunku. Czyż istotnie żaden z tych nauczycieli sam nie posiada tego ogólnego wykształcenia, jakie w szkole średniej zamierza osiągnąć przeciętny uczeń? Nie przypuszczamy, ażeby go nie posiadał. Nie jest on tylko dostatecznie przygotowany do wykładu. I oto znów inny punkt, który pod rozbiór szczegółowy się nasuwa.

Nauczyciele szkół średnich to przeważnie ludzie doskonale znający swój przedmiot, lecz z bardzo nielicznymi wyjątkami zupełnie niewykształceni w sztuce nauczania, w pedagogice. Nauczyciele zdobywają stopnie naukowe w uniwersytetach i to stanowi o ich kwalifikacji nauczycielskiej. Można wszakże najlepszym być znawcą danego przedmiotu, a absolutnie nie potrafić wyklądać go innym. Uczno-

ny i nauczyciel to dwa różne pojęcia, często zupełnie z sobą w parze nie idące. Pedagogika nie znalazła dotąd dla siebie miejsca należnego w programie nauk uniwersyteckich, stąd też nauczyciele, z kwalifikacjami wyłącznie uniwersyteckimi, wogóle są instytucją niezgodną z wymaganiami pedagogiki współczesnej. O reformie nauczycieli szkół średnich ustawicznie odzywają się obecnie głosy we wszystkich cywilizowanych krajach europejskich.

Plan wykładów w szkole jest zwykle sprawą, która nie zajmuje prawie władzy szkolnej ze stanowiska higieny umysłowej. Układ godzin bywa dowolny, a przynajmniej nie liczy się z danymi, jakie pozyskać by można przy gorliwej obserwacji objawów znużenia, towarzyszących rozmaitym przedmiotom planu wykładowego. Już a priori przypuszczać trzeba, że różne przedmioty wymagają od ucznia rozmaitego nakładu energii mózgowej, że przeto rozmaite sprowadzają skutki pracy umysłowej. Doświadczenia potwierdzają to w zupełności i pozwalają wytworzyć niejako naturalny plan kolejno wykładanych przedmiotów *). Niemniej ważną jest sprawa pauz pomiędzy wykładami, długość ich w zależności od natury przedmiotu wykładanego. W bardzo wielkiej liczbie przypadków najściślej dowiedziono, że pauzy już to nie wystarczają do wyrównania zmęczenia mózgowego po pewnym wykładzie, już też, że są w pewnych razach nieodpowiednie ze względu na to, iż nie pozwalają znów dostatecznie skupić uwagi, tak, że następujący po pauzie wykład prawie żadnej nie daje uczniowi korzyści. Jak długo pauza trwać ma po każdej godzinie wykładowej, czem ma ta pauza być wypełniona, czy pozostawić podczas niej uczniowi zupełną swobodę, czy napędzać go do gimnastyki, czy lekcye gimnastyki mają przeplatać godziny wykładów i w jakiej porze, czy większa pauza, półgodzinna lub całogodzinna, ma znaczenie pewne i w jakiej porze przerwa taka ma następować: oto szereg pytań, które dla rozumnego rozkładu zajęć uczniów w szkole bardzo ważne mają znaczenie. A zajęcia domowe? Toż znów otwiera się pole dla licznych obserwacji i doświadczeń w zakresie psychofizjologii ucznia. Czy szkoła może i powinna żądać dopełnienia swych zadań przez pracę domową ucznia, jakiego rodzaju mają być owe ćwiczenia domowe, zadawane przez szkołę, jakiego nakładu pracy powinny one wymagać, o ile inne zaję-

*) „Sammlung von Abhandlungen aus dem Gebiete der paedagogischen Psychologie und Physiologie“. Wydawnictwo to w roku ubiegłym poczęło wychodzić w Berlinie. Porównaj *H. Schiller* „Der Stundenplan“. Berlin. 1897 i *Dr. L. Wagner* „Unterricht und Ermüdung.“ Berlin 1898.

cia domowe i nauki przez szkołę nie uwzględniane mogą być na barki ucznia nakładane? Jeżeli wymieniamy tu te wszystkie pytania, o których tylokrotnie już wspomiano, nie czynimy tego tylko z tego powodu, że się one same pod pióro nasuwają, ale wymieniamy je jedynie, by wskazać, że one wszystkie są już uwzględniane przez ściśle badania psychometryczne według tych metod, o których wyżej obszerniej mówiliśmy. Pragniemy więc przez to dać wyraźnie do zrozumienia, że racjonalne tych pytań rozstrzygnięcie jest możliwe. Czyż potrzeba koniecznie przytaczać tu wyniki dotychczasowych, we wszystkich tych kierunkach przedsięwziętych, badań? Zajęły-by nam one więcej miejsca, niż na to pozwalają ramy niniejszego szkicu. Zresztą mają one do pewnego stopnia znaczenie lokalne. Inny jest plan zajęć w szkołach niemieckich, inny w austriackich, węgierskich, francuskich, inny w naszych. Badania tego rodzaju niezbędnie muszą być dokonywane w tych warunkach, w których zamierzamy spożytkowywać ich rezultaty. A u nas, z przykrością to wyznać trzeba, nie widać jeszcze nawet śladów najpierwszych początków zajęcia się tym przedmiotem.

Można-by zapytać wobec tego, czy niema u nas może zgoła objawów przeciążenia szkolnego, czy niema oznak nerwowości wśród młodzieży szkół średnich, której dowody, bardzo przekonywające, złożyli badacze w innych krajach, w innych warunkach, zapewne nie tak bardzo odmiennych od naszych. ¹⁾ Prawdziwie dokładnej odpowiedzi oczywiście dać na to nie można, gdyż dotąd nikt dokładnie tego przedmiotu nie badał. Jeżeli jednak spytamy któregośkolwiek lekarza, spotykającego się w swej praktyce z młodzieżą szkół średnich, z pewnością otrzymamy odpowiedź, która wątpić nie pozwoli o tem, że bynajmniej nie wszystko w szkołach naszych dzieje się ku zapewnieniu możliwie normalnego życia mózgowego młodzieży.

To znów nasuwa nam konieczność zakończenia tych luźnych uwag pewną refleksją, z którą często spotykamy się w odpowiedniej literaturze Zachodu. Fiziologia i pedagogika powinny wspólną podjąć pracę dla rozwiązania pierwszorzędných spraw higieny umysłowej. Naturalnymi zaś stróżami tych spraw, walecznymi obrońcami praw młodzieży szkolnej, powinni być zarówno nauczyciele - pedagogowie, jak i lekarze, mający pieczę nad zakładami szkolnemi. By wszakże obrona ta była skuteczną, potrzeba niemałych zmian w stosunkach dotychczasowych. Potrzeba przedewszystkiem, ażeby nauczyciel potrafił wyrzeć poza ciasne ramy swej specjalności, ażeby został pra-

¹⁾ Dr H. Schuschny. Die Nervosität der Schuljugend. Jena 1895.

wdziwym pedagogiem i poznał psychologię ucznia; a z drugiej strony potrzeba, ażeby lekarz nie poprzestawał na wyłącznej swej roli lekarskiej, lecz aby został prawdziwym higienistą, ażeby tyleż uwagi poświęcał mózgowi ucznia, ile poświęca budynkowi szkolnemu i jego szczegółom. Nadewszystko zaś potrzeba, ażeby wogóle uznano potrzebę rozumnej czujności lekarskiej w szkołach.

Dr. M. F.

NA WISŁĘ.

Z prądem fali.

A za lasem, a za borem wstało słońce
I wysła swe promienie, niby gońce,
Na tę płową, na tę szarą Wisłą falę,
I rozprasza mgły nad wodą — serca żale.

A za lasem, a za borem niebo płonie.
Kąpią blaski, złote blaski na wód tonie,
Złocą wierzby na wybrzeżu i olszynę, —
A ja płynę w dal bez końca, a ja płynę...

Biały statek, niby łabędź, pruje wodę, —
Zuów otucha jakaś spływa w serce młode,
Raźniej, śmieiej w życie patrzę, w przyszłość mglistą —
I żegluję w dal promienną, w dal przejrzystą.

Ach, bo trzeba dać się unieść prądom fali,
Byle tylko naprzód płynąć, byle dalej!
Może gdzieś, na jakimś krańcu życia rzeki,
Czeka na nas port bezpieczny, choć daleki.

Cmentarz nad wodą.

Lipy, brzóz kilka, poczerniale krzyże,
Jakieś nieznane, zapadłe mogiły, —
To cmentarz wiejski! Stopy jego liże
Fala, lecz wyżej wspiąć się nie ma siły.

Komu na pomnik marmury lub śpiże
Losy w odwiecznej księdze przeznaczyły,

Ten, pogrążony w mętnym życia wirze,
Nie przyjdzie spocząć tu, pod te mogiły.

Gdzieś, stąd daleko, w miast olbrzymich gwarze,
W siedliskach ludzkiej potęgi i pychy,
Inne na niego czekają cmentarze,

Większe, wspanialsze, niż ten cmentarz cichy.
Ale na wieki — po życia rozterce —
Tu spokój pewny znajdziesz, biedne serce...

SELIM.

Seweryna Duchńska.

Wśród literatek naszych, których dość liczny zastęp w końcu pierwszej połowy w. b. ukazał się na arenie publicznej, była po Narcyzie Żmichowskiej jedną z najzdolniejszych, najsympatyczniejszych i najczynniejszych Seweryna z Żochowskich Pruszkowa, a secundo voto Duchńska, która dnia 28 października r. z. obchodziła w Paryżu półwiekowy swój jubileusz.

Od początku zawodu swego pisarskiego była ona i jest do dziś dnia współpracowniczką czasopisma naszego, słusznie więc od nas jubilatce dostojnej serdecznie się należy uczczenie.

Urodzona roku 1816 w Koszajcu pod Sochaczewem, w siódmym roku życia straciwszy ojca, wychowywała się pod opieką zacnej, dobrej i bogobojnej matki, która w smutnem wdowieństwie swoim miała trosk, trudów i kłopotów nie mało, ciężko pracując nad oczyszczeniem z długów, dokupionej przez męża na parę lat przed śmiercią, obszernej majątności pod Kutnem, z zaciągnięciem na nią pożyczki.

Na szczęście, zacnych opiekunów i doradców znalazła, z jednej strony w bracie rodzonym, Franciszku Trzecińskim, z drugiej—w szwagrze, Feliksie Żochowskim, człowieku niezrównanej zacności, który szczególnie jej się losem i rozwojem moralnym i umysłowym synowicy swojej zajmował, co mu łatwiej, niż panu Franciszkowi, przychodziło, gdyż był bezzennym i całkiem niezależnym.

Do lat sześciu Sewerynkę pielęgnowała poczciwa jej piastunka, zwana pieśczośliwie *pannuńcią*; w szóstym roku dostała nauczycielkę w osobie niejakiej panny Rapackiej, a kiedy ta po czterech latach wyszła za mąż, były po niej dwie inne, lecz nie odpowiadały życzeniu matki, która wreszcie uznała za stosowne powierzyć Sewerynę przyjaciółce swojej, pani Zabłockiej, mającej młodszą córkę w jednym z nią wieku, a przepędzającą z mężem trzy ćwierci roku, nibyto dla wychowania swoich dziewcząt, w Warszawie.

Był to dom francuziały, skutkiem dwuletniego pobytu w Paryżu, a życiem nad stan prawie zupełnie zrujnowany; to też poczciwy pan Franciszek mocno przeciwnym był oddaniu siostrzenicy pod opiekę tych państwa, twierdząc, że nie się u nich nie nauczy, oprócz chyba paplania po francusku, a zapomni tego, co umie, i wychowa się na lalkę salonową. Dopiero kiedy siostra mu oświadczyła, że odda ją tylko na próbę na rok jeden, i jeżeli przez ten czas nie wiele się nauczy, to umieści ją na pensyi panny Wilczyńskiej, zgodził się na ten układ, a kiedy i stryj Feliks też przystał na to, matka odwiozła Sewerynę do państwa Zabłockich.

Przepowiednia wuja Franciszka spełniła się prawie dosłownie: dziewczeczka wiele zapomniała z wiadomości, nabytych w domu, a nauczyła się nie tylko paplać po francusku, ale i modlić się z książki francuskiej. Zgorszony tem wielce p. Franciszek, na tłumaczenie siostrzenicy, że Bóg przecież rozumie wszystkie języki, odpowiedział: „rozumie, ale wymaga, aby każdy modlił się własną mową”, i wymógł na niej przyrzeczenie, że odtąd będzie się tak modliła, jak się nauczyła od matki.

Po niefortunnej owej próbie, matka Seweryny, dotrzymując danego słowa, wkrótce potem, w jesieni r. 1823, odwiozła ją na pensyę panny Wilczyńskiej.

Przyjęta po egzaminie do klasy drugiej, w której między innymi za koleżankę miała Narcyzę Żnichowską, uczyła się gorliwie, ale jedynie tego, co jej przypadało do smaku: pociągały ją wielce nauki przyrodnicze, wykładane przez Wagę, zajmowały wykłady języka polskiego, pisywała dobrze wypracowania i namiętnie przepisywała różne wiersze, ale za to w historyi powszechnej, arytmetyce i niemczyźnie była, co się zowie, nieukiem.

Panna Wilczyńska nie tała tego przed matką Seweryny, matka uzaliła się na to pauu Feliksowi, który napisał list do synowicy, bez wymówek upokarzających, lecz tylko z wyrażeniem głębokiego przekonania, że ta na popisie nie zawiedzie jego ufności, lecz owszem, będzie jedną z pierwszych.

To ambitną dziewczkę tak głęboko wstrząsnęło, taką w niej obudziło energię, podnieciło do tak żarliwej i pilnej pracy, że w ciągu dwóch tygodni, jakie jej do egzaminów pozostawały, czas zmarnowany powetować zdołała i ku zdumieniu wszystkich koleżanek, ku podziwowi profesorów i przełożonej, wyszła z tej ciężkiej próby z tryumfem: jedna tylko Żmichowska wyżej od niej stanęła.

W kilka dni potem, na popisie publicznym, na którym obecni byli wraz z ministrem Grabowskim członkowie rady wychowawczej, profesorowie uniwersytetu: Osiński, Kunat i Lach Szymra, i dwie wizytatorki: hr. Platerowa i Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, a wpośród publiczności znajdował się i poczciwy stryj Feliks,—na popisie tym ujrzała się u szczytu szczęścia, otrzymawszy, nie tylko promocyę do trzeciej klasy, ale i list pochwalny!

Tryumf ten podniósł dziewczkę we własnem przekonaniu i do gorliwej pracy ją zachęcił: uczyła się odtąd z wielką ochotą i pilnością i z odznaczeniem w roku następnym pensyę opuściła, wyniosłszy z niej na całe życie miłe wspomnienie i tkliwą wdzięczność w sercu dla zacnej przełożonej, dla Hoffmanowej, która wykładała naukę moralności, dla Antoniego Wagi i dla Ludwika Koncewicza, wybornego profesora gramatyki i literatury polskiej, który nauczył ją, nie tylko dobrze władać mową ojczystą, ale odczuwać i oceniać jej piękności nieporównane.

Stryj Feliks odwiózł Sewerynę do domu, który powitała z wielką radością, jakkolwiek bowiem wiek dziecinny, przy okrytej żalobą i kłopotami obarczonej matce, bez rówieśnego towarzystwa, upływał jej dość smutnie; nie brakło przecież różnych wiejskich rozrywek i miłych wrażeń, urozmaicających monotonię życia, dzięki szczególnie dobrym, iście patryarchalnym, stosunkom dworu z ludem.

„Codzien wieczorem (pisze Duchcińska we „Wspomnieniach z pierwszych lat swoich“, drukowanych w „Wieczorach rodzinnych“, z których te szczegóły czerpiemy) po pracy w polu lub w ogrodzie, najemny lud garnął się do dworu po kwitki, które co sobota wypłacano. Po zżęciu każdego rodzaju zboża gromada przychodziła z wieniec, przyspiewując wesoło. Przędownica składała mi w ręce koronę z kłosów, przetykaną kwiatami, po czem lud odchodził uczęstowany, a wieniec zawieszano w sieniach na kołku. A cóż to było dopiero kiedy ostatni kłos padł pod sierpem, a stodoły i brogi napełniły się snopami. Matka moja lubo smutna, chętnem okiem patrzyła na radujących się wieśniaków, po żniwach sute wyprawiała im okrężne. Odbywało się to w obszernym dziedzińcu przed dworem. Skrzyпки ciężły od ucha, przygrywały im basy. Od wieczora do świtu, młodzi i starzy,

dziewczęta i podziły kumoszki, wszystko to płaśało na zabój, pokrzykując: dana oj dana!

„Jesienią kobiety międlily len w podwórzu; w długie wieczory prządki schodziły się do pokoju pannusi, zasiadały wokoło komina, warczały kołowrotki, do taktu z wesołą, to rzewną piosenką.

„W zapusty znów następowały wesela. O zmierzchu we czwartek družbowie i swaty przychodzili ze zwykłą oracyą godową i zapraszali: „na te gołębie, co siedzą na dębie, i na ćwierć wołu, co wart pańskiego stołu; na tego barana, co z niego pieczeń i sukmana; na czarkę wódki, co rozprasza smutki; na dzbanek piwa, co się głowa od niego kiwa“, i na mnóstwo innych przysmaków. W niedzielę zrana przyprowadzano do dworu pannę młodą; ja sama trefiłam jej włosy, wpinałam w nie pęk wstążek i gałązki rozmarynu; powyżej czoła przytwardzałam koronę, którą mama wyhaftowała srebrnymi blaszkami na atłasie i chowała u siebie, dopóki służyć mogła. Nazajutrz po ślubie drużyna weselna przychodziła ze skrzypkami do dworu na oczepiny. Panna młoda otrzymywała z rąk matki mojej suty czepiec z błogosławieństwem, po czem płaśano w podwórzu po śniegu, albo w sali w razie zamieci.

„Od Bożego Narodzenia do Trzech Króli młodzież obiegała wieś z gwiazdką, śpiewając pieśni kolędowe, a zaczynała zawsze od dworu. Po Wielkiejnocy przychodziła znów po Dyngusie, następnie z Kurkiem i odpowiednią zawsze pieśnią.

„Droga matka moja kochała szczerze ten lud i pozyskała jego ufność. Kobiety przychodziły raz po raz po lekarstwa lub radę. Postawiono w pokoju *pannusi* wielką szafę czarną, podzieloną wewnątrz na półki i szuflady. Na półkach stały butle, flaszki, słoiki różnych rozmiarów, opatrzone właściwymi napisami; wszufladach pełno było ziół wszelkiego rodzaju: ślaz, kluczyki, melisa, szatwia, rumianek, mięta i macierzanka. Znałam je wszystkie, bo sama w wiosenne poranki zbierałam je w polu z *pannusią*.

„Wszystko to głęboko utkwilo mi w pamięci. Tej styczności z ludem wiejskim zawdzięczam tę serdeczną miłość dla włoscian naszych, jaka mię dotychczas ożywia“.

Przytoczyłem ten przydłuższy wyjątek z pamiętniczka Duchińskiej, z niego bowiem daje się widzieć, pod jakimi-to wpływy rozwijał się w jej duszy ten posiew Boży, który na świat z sobą przyniosła, a z którego wykwitły plony takie a nie inne cechy przybrać musiały. Życie „sielskie anielskie“ odbiło się wyraźnie na jej pierwszych utworach, szczególnie zaś „Powieściach poetycznych.“ Tak np. w jednej z nich p. t. „Dwa dwory“ taki ustęp napotykamy:

Płynie a płynie Bzura doliną,
 A z nią godziny, dni, lata płyną;
 A dziecię wzrasta w siłę i zdrowie,
 I jak ptaszyna rankiem w dąbrowie,
 Szczebioce z cicha wiosenne pieśni,
 Które stróż anioł szeptem jej w śnie.

O jasność świeci dla niej świat Boży!
 To też dziecina co dnia się korzy,
 Dziękując Bogu, że wkrąg po ziemi
 Rozesłał kwiaty z barwy cudnemi,
 Że je co ranek pokrzepia rosa,
 Że tak gwiazdami świecą niebiosa,
 Że tyle muszek brzęczy nad wodą,
 Że ptactwo z taką nuci swobodą,
 Kiedy Bóg słońcem świat rozweseli;
 Że tak godowo ziemia się bieli,
 Gdy śnieg ją czysty przyprószy w zimie;
 Że tak ognisko tli na kominie,
 Gdy je obsiadają prządki wieczorem,
 Podczas gdy wicher nad blizkim borem
 Z śnieżną zamiecią głucho szeleści,
 A one cudne prawią powieści...

O! lubi słuchać powiastek dziecię,
 A myśl jej krąży w zaklętym świecie,
 Kędy nieznane na ziemi cuda
 W czarowne barwy złoci uluda;
 O! lubi dziecię z prządkami społem,
 Gdy przy kądzieli zasiądą kołem,
 Nucić piosenki piękne a łzawe.

Ale nie tylko w wieku młodocianym, lecz i w latach dojrzałszych, pani Seweryna, która, w szesnastym roku życia swojego wyszedłszy za mąż za obywatela ziemskiego, Tomasza Prusaka, lat piętnaście przepędziła z nim na wsi (w Śleszynie w pow. Gostyńskim), zostawała w ciągłej styczności z ludem i z naturą i pod ich wpływem rozwijała się i dojrzewała sercem i umysłem.

Wcześniej też poczuła w sobie natchnienie poetyckie i cel wysoki zakreśliła swej pieśni, co pięknie wypowiedziała w drugiej powieści poetycznej p. t. „Córka wdowy“, w której bohaterka jej, młodziuchna dziewczeczka, Marya, tak mówi:

„Co? jam poetką? Prawdąż to? czy we śnie
Tak mi się marzy? Skąd mi tyle łaski?
Miałe-by światła swojego odbłaski
Pan mi ukazać? Miałe-by mi w łono
Tchnąć swej potęgi iskrę nieskażoną,
I usposobić mojej myśli loty,
Abym, owiana mgłą wiecznej tęsknoty,
W cichym a łzawym gonila zachwycie
Brzaski przedświtu po jasnym błękitcie?
Miałeby zesaść dar mojemu oku,
Ażeby w ziemskim dojrzało pomroku
Cuda, ukryte przed ludzką źrenicą,
W których promienie myśli Bożej świecą?
. Tak, Pan mnie woła,
Abym ziemskiego zaparła się bytu
I, z piersią pełną boskiego zachwytu,
Wybiegła śmiało w obszar nieskończony
I ród mych braci, tęskny a uśpiony,
Krzepiła pieśnią, wysnutą z mej duszy.
Bo mi przyrzeka, że pieśń ma poruszy
Struny zrdzewiałe od ziemskiego błota,
Które im w łonie stępił ból żywota...
.. O! ja im powiem, gdzie mają ołtarze
Zakładać Panu w dowód kornej cześci;
Ja iskrę w piersi rozniecę niewieściej,
Barki jej w skrzydła przybiorę łabędzie,
Że znów aniołem cichej strzechy będzie,
Że próg domowy zasieje znów w kwiaty,
Jak jej prababki czyniły przed laty.
Ale, o Panie, daj mi słowa wieszczę...
... Daj mi, o Panie, daj mi promień Wiary!
Niech się uczuję narzędziem twej woli,
Zlepkiem twej gliny, kęsem twojej roli,
Na której ziarno dłoni twoja posieje,
Co gwoli światu zakwitnie w nadzieję.
Niech duch mój, Panie, wiecznie ukorzony,
Takiemi tylko odzywa się tony,
Jakie tajemnie poszeptnie mu z góry
Zwiastun twej łaski, Anioł białopióry!
Niech z ciebie czerpie siłę pieśń nieśmiała,
A w głosie moim zabrzmii twoja chwala.“

Tak marząc, tego pragnąc i takie śluby czyniąc w wiosnie życia najrańszej, nie prędko wszakże autorka „Powieści poetycznych“ dała poznać się światu. Przypuszczamy, że w latach młodocianych musiała już układać piosenki; ale że później obowiązki pani domu i matki nie pozwoliły duchowi jej poetycznemu skrzydeł rozwinąć. Dopiero bowiem, kiedy w roku 1847 zamieszkała w Warszawie, wystąpiła z pracami swemi na widowie publiczną, umieściwszy powiastkę swą p. t. „Ojciec Salezy“ w „Albumie literackim“ piśmie zbiorowym, które w pomienionym roku wydał Wójcicki pod datą 1848.

Odtąd Wójcicki stał się jej w zawodzie literackim przewodnikiem i orędownikiem najprzyjaźniejszym. Wspomnienie o tej jego opiece dotychczas pani Seweryna zachowuje we wdzięcznem sercu, o czem świadczą własne jej słowa, które tu przytaczamy z listu jej, do nas pisanego niedawno:

„Straciłam w nim drogiego mistrza i przyjaciela. On-to zachęcał mię do wytrwania po pierwszych próbach na polu literackiem; uczył przykładem, jak przebaczać zniewagi, jak iść śmiało do mety jak według sił służyć ogólnej sprawie; słowem, on przygotował mnie na towarzyszkę prac wytrwałego zapaśnika. Gdyby nie Wójcicki, byłabym zdolną ocenić zasługi męża mego?“

O temże świadczy i wiersz jej, ofiarowany Wójcickiemu, wraz z zegarkiem, na upominek jubileuszowy 1876 r.:

Ach, ty zrozumiesz ukrytą w mym darze
Myśl, co minione lata przypomina:
Przez ciebie niegdyś na dni mych zegarze
Stanowcza w życiu wybiła godzina.

Ty sierp żelazny podałeś mi w dłonie.
Pomnę, jak ostro pędzisz mię do żniwa:
„Dzwoni pszenica na swojskim zagonie,
Dalej do pracy, żniwiarko leniwa!“

Słońce lipcowe tak pała nad głową!
Z gromadą żeńców nie zdążyć mi razem;
Omdlały barki, lecz słyszę twe słowo...
Mistrzu! ty siłę dałeś mi z rozkazem.

Jednakże kilka lat jeszcze upłynęło, zanim działalność literacką rozwinęła na dobre. Przed tem pomagała Wójcickiemu w pisaniu „Życiorysów znakomitych ludzi“, pracowała gorliwie nad rozszerze-

niem i ugruntowaniem swej wiedzy, oraz pilnie studyowała literaturę ojczystą, szczególnie zaś pisarzy Zygmuntofskich, i dzięki im zdobyła ten piękny język szczeropolski, którym włada tak znakomicie, a który nic nie stracił dotychczas z swej czystości niepokalanej, mimo długoletniego jej pobytu na obczyźnie.

W roku 1853 wystąpiła raz pierwszy w „Bibliotekach Warszawskiej“, gdzie pod pseudonimem Jaroszy umieściła, pisane wierszem: „Obrazek wiejski“ (w tomie 3-im) i „Pogrzeb kmiotka“ (w tomie 4-ym). Tamże w roku 1854 ukazały się poemata: „Zagroda wiejska“ (bezimiennie), „Dwa dwory“ (pod trzema gwiazdkami); „Powiśle“ (pod Kryptonimem S. z Ż. P.), oraz „Kilka słów o poezji ludu mazowieckiego w obrzędach, a w 1855 (t. 4) „Sebastyan Klonowicz“, (również bezimiennie). Osobno w 1853 wydała prozą cztery tomy, p. t. „Powieści naszych czasów, które, lubo nie posiadały dość wybitnej charakterystyki osób, w nich występujących, ujmowały jednakże serdecznością nastroju i sympatyą dla ludzi; a toż samo powiedzieć można i o wydanych 1854 roku dwóch tomach „Gawęd i powieści“.

W r. 1855 wyszły cztery tomiki „Powieści poetycznych“, zawierające w sobie: „Dwa dwory“, „Zagrode wiejską“, „Powiśle“ i „Córke wdowy“, jako też „Elżbieta Drużbacka“, w której autorka doskonale odnalowała czasy tej poetki, mniej się zajmując jej własnymi dziejami. ¹⁾

Wszystkie, wymienione powyżej, poemata, odznaczają się, przy piękności i czystości języka, wierszem gładkim i płynnym, wylewającym się z pod pióra snąc z niezmierną łatwością, bardzo wdzięcznem obrazowaniem i odczuciem sielskiej przyrody, znajomością i umiejętnem malowaniem charakterów kobiecych, prostym, serdecznym tonem, tendencją najszlachetniejszą i wielce sympatyczną swojskością. Nie ma w nich uczuć gwałtownych, lecz niema też i czułości kowoci; wszystko tchnie prawdą i szczerością i jakimś pocziwym optymizmem, czem właśnie czytelnika chwyta za serce.

Po roku 1855 ustaje na lat kilka współpracownictwo Duchinińskiej w „Bibliotece Warszawskiej“, gdyż r. 1856 sama redaktorką została, rozpoczynając wydawnictwo „Rozrywek dla młodocianego wieku“, przy których ześrodkowała całą swoją działalność literacką. Wydany

¹⁾ Rogalski i Sowiński w historii literatury, a nawet i Wójcicki w Encyklopedyi, podają, jakoby i „Córka wdowy“ drukowana była w „Bibliotece“, wymieniając oprócz tego „Dwie gwiazdy“, jakoby tamże umieszczone; aleśmy ich ani w „Zestawieniu przedmiotów“, Estreichera, ani też w treści tomów wydawnictwa naszego nie znaleźli. (Przyp. autora).

tegoż roku przekład dzieła Eichhofs „Obraz literatury średniowiekowych ludów, a mianowicie Słowian i Niemców, z dodatkami i poprawą co do literatury słowian W. A. Maciejowskiego“, był już wcześniej opracowany, również jak umieszczone w „Bibliotece Warszawskiej“ tłumaczenie z Ozanama „O poezji włoskiej w średnich wiekach, jako źródle do Boskiej komedyi Danta“; prawdopodobnie zaś i „Obrazki dramatyczne“ ogłoszone r. 1857, były też dawniej napisane. Mieszczą się w nich na 204 stronicach utwory następujące: „Panny postępowe“ (w jednym akcie) komedia, wymierzona przeciw emancypacji obyczajowej; „Pielgrzymka do Częstochowy“ (w dwóch aktach), wdzięczny obrazek z życia ludu; „Gawęda Rózi z dziaduniem“; „Pan Starościc“, przedstawiający podniosłą walkę obowiązku z miłością i uwieńczony nagrodą tryumf pierwszego nad drugą; wreszcie „Szopka“ bardzo udatne, i uszlachetnione naśladowanie pierwotnych przedstawień jasełkowych. Do obrazków tych, pisanych wierszem, da się zastosować to samo, cośmy powyżej o powiastkach poetycznych wyrekli.

„Rozrywki dla młodocianego wieku“ w zawodzie literackim Duchcińskiej stanowią jedną z zasług najwybitniejszych; od r. 1856 do 1863, wyszło ich 15 tomów w trzech seryach, z których pierwsza doczekała się przedruku, co wymownie świadczy o ich wartości. Najlepsze wydawnictwu temu złożył świadectwo, gruntowny znawca literatury naszej, Piotr Chmielowski, którego zdanie przytaczamy, uważając za rzecz właściwą ocenę obszerniejszą tej szacownej i jedynej u nas w swoim rodzaju publikacji dla dorastającej młodzieży plei obojej:

„Autorka wzięła sobie za wzór „Rozrywki“ Tańskiej i po za sferę wyobrażeń, przez nią zakreśloną, w pierwszych pięciu tomach nie wyszła. Ponieważ była to chwila ogromnego rozwielmożnienia się belletrystyki w literaturze naszej, więc też i w „Rozrywkach“, znajdujemy przewagę powieści i poezji nad innymi dziedzinami wiedzy i tworzenia. Działu nauk przyrodniczych nie spotykamy tu wcale, artykułki zaś treści przyrodniczej mieszczą się skromnie pod napisem „Rozmaitości“, jest ich zresztą nadzwyczaj mało. Ponieważ dalej była to chwila silnego zwrotu religijnego wśród warstw wykształconych, więc atmosfera „Rozrywek“ przesiąknięta jest pierwiastkami wiary, i zarówno powieści i poezye, jak wspomnienia historyczne i przestrogi moralne, dążą tu do ożywienia w sercach czytelników uczuć religijnych. Najważniejszymi w pierwszych pięciu tomach są prace samej wydawczyni: W „Pamiętniku rodzinnym“ przedstawiła wdzięcznie skreślony obraz wychowania i pożycia rodzinnego ludzi niemających, którzy oszczędnością i pracą dochodzą do znacznego majątku, tracą go i odzyskują w skromniejszych rozmiarach, a wśród

tych przejść wyrabiają się moralnie, hartują wolę, nabierają przekonania o szczęśliwości życia zdala od gwaru światowego, wśród małej liczby szczerych przyjaciół i przy umiarkowanym zaspokojeniu potrzeb i wymagań. Będąc sama autorką, Duchińska czuła się w obowiązku wystąpienia w obronie kobiet, kształcących się wyżej i piszących; uczyniła to w sposób łagodny, przedstawiając w powieści, że wykształcenie nie przeszkadza zajęciom gospodarskim; że kobieta wykształcona bez niechęci i wyrzekania przechodzi od fortepianu do kuchni, od sztalug do kołyski.

„Drugą pracą wydawczyni jest szereg artykułów („Czytań“), zaznajamiających systematycznie z dziejami literatury naszej. Autorka starała się o przystępny, jasny i urozmaicony wykład, ożywiający go najczęściej stosownymi wyjątkami; na owe czasy była to rzecz bardzo udatna. Oprócz tej rubryki stałej помещała listy o współczesnej literaturze polskiej; a w szeregu „Listów z Warszawy“, w sposób feljetonowy pisanych, przedstawiała różne nauczające objawy z życia religijnego lub towarzyskiego. W dziale życiorysów dała dobrą biografię Klementyny Hoffmanowej, jako znakomitej przewodniczki młodzieży, i Karoliny Skibickiej, jako dziewczycy bogobożnej, wyłącznie życiu duchowemu oddanej. Z pomiędzy poezyi, oprócz wielu krótkich pieśni, dała obszerniejszy obraz z przeszłości p. t. „Kasper Miaskowski“, uwydatniając znaczenie jego poezyi religijnych.

„W drugiej seryi „Rozrywek“ zepchnęły powieść z pierwszego miejsca opowiadania historyczne, pisane przez redaktorkę lub inne kobiety. Powieść tu jest wogóle słabo reprezentowaną, stosunkowo najlepsze są powiastki samej wydawczyni, a z pomiędzy nich „Wieczór tańczący“ zasługuje na baczniejszą uwagę, jako utwór, w którym odbija się tendencya rozpraszania przesądów szlacheckich co do pracy rzemieślniczej i przemysłowej. Kwestya wykształcenia i znaczenia społecznego kobiety zajmowała mocno redaktorkę. Poezyi pomieściła tu dużo, a między innymi ładny i popularny wiersz „Sieję proso na zagonie“.

„W seryi trzeciej daje się przedewszystkiem zauważyć nowość w zaprowadzeniu „Wiadomości z nauk przyrodniczych“, podawanych przez Stanisława Chomętowskiego; ukazują się one dość często. Kraj własny staje się przedmiotem szczegółowych sprawozdań: jest tu artykuł redaktorki o Beskidach, Pieninach i Tatrach. Opowiadania historyczne są, jak i w seryi drugiej, głównie przez wydawczynię i Borkowską pisane. Wznowiona też została z seryi pierwszej rubryka „Listów o poezyi współczesnej“, a „Czytania“ z literatury polskiej doprowadzone do samego końca czasów Jagiellońskich; ponieważ tło

cywilizacyjne zajęło dużo miejsca, na rozbiór autorów nie można już było wiele przeznaczyć“.

Pomimo tak sumiennej i pilnej pracy redaktorskiej, w tymże czasie opracowała Duchieńska, znacznie uzupełniony przekład „Dziejów Węgier“ Boldyi'ego, wydany w r. 1863.

Ostatnie rzeczy, jakie za pobytu w Warszawie pani Seweryna umieściła w „Bibliotece“ (r. 1862), były to dwa przekłady z Pettoefiego: „Do magnatów węgierskich bawiących za granicą“ i „Boży cud“; osobno zaś wydała: „Upominek dla dziewcząt wiejskich“, który od r. 1860 do 1869 miał aż 9 edycji; napisała wspólnie z Ludwikiem Paprockim tekst do opery Dobrzyńskiego „Monbar“, (1863) oraz „Powieści dla młodzieży“, naśladowane z angielskiego (w czterech tomach 1863). „Nowe powieści dla dojrzałszej młodzieży“ wyszły roku 1869.

W r. 1863 wyjechała do Paryża, gdzie w r. 1864 połączyła się związkami małżeńskimi z Franciszkiem Duchieńskim.

Pożycie z tak światłym mężem, ciągłe obcowanie z uczęszczającymi do jego domu członkami różnych towarzystw naukowych, do których i on należał, rozszerzały i rozjaśniały widnokrąg umysłowy Duchieńskiej, która, choć tęskniła do kraju, czuła się jednakże szczęśliwą w nowym swym bycie.

Szczęście to zamilił cios bolesny—śmierć syna z pierwszego małżeństwa. Jako środek na złagodzenie żalu i oderwanie od smutnych myśli, mąż poradził jej pracę nad przekładem dwóch epopiej: „Pieśni o Rolandzie“, według tłómaczenia barona d'Avril z średniowiecznego tekstu francuskiego, oraz poematu o Cydzie z oryginału hiszpańskiego. Rada okazała się bardzo skuteczną, a dzięki jej literatura nasza zyskała dwa przekłady, które do rzędu najznakomitszych liczyć się mają prawo. Oba drukowane były w „Bibliotece“ w r. 1866, gdzie też w roku następnym wyszedł przełożony przez nią ustęp z hiszpańskiego z Romacero, p. t. „Śmierć Cyda“.

W roku 1867 Duchieńska z mężem i owdowiałą swą synową udała się w podróż do południowej Francji i zimę przepędziła w Pau, gdzie przyjemne miewała chwile w towarzystwie bawiących tam Stanisławowstwa Zamoyskich i dla ich licznej dziatwy napisała poemacik p. t. „Szkołka domowa“. Na wiosnę wraz z synową wyruszyła za Pireneje, ale trafiła bardzo nieszczęśliwie na czas wojny domowej i musiała co rychlej do Paryża powracać, gdzie z zapalem oddała się pracy pisarskiej. W r. 1869 przetłómaczyła epopeję fińską, „Kalewalę“ i umieściła ją w tomie 3-im „Biblioteki Warszawskiej“, która w listopadzie tegoż roku, po śmierci dawnej swej korespondentki paryskiej, Zofii Węgierskiej, ją zaprosiła do pisania „Kronik Paryskich“.

Chętnie, lubo nie bez obawy, czy zdoła należycie zastąpić swą poprzedniczkę, której kroniki cieszyły się wielką wziętością, podjęła się tego zadania, i wypełnia je znakomicie, dotychczas, dostarczając „Bibliotece“ umiejętnie wybranych, żywo i barwnie obrobionych wiadomości z dziedziny nauk, literatury i sztuk pięknych. Kroniki te, które w edycji książkowej utworzyły-by co najmniej 12 tomów, dają wyborny obraz życia umysłowego Francyi z ostatnich lat 28 i chlubnie świadczą o sile i żywości umy-słu sędziwej autorki, o jej bystrym i trafnym sądzie i o dziwnej pracowitości; bo ileż to trzeba przeczytać, ile obejrzeć, aby zgromadzić dostateczny, a tak zajmujący materiał do tych sprawozdań, które tak łatwo, tak przyjemnie i z takim pożytkiem czytać się dają.

Nie wszystkie one jednak noszą tytuł „Kronik paryskich“: tracą go na czas przydłuższy w październiku roku 1870 i do połowy 1876 ukazują się jako „Kroniki zagraniczne“, cały bowiem ten okres czasu Duchińscy, zaskoczeni przez wojnę francusko-niemiecką za pobytu swego w Teplicach, spędzili w Europie środkowej: to w Wiedniu, to Karlsbadzie, to w Dreźnie, to w Zurychu, a wreszcie od r. 1872 najęli sobie willę na zachodni-j stronie jeziora Zurychskiego, w kantonie St. Gallen; po ostatnich bowiem wypadkach, zwłaszcza zaś po kommunie, p. Franciszek przejął się był taką odrazą do Paryża, iż wzdrygał się na samą wzmiankę o powrocie w oblane krwią i naftą gorejącą śród walki bratobójczej jego mury. Radzi jednak nieradzi musieli tam zajrzeć Duchińscy dla zwinięcia domu, oraz dla zabrania książek i sprzętów, a kilka tygodni, przepędzonych w tem spustoszo-nem mieście, najboleśniej sze na serca ich wywarły wrażenie.

Pierwsze lata pobytu w owej willi przyniosły pani Sewerynie wiele pociechy: przedewszystkiem radowało ją to, że miała znów przecież własną siedzibę i mogła w niej swobodnie oddawać się swej ulubionej pracy literackiej; potem tegoż roku (1872) spotkała ją nadzwyczaj miła niespodzianka: uroczysty obchód ćwierćwiekowego jubileuszu pracy jej literackiej, na który z inicjatywy Gregorowicza otrzymała w upominku z Warszawy wspaniały Album z widokami miasta, stu fotogramami literatów i literatek i gratulacjami wierszem i prozą, a od męża złotą obrączkę ze srebrnem piórkiem jako godło srebrnego ślubu z literaturą. Dalej, na wiosnę roku następnego, miała miłych gości ze stron rodzinnych: najpierw synową z matką, potem Królikowskiego, wreszcie Gregorowicza z żoną.

Po upływie wszakże pewnego czasu, dalszy pobyt Duchińskich w uroczej ich siedzibie ustronn-j stał się niemożliwym, wielkie bowiem groziło im niebezpieczeństwo ze strony niesfornych, nawpół zdziczałych, robotników włoskich, których 800 sprowadzono do odbu-

dowy starego mostu na jeziorze, z kantonu Tessyńskiego, oraz z pogranicza Lombardyi, a którzy nie tylko pijackimi krzykami i pieśniami zakłócali im nocny spoczynek, ale nawet dopuszczali się różnych gwałtów w sąsiedztwie. Musieli więc biedni tułacze przenieść się do miasteczka, gdzie pobyt dla obojga był przykrym; aż nareszcie, powoił zdolala pani Seweryna męża tak usposobić, iż się zgodził na powrót do Paryża, gdzie od roku 1876 do dziś dnia stale przebywa, mimo ciosów bolesnych, jakie ją w ciągu tych lat 22 dotknęły przez śmierć córki, wielu przyjaciół, a nareszcie i najdroższego męża, nie ustając w pożytecznej swej pracy, lecz owszem w niej szukając lekarstwa na ciężkie rany serca. Pięknie to wypowiedziała w wierszu dedykacyjnym „Pieśni”, poświęconych pamięci wiernego towarzysza dołu swej i niedoli.

Nie brakło jednak i chwil jasnych po mrocznych, i pociechy błogiej po ciężkich smutkach. Do rzędu swych najmilszych wspomnień z lat owych pani Seweryna zalicza najpierw wspaniałą, uroczystą owacyę, wyprawioną w dniu 19 marca 1882 r. za jej staraniem a z podniety jej męża, Józefowi Bohdanowi Zaleskiemu, z powodu 80-tej rocznicy jego urodzin; potem w roku 1885 jubileusz półwiekowy Duchcińskiego, który Lwów upamiętnił wybitym na cześć jego medalem, i wreszcie obchodzone w trzy lata potem w gronie najbliższych przyjaciół srebrne gody pożycia małżeńskiego.

Z prac literackich, powstałych w ostatnich 23 latach, oprócz kronik, drukowanych stale w „Bibliotece“, wymienimy umieszczone tamże rozprawy: „O poezyi bułgarskiej (1875)“, „Przegląd literatury hiszpańskiej“ (1876); „Przegląd odrodzonej literatury prowansalskiej“ (1878); oraz dwa dramaty: jeden, w 4-ch aktach, przetłómaczony z języka hiszpańskiego p. t. „Grazalema“ Luiza Eguilasa, drugi z Franciszka Coppé'go w 5-ciu aktach, p. t. „Jakobici“. Nadto jeszcze była, współpracowniczką „Tygodnika Mód i Powieści“, „Kłósów“ i „Kroniki rodzinnej“, i napisała szacowne szkice literackie „O Kazimierzu Brodzińskim“, (1885) „O Bohdanie Zaleskim“ (1886) jako też „Wspomnienia z życia Maryi z książąt Czartoryskich ks. Wirtemberskiej“. Do najświeższych wreszcie utworów Duchcińskiej należą jej „Wspomnienia“; trzy serye „Pieśni“: „Królowie polscy“ (zbiór kilkudziesięciu poematów historycznych); oratoryum z muzyką Mieczysława Sołtysa p. t. „Śluby Jana Kazimierza“; wreszcie „Wspomnienia generalowej Benigny Małachowskiej“, opracowane na podstawie notatek tej znakomitej matrony.

W roku ubiegłym upłynęło pięćdziesiąt lat tak obfitego w piękne i cenne plony zawodu literackiego Duchcińskiej, której rodacy, ze wszystkich stron, gdzie tylko mowa polska rozbrzmiewa i gdzie

serca szlachetne biją, nadesłali na dzień 20-go listopada krocie telegramów, listów, adresów i pięknych upominków, a współziomkowie, mieszkający w Paryżu, urządzili uroczysty obchód jubileuszowy. Był to hołd czci i wdzięczności ogólnej, słusznie należny tej, co serca i umysłu swojego skarby, jakimi ją tak hojnie Stwórca obdarzył, chce i umie obracać ku pożytkowi ukochanych wiernie współbraci. Obyśmy długo jeszcze z nich korzystali!

ADAM PŁUG.

BRACIA Z WYBORU.¹⁾

Nareszcie przyszedł telegram, oznajmujący powrót Jana. Elżbieta rozumiała, iż powinna odczuwać powrót męża jako pomysłność, wszakże w jej zadowoleniu była zawsze spora doza strachu. Bała się, by mąż przy wejściu w domowe progi nie znalazł czegoś, coby go o zły humor przypawiło: sama kosztowała kawy, którą mu podać miano kontrolowała, czy wszystko w jego pokoju ustawione było tak, jak lubił. Potem wyobrażała sobie wielką radość z powitania, które zwykle bywało chłodne. Jan powracał najczęściej tak zmęczony i taki kwaśny, że o czułości nie mogło być mowy. Prawie każdy powrót Jana zaznaczał się dla Elżbiety niezadowoleniem z samej siebie. Chciała być żoną dobrą, nawet żoną idealną, a czuła, że jej się to nie udaje, że Jan potrzebowałby innej towarzyszkii, weselszej, zabawniejszej, mniej jednostajnej.

I tym razem Jan był w najgorszym humorze, chociaż powracał ako tryumfator. Pomimo szalonego ryzykowania, wygrał, i przyjeź-

¹⁾ Patrz zeszyt grudniowy.

dział ze znaczną summą pieniędzy, którą przeznaczał na zaprowadzenie stajni wyścigowej. Sprzedaży koni, dokonanej w Wiedniu, odżałować nie mógł, i oto uśmiech fortuny pozwalał mu na odzyskanie tego, co utracił. Dowiedziawszy się, że Jerzy już był zdrow zupełnie, posłał prosić go, by przyjechał, gdyż chciał się z nim naradzić co do niektórych zmian i restauracyi potrzebnych w stajniach, co nie mogło cierpieć zwłoki, z powodu spóźnionej pory roku.

Jerzy, wchodząc do pokoju Jana, którego spodziewał się zastać samego, spostrzegł tam nagle Elżbietę, stojącą przy fotelu męża. Poczuli się wzruszonym do głębi, przypomniawszy sobie, że w jej mniemaniu uchodził za rozpustnika i wstyd grzechu niepopelnionego okrył mu czoło; a gdy Elżbieta, chcąc spełnić wolę mężowską, zbliżyła się bez uśmiechu, lecz z ręką wyciągniętą, on ręki tej nie ujął i złożył pani Gosztyńskiej głęboki, pokorny ukłon, wznosząc ku niej spozrenie winowajcy. Nie był już buutujący się przeciwko niesprawiedliwości i pełen goryczy, wchodził w uczucia surowej kobiety, i bezwiednie pragnął ją przebłagać za to, że w niej wstręt rodził.

Elżbieta stała przez chwilę przed kornie pochylonym Jerzym, i mógł on ujrzeć uśmiech niezmiernej dobrotliwości rozjaśniający jej rysy. Uśmiech ten był dla niego istotną pociechą. Zrozumiał doskonale pobudki Elżbiety, pojął, że jej złagodzone uczucia wypłynęły ze skrucy za cudze winy, której doznał, sam nie wiedząc dlaczego, i zrozumiał, że ta, nieświadoma siebie, skrucha, zbawiała go w oczach pani Gosztyńskiej. Nadzieja powrotu jej przyjaźni wstąpiła w jego serce, i po wielu dniach ciężkich walk doznał chwili wielkiej radości.

Elżbieta wyszła z pokoju, nie chcąc rozmowie męża z Jerzym przeszkadzać.

— Niech mię ona nawraca! — myślał ten ostatni — niech goi te rany, które w mej duszy pówygryzał sceptycyzm religijny! Ja-bym pragnął wierzyć, niech mię więc tego ona nauczy!

— Czy to ci Elżunia wyprawia jakieś fochy? — zapytał Jan, uśmiechający się na widok pokornego ukłonu Jerzego.

— Ależ nie! — odparł Jerzy przestraszony. — Twoją żonę widzę dopiero po raz drugi od chwili otrzymania owej nieszczęsnej rany. Owszem. była dla mnie dobra, jak zawsze.

— Myślałem, że bróddzi ten ksiądz, którego miałem nadzieję już tu nie zastać, a który widać osiedlił się na dobre w moim domu.

— Wyjeżdża w tych dniach.

— Nie wierz temu. Ma tu wygodę wszelkie, całują go po tłustych łapach, noszą na rękach...

— Jaki miałeś interes do mnie?

— Otóż, powiem ci, iż pomimo, że w końcu grałem ze wstrętem, zmęczeniem i niesłychaną obojętnością, jednak wygrałem, i to tak dużo, że z odrazą do brudnych papierów wypchałem nimi wszystkie kieszenie. Zamknąłem to potem do szuflady, i po trzech dniach dopiero zdobyłem się na odwagę przerachowania.

— Będziesz miał co przegrywać.

— O nie, mam już karty tu! Patrzaj, mam je tu, w gardle, i здаje mi się, że mi sprowadzają ciągle nudności. Wiesz, co ja będę robił w piekle? Oto będę zmuszony dzień i noc i przez całą wieczność grać w karty! Będę przez wieki patrzył na chciwością i żądzą wygranej nabiegłe oczy moich partnerów, między którymi będzie pewno von Erbst, ten ciągle pluący suchotnik, który się uśmiecha tak, jakby płakał, a gdy się skrzywi w sposób jemu tylko włościwy, można w jego rozwartych ustach narachować wyraźnie trzydzieści dwa zęby. Jego ręce widzę dotąd, gdy rzucają karty, lub, trzęsąc się, liczą pieniądze. To nie są ręce, ale szpony o zakrzywionych pazurach! To nie człowiecze, ale małpie palce! Zgrał się i dostał wybuchu krwi. Chciałem mu pieniądze jego rzucić w twarz i uciec, ale mię inni nie puścili, bo czuli te moje wyładowane kieszenie. Zawsze to wiedziałem, ale przekonałem się raz jeszcze, że człowiek— to wstrętne, godne pogardy, zwierzę. Wszystkie jego instynkta są złe, szkodliwe, zbrodnicze, a u ludzi cywilizowanych są jeszcze znieprawione, zwyrodniałe i niezdrowe!

— Po co idziesz między tych ludzi?

— Bo sam jestem taki samiuteńki, jak oni, z tą tylko różnicą, że oni mają moralne żołądki strawniejsze, mnie zaś to wszystko się odbija, wywołuje zgagę, nudności, i okłada mi język niesmakiem. Z tamtych każdy się wyśpi, umyje i myśli o uowej partyi; ja zaś chodzę z politywanymi członkami, jak po torturze.

— Pleciesz, jak na mękach, to prawda.

— Człowiek przy zdrowych zmysłach nie plecie, gdy mówi, co myśli. Ja przecie nic nie udaję.

— Ale się sam suggestyonujesz, i z umysłu stajesz się ekscytrycznym, przesadnym, zdenerwowanym. Nastrajasz się do pewnego tonu, który ci się potem wydaje naturalnym. Czego ode mnie chciałeś, zwywając mię tutaj?

— Widzisz, odkąd moje konie sprzedane zostały, здаje mi się, że tylko jedne wyścigi zajmowały mię rzeczywiście. Wyścigi emocyonują, a trwają krótko i nie męczą, nie denerwują tak, jak karty. Ja muszę mieć na powrót konie wyścigowe. Właśnie do mnie pisał Simons, trener, czy go nie potrzebuję. Otóż przyjedzie on tu w tych dniach, i pod jego nadzorem przeprowadzone będą restauracye i zmiany w stajniach. Trzeba przywieźć cegły, wapna, piasku i zamówić mularza. Potem ty

się będziesz musiał tem zająć, bo ja z Simonsem pojedę kupować konie. Robert Dyabeł, ten, którego najwięcej żałowałem, jest do odkupienia.

— Konie wyścigowe dla ciebie, to po prostu szaleństwo!

— Wiem wszystko, co mi możesz powiedzieć, ale tu nawet moje własne rady nic mi nie pomogą. Konie mieć muszę!

— Gdzie mam wozić cegłę i piasek?

— Na plac przed stajnią. Wiesz co? Gdy Simons wszystkiem rozporządzi, to i rządcą może robotami kierować, a ty może-byś ze mną i z Simonsem pojechał po konie.

— Darujesz, ale tego nie uczynię. Nie znam się na koniach, a moja obecność tu jest potrzebna. Może to zaślepienie, ale mi się zdaje, że wszystko tu idzie siłą, wypływającą ze mnie, i że, gdybym stąd odszedł, cała maszyna na raz-by stanęła.

— Ale gdzie tam! Niema takiego człowieka, przy którego ubytku szeregi-by się nie zwały na nowo, i wszystko nadal nie poszło-by tym samym krokiem, którym szło dotąd. To się tylko ludziom zdaje, że są na danem stanowisku niezbedni.

— Masz rację. To też się beze mnie obejdzie przy tem kupnie koni. Zresztą, zdaje mi się, że ty ich nie kupisz. Pieniądze przegrasz, i na tem się skończy.

Jan począł znowu wymyślać na karty i karciarzy. Posunął się do tego, iż utrzymywał, że absolutnie nie wierzy, by istniał namiętny gracz uczciwy. Uczciwym bywa z konieczności, z niezgrabności, z lenistwa, ze strachu, ale nie z poczucia honoru i z przekonania. Niema na świecie takiego, który, zostawiony sam z kartami rozdaniem, nie zajrzał-by w karty przeciwnika:

— Milioner, który był uczciwym, dopóki milionów swoich nie przegrał, z chwilą, gdy je przegrał, będzie zaglądał w karty, będzie używał małych podstępów, będzie umyślnie kłamał wyrazem twarzy, i dla tego tylko nie będzie układał kart w talii, że tego uczynić nie może. Każdy gracz bez wyjątku jest nieuczciwym w swych myślach i intencjach, każdy w przystępie namiętności zerka w prawo i w lewo, czy mu się nie uda dojrzeć, co partnerowie jego mają w ręku. Nawet między niewinnymi nudziarzami, chodzącymi co wieczór na winta, który ich ogłupia, jak morfinistę ogłupia morfina, zastrzykiwana systematycznie o jednej porze, połowa jest podstępnych i nieuczciwych.

Jerzy, doprowadzony do ostatecznego znecierpliwienia, zawołał:

— Przecież ty sam jesteś graczem!

— A któż ci mówi, że ja siebie mam za wyjątek? Nie jestem nic a nic lepszy od innych. Jestem czasem apatyczniejszy, a apatya rodzi uczciwość i podleganie ustawom utartym. Nie chce mi się wymyślać podstępów, nie mam siły na bardzo gorące pragnienie wygranej. Choć

czasem widzę omyłkę w rachunku na korzyść przeciwnika, nie żądam sprawdzenia, gdy mi się chce uciekać z tego piekła, jakim jest nad ranem sala, w której się całą noc grało. Rzucam pieniądze na stół, i wychodzę, bo mi te kilka minut swobody są droższe, niż summa, na jaką mię mój partner oszukał.

— Ślicznie przedstawiasz ludzi, z którymi zasiadasz do gry. Po prostu masz ich za szajkę łotrów!

— Wcale nie. Są tylko bezświadomi, i namiętność obraca nimi, jak zębate koło obraca maszyną; wywraca ich podszewką na wierzch a podszewka bywa zwykle lichszą od wierzchu. Namiętność, to bardzo potężna pani, i dotąd wydaje ci się piękną i dobrą, dopóki cię trzyma w niewoli. Dopiero gdy cię uwolni, wydaje ci się brzydką despotką. Potem niech jej się znowu podoba kiwnąć na ciebie, to lecisz na złamanie karku, zapominając o tem, żeś ją przeklinał przed chwilą.

Gdy Jerzy, wysłuchawszy skarg Jana na karcmarzy, wrócił do Radwanowa, zastał tam księdza Maryana, który przyszedł się pożegnać. Telegram odebrany przyspieszał jego wyjazd. Okazał się po prostu wzruszonym przy rozstaniu się z Jerzym, i oświadczył, iż był pewien, że to zmiłowanie Boże nad Elżbietą sprawiło, że ma ona obok siebie takie wsparcie, na którym się nie zawiedzie. Natchnienie, które w ostatnich chwilach życia zabłysło panu Lucyanowi, było łaską Bożą nad Elżbietą. Ksiądz nie wątpił, że przyjaźń jej powróconą Jerzemu zostanie, gdyż zasługa ma swoją siłę, która zwycięża.

— Czasem dopiero z po-za grobu! — rzekł Jerzy z ironią.

— Nie, nie! Powiadają, że w naturze nic nie ginie. Jest to prawda, szczególnie w świecie moralnym. Twoje poświęcenie znajdzie się kiedyś. Wyrośnie z niego w każdym razie coś dla ciebie, lub dla innych.

Z Elżbietą ksiądz miał długą rozmowę, w której z zapalem przemawiał za Jerzym. Chrystyanizm, to przedewszystkiem miłość i przebaczenie; trzeba było o tem nie zapominać.

Elżbieta stała na ganku, patrząc na oddalający się powóz, który unosił starego jej przyjaciela. Pożegnanie z nim i wielka litość i miłosierdzie dla grzechu, któremi tchnęły jego ostatnie słowa, pozostawiły ją zadumaną. Dzień był przesłiczny, jesienny, pełen rozsnutych pajęczyn, w których przeglądało się słońce, pełen uciszenia i jakiejś sennej powagi. Gdy powóz odjeżdżający zniknął na zakręcie drogi, Elżbieta, pociągnięta czarem jesiennej pogody, poszła do ogrodu. Opadłe, suche liście sprawiały szelest, potrącane brzegiem jej sukni, w krzakach słychać było podrywanie się ptaków, przelęknionych odgłosem kroków ludzkich. Młodą kobietę przejął jakiś mimowolny smutek. Miała jeszcze w oczach widok oddalającego się powozu, co, dodane do szelestu

zeschłych liści i odlotu skrzydeł ptasich, złożyło się jakby na widmo jakichś pożegnań i rozłączeń, jakiegoś cierpienia nad niestałością związków i nadziei ludzkich. Miała wkoło siebie wszystko, co kochała, ale cierpiała za innych, którzy się rozstawać muszą, cierpiała może za te liście, które porzucają gałązki rodzinne. Powoli zaczęła wyraźniej czytać w sercu własnem. Jej smutek miał inną przyczynę. Oto do całej czary goryczy względem Jerzego, którą wiała w jej serce historia z Jaraczkową, przybywała jeszcze kropla. Elżbieta poczuła się bardziej nieufną, zrażoną i podejrzliwą. Ona nie wierzyła w te dobre uczucia, które ksiądz Maryan przypisywał Jerzemu. Ksiądz musiał zostać oszukany. Wszak Pomierski taksamo kłamał przed nią. Ileż-to razy wśród poufnej rozmowy odsłaniał duszę, która się wydawała pełną szlachetności! A może właśnie w chwili, w której jego usta wygłaszały pojęcia wzniosłe, myśl szukała sposobów wdarcia się bezkarnie do obcej rodziny. Zło było wstrętne, ale wstrętniejsza jeszcze była poza na cnotę. Elżbieta była niezadowolona z siebie. Ksiądz Maryan mówił jej o zdobyciu duszy Jerzego miłością, o potędze miłosierdzia, o bezskuteczności pogardy, o przykładzie Chrystusa, a ona czuła w sobie w tej chwili utratę nawet tego przelotnego błysku politowania, którego doznała w chwili kornego ukłonu Jerzego i odmówienia przyjęcia jej ręki, wyciągniętej ku niemu. Nie była prawdziwą chrześcianką, nie umiała walczyć miłością, a rany moralne powodowały w niej chęć ucieczki i zasłonięcia oczu ze wstrętem, nie zaś pragnienie niesienia pomocy. Rozmyślając nad swemi uczuciami, zrozumiała, że jej złagodzone względem Jerzego usposobienie zajątrzył na nowo ksiądz swoją zbytnią dla niego wyrozumiałością. Serce jej już się ku przebaczeniu skłaniać zaczęło, lecz gdy mu je nagle narzucono, jako obowiązek, odsunęło się znowu, pełne nieufności i oburzenia.

— Co ten człowiek ma w sobie, — myślała — że potrafił tu wszystkich uczynić wyrozumiałymi dla siebie. Bronią go i mama, i ksiądz, i Jaś.

Pani Dohorecka była znowu w walce sama z sobą. Wiedziała już o projekcie Jana kupienia koni wyścigowych i czuła, że nie go od zamierzonego szaleństwa nie odwiedzie, ale przecież należało próbować wpłynąć na niego. Po wielu rozmyślaniach, powiedziała wreszcie swoje zdanie córce:

— To go odciąga od obowiązków, od pracy, od rodziny... ma długi... wszak brał twoją plenipotencję do zaciągania długów... konie te go zrujnują... Zapytaj Pomierskiego!

— Po co mam pytać Pomierskiego? Gdybym chciała, pomówiłabym z Jasiem.

— Te konie, to tylko gra próżności, to tylko zabawa i namiętność tak dobra, jak karty, jak wszelkie inne namiętności.

Edward zapatrywał się na kwestyę wyścigów z własnego stanowiska. Utrzymywał, że zabawie tej należało-by tamę położyć w imię piękna. Te biedne, wytrenowane konie, były godne litości, jak małpy i psy uczone, ludzie zaś, wspinający się na strzemionach, byli karykaturami jeźdźców. Było to gwałcenie natury, tak dobrze końskiej, jak ludzkiej, i w człowieku, miłującym piękno, mogło to tylko wstręt rodzić.

— To też ja nie utrzymuję, że wyścigi są piękne — mówił Jan — ale są emocjonujące. Podniecają i sprawiają, że przez kilka minut człowiek żyje, nie obserwując w sobie życia. Naturalnie, jeżeli jest zainteresowany żywiej, mając w biegu własnego konia, lub gruby czyniwszy zakład.

— Ale jaki jest cel wyścigów? — zapytała obecna rozmowie Elżbieta.

— Chodzi ci o filozofię wyścigów? Wyścigi są na to, by się mogły zetknąć rozmaite próżności. Namiętności i żądze są jak elektryczność: potrzebują się wyładować. Otóż wyścigi pomagają do tego. Damy pragną pokazać ekwipaże i toalety; pragną też pokazać siebie. Niektórym jest bardzo do twarzy w kapeluszu. Mężczyźni potrzebują się rozgrzać grą wyścigową. Są tacy, co w koniarstwie szukają zadowolenia próżności. Niektórzy po grzbietach końskich pragną się dostać do sfer, dotąd dla nich niedostępnych...

— Więc wyścigi są niemoralne! — zawołała Elżbieta.

— Moje dziecię, — rzekł Jan ironicznie, — trzeba się zgodzić z tą wielką prawdą, że niemoralnem jest prawie wszystko to, co sprawia przyjemność.

— Nigdy nie mówisz poważnie... ja mówiłam w tej chwili na serio, i na serio-bym pragnęła, żebyś porzucił myśl kupowania koni wyścigowych.

Jan rozśmiał się, a w śmiechu jego było coś cynicznego.

— Mam porzucić myśl kupienia koni, bo wyścigi są niemoralne! Prawda, Edwardzie, że to myśl jedyna w swoim rodzaju? To jest bardzo zabawne! Ja chcę mieć konie, a ty masz już swojego konika i coraz częściej na niego siadasz. Jest nim moralność! Moja Elżuniu, Edward przyzna mi niezawodnie, że nic nudniejszego, jak taki konik! Tyś powinna była pójść do klasztoru! Ty pewno miewasz powątpiewania co do moralności stanu małżeńskiego!

Elżbieta pod okiem Edwarda, który na nią patrzył, splonęła rumieńcem.

— A co, widzisz — podchwycił Jan — rumieniec za ciebie mówi, niewasz wątpliwości!

Elżbietę przejęło na raz uczucie obrazy i gniewu.

— Jasiu! — zawołała z wyrzutem.

Edward odczuł wyraźnie oburzenie Elżbiety. Był w jednej z tych chwil przelotnych, w których dano nam jest czytać w sercu człowieka, na którego patrzymy. Zaprzagnął zwrócić rozmowę na inne tory.

— Czy wie kuzynka, ozwał się, że przed chwilą stanął mi w oczach obraz, który-bym pragnął wymalować. Pomysły malarskie przychodzą tak zwykle nagle, ni z tego, ni z owego... jest to taka fatamorgana myśli..., często na tle jakiejś rozmowy, nie mającej z moim pomysłem żadnego stosunku, lub na tle myśli, bujającej o sto mil od tego, co mi się nagle wyśni na jawie, spostrzegam wyraźnie moje przyszłe dzieło takim, jakim je ma zostawić na płótnie pędzel. To jest zupełnie dziwne jako zjawisko... Przed chwilą widziałem przed sobą obraz, którego temat osnuty był na legiendzie o owej Ksieni, która uratowała klasztor od zburzenia, sprawiwszy cud, którego od niej wynagał dziki najeźdźca. Gałązka sucha, zatknięta przez nią w ziemię, wobec otaczających ją wojowników, puściła w ich oczach korzenie i liście... Ksieni z ogniem wiary i wielkiego wzniesienia ducha w oku, za nią kilka strwożonych zakonnic... naprzeciwno wódz bluźnierca z cynicznym uśmiechem, w koło dzikie żoldactwo...

— Pamiętam tę legiendę — rzekła Elżbieta. — To bardzo ładny pomysł do obrazu. Ta Ksieni, w której ręku sucha gałązka zielenić się zaczyna, była-by bardzo wymowną.

— Przynajmniej poetyczną.

— Ale i wymowną także. Mówiłaby o potędze wiary. I dziś jeszcze cud podobny mógłby się może zdarzyć, gdyby się znalazła taka niezachwiana wiara w cud.

— Tak pani, jeżeli suchą gałązkę weźmiemy w przenośni. Ja na przykład wierzę mocno, że są ręce święte, w których dusza człowieka oziębłego, będąca więcej jałową, niż zeschnięta gałązka, może się nauczyć czuć, wierzyć i pragnąć udoskonalenia. Takie cuda mogą się dziać i dzieją się.

— Czy kuzyn widział kiedy cud taki?

— Prawie. Widziałem nieraz ogromny wpływ jednej duszy na drugą i rozumiem doskonale, czem może być odrodzenie się przy pomocy istoty, która nas z ciemności wyprowadza na światło.

.Jan siedział rozparty w fotelu, z drwiącym uśmiechem na ustach.

— Ci artyści, to istne kameleony! — ozwał się. — Jak ten Edward wie, w jaką dudkę zadąć. Tylko nie znasz terminów techni-

cznych. To, co mówiłeś o tych duszach i wpływach, to w języku Elżuni nazywa się „ *nawrócenie* ”.

Elżbieta już nieraz doznała była zniecierpliwienia na męża za przerwanie rozmowy, wkraczającej w dziedziny zagadnień, które ją zajmowały. I teraz wyraźny odcień zdudzenia i zmęczenia odmalował się na jej twarzy. Edward też doznał niesmaku z powodu wiecznej ironii Jana.

— Zobaczysz — ciągnął dalej Gosztyński — że któregośkolwiek dnia sucha gałązka zakwitnie w naszych oczach w rękach Elżuni.

Edward zaś spojrział na Jana z jakąś pogardliwą litością i pomyślał:

— Łatwiejby w jej rękę zakwitła sucha gałązka, niżby się odrodziła twoja dusza wystygła i płaska.

— Tylko cię proszę, Elżuniu, by nie zakwitła symboliczna lilia. Wiesz, jak zapachu lilii nie znoszę! Boję się jednak, że to będzie lilia, bo to jest ulubiony kwiat świętych. Lilię zostaw pulchnym rękom księdza Maryana.

Na twarzy Elżbiety odbił się tak widoczny wyraz niesmaku, że Edward, chcąc ją uwolnić od ironii Jana, ozwał się:

— Jestem po prostu stękniony do muzyki Wagnera. Czy kuzynka pozwoli mi pohulaśować trochę w salonie?

— Jeśli mi będzie dozwolonem słuchać...

— Dobrze, żeś mi ostrzegł, że to będzie Wagner — rzekł Jan — będę przynajmniej stronił od salonu.

Elżbieta doznała rzeczywistej ulgi, gdy się z Edwardem znalazła przy fortepianie. Towarzystwo i obecność Jana coraz częściej poczynały ją męczyć. Nie przyznawała tego przed sobą i była-by w dobrej wierze przeczyła, gdyby jej był ktoś odkrył własne jej uczucia. Dawne przekonanie o nieomyślności męża tkwiło w niej jeszcze, lecz tylko jako pogląd, którego się była wyuczyła na pamięć. W rzeczywistości podstawy jego poczynały się chwiać i stało ono siłą przyzwyczajenia. Co wieczór i co rano zasyłała do Boga modlitwy za męża, prosiła o pomoc dla jego zamiarów, dziękowała za szczęście posiadania męża wierzącego. Była to modlitwa, ułożona przez nią samą i tyle już razy powtórzona, że krytyka się jej nie miała. Elżbieta wymawiała jej słowa, nie czując, że gdyby dziś modlitwę tę układała, jużby to uczyniła inaczej.

Gdy się znalazła z Edwardem w salonie, stanęła przy fortepianie, jak to miała zwyczaj, lecz nie szukała w swej myśli muzycznego utworu, o który-by prosić pragnęła. Była zamysłona, a na czole jej, zwykle pogodnem, rysowała się fałda. Edward z rękoma na klawiszach patrzył ku niej, jakby oczekiwał rozkazu, odczuwał jednak, że Elżbietę

w tej chwili zajmowało coś życiowego, co z poetyczną mową muzyki nie miało nic wspólnego.

Po chwili ozwała się ona jakby nieco rozgorączkowana:

— Kuzyn był zdania, że wyścigi są rzeczą grzeszącą przeciwko pięknu. Czy kuzyn je też znajduje niemoralnemi?

— Względnie tak — odparł Edward. — To wszystko, co Jaś im zarzucił żartem, to wszystko można im zarzucić na prawdę; ale nie będę się wdawał w krytykę zabawy, przyjętej we wszystkich krajach. Skoro jednak kuzynka tej kwestyi dotknęła, więc powiedzieć muszę: Te konie, to może być dla Jasia ruina przy już zachwianych interesach. Gdyby, narażając się na ruinę, spełniało się coś pożytecznego... ale tu nic podobnego nie ma miejsca. To ze strony Jasia fantazyja... Nie wiem, czy dobrze czynię, mówiąc to kuzynce...

— Przecie ja powinnam wiedzieć! Tylko, czy ja będę umiała czemukolwiek zaradzić? Kuzyn mi mówił, że widział nieraz oddziaływanie jednej duszy na drugą, ale ja widocznie nie mam ani siły, ani wiary. W moich rękach gałązka musi pozostać suchą! Nie mam świętego ognia, nie umiem pociągnąć, jestem bez mocy, bez wpływu!

Edward patrzył na nią z zachwytem artysty. Miał swoją ksienię z legendy. Poblądle od wzruszenia lica Elżbiety, jej oczy wzniesione, jej postać wysmukłą i nieco za szczupłą malarz obejmował wzrokiem, który chciał zapamiętać.

— Gałązka sucha zakwitnie w ręku kuzynki — ozwał się wreszcie — przynajmniej na moim obrazie. Czy pani mi pozwoli wziąć postać i rysy swoje dla mojej ksiieni?

— Niech je kuzyn bierze, jeżeli się przydadzą na co. Niech choć tym sposobem będę kuzynowi pożyteczną.

Edward powrócił do Radwanowa z oczyma pełnemi przysłego swego obrazu. Zastał Jerzego nad rachunkami, skłopotanego i zamyślnego. Począł mu z zapałem mówić o swoim pomysśle.

— Pamiętasz, jak utrzymywałem, że piękność pani Elżbiety, by zdobyć wyraz właściwy i artystycznie doskonały, musi się naprzód wykąpać w gorzkich łzach boleści i smutków. Otoż dziś odkryłem tło i otoczenie dla niej. Zobaczysz, uczyni mi na płótnie cud, i każdy powie, że z taką postacią, z tak pałającą wiarą oczyma, cud ten uczyniła niezawodnie! Żal mi tylko jej włosów.

— Włosów?

— Będę je musiał ukryć pod welonem ksiieni.

— Szkoda. Ma kształt głowy i włosy, których zakrywać by nie należało.

— Bardzo żałuję, ale muszę je zakryć! Wiesz, ty ją masz za istotę bez inicjatywy, bez myśli samodzielnej, zimną w gruncie i fana-

tyczkę religijną bez miłości bliźniego... Otóż, zdaje mi się, że się mylisz. Ona ma duszę! Ma przytem wielką prostotę. Żebyś ty był widział, z jaką powagą, z jakim spokojem mi odpowiedziała, gdym ją prosił o pozwolenie wzięcia jej za model do mojej ksieni. Przypominam sobie inne, znajome mi kobiety. Były-by stroiły rozmaite miny. Jedne były-by pozowały na skromność, były-by udawały, że się mają za brzydkie; inne były-by w próżności swej niesłychanie podniecone. Ta z najwyższą prostotą mi powiedziała: „Dobrze, niech będę kuzynowi choć tym sposobem pożyteczną“. Bez żadnej miny, bez żadnej pozy, najprościej w świecie.

— Więc nagle w twoich oczach stała się cudowną panią? — zapytał Jerzy.

Nazajutrz, przy śniadaniu, przy którym Elżbieta siedzia z robotą naprzeciwko męża, uczyniła ona nad sobą wysiłek prawie bohater-ski. Zawsze usiłował odsunąć od męża wszelkie przykrości, oszczędzać mu złego humoru; teraz zaś czuła, że przedmiot, którego dotknąć zamierza, przyprawi Jana o rozstrojenie nerwów. Wszakże, uznawszy za swój obowiązek pomówienie z mężem raz jeszcze o wyścigach, wiedziała, że się nie cofnie. Rzekła więc:

— Wytłómacz mi dokładnie, co to jest totalizator.

— Co aniółom po wiadomości o takim piekielku, w które ludzie rzucają swoją żądzę hazardu i łatwego zysku.

— Proszę cię, powiedz mi dokładnie, co to jest?

— Gotowaś nabrać pasyjki! O, kobiety się strasznie pasjonują! Są takie, co gotowe rodzone dzieci swoje pozastawiać, lub posprzedawać na grę. Chciałbym cię widzieć z oczyma błyszczącemi jaką namiętnością ziemską! Bo ty masz tylko namiętności niebieskiej!

— Ale ja się pytam, co to jest totalizator.

— To jest przynęta, położona dla drobniejszej zwierzyny. Nie każdy z widzów ma konie w biegu, nie każdy może trzymać grube zakłady. Więc do zastawionej potapki niesie uczeń i student pieniądze, przeznaczone na obiady, lub ciepłe okrycie w zimie, niesie urzędnik pensję kwartalną, niesie subjekt sklepowy swój miesięczny zarobek. Dyabeł to wszystko zamiesza razem czarną łapą z pazurami, a potem obiady, okrycia zimowe, opłata mieszkania, wszystko to często rozwiewa się jak sen złoty.

— Więc i ten rodzaj gry jest rzeczą wysoce niemoralną.

Jan się zżymnął.

— Ah, Boże! — zawołał — jakże nudną jest żona, która wiecznie mówi o moralności! To można pokochać zbrodnię przy takiej kobiecie! Moralność jest doskonałą, jest śliczną rzeczą, ale powinna mieć swoje godziny: jak mówienie pacierza, jak obiady i kolacja! Powinny bywać czasem przerwę! W średnich wiekach przecie kościół pozwalał na zapominanie o moralności, a tylko wymagał przerw w swobodzie, i wesołym życiu, nawet podobno w rozbojach i napadach. Były odpoczynki, „les trêves de Dieu“ a ty nigdy swemu wiernemu ludowi nie dasz odetchnąć. Wiecznie moralność i moralność! Ksiądz Maryan i ksiądz Maryan! Aż ci to do gardła podstępuje! Gdyby kościół miał intuicyę tego, co stanowi szczęście w małżeństwie, toby za punkt do rozwodu uważał wieczną surowość i wieczne moralizowanie! To ziębi, jak okłady lodowe! Prawdziwa mądrość tkwi w tem ogólnem pojęciu, że kobieta powinna być głupia! Ah, niech żyją kobiety głupie! To jest gatunek, przygotowany przez Stwórcę do uszczęśliwienia w małżeństwie! Kobieta, która się ma za mądrą i wiecznie wszystko krytykuje, jest gatunkiem strasznym! Wyścigi niemoralne, totalizator — niemoralny! Ależ niema ani jednego kraju w Europie, który-by tego nie posiadał. Zapytaj się księdza Maryana, czy czasem papież nie jeździ sobie na wyścigi i czy ze świętopietrza nie czerpie na grę w totalizatora.

Elżbieta wstała nagle od stołu, oburzona do najwyższego stopnia.

— Każdy żart ma swoje granice — zawołała — a ty te granice przekraczasz!

Jan się śmiał:

— W gnieździe szerszeni się zaroilo! — rzekł ironicznie — Lubię, gdy się aniołowie gniewają! Blondynkom zwykle nie dobrze w kolorze czerwonym, ty mi się jednak bardzo podobasz, gdy się gniewasz aż do czerwoności.

Elżbieta uczyniła wysiłek prawie nadludzki, by się uspokoić. Przypomniała sobie swoją rozmowę z ojcem Jana, który w kilka tygodni po ślubie synowej, patrząc na jej sładycz, powiedział, pieszcząc jej piękną rękę i spoglądając na uśmiechnięte usta:

— „Jestem spokojny, że z ust tych nie wyjdą nigdy takie słowa, które wytwarzają przepaść między mężem a żoną“.

Czuła w tej chwili, że gniew może w usta kobiety włożyć takie słowa, że szczególnie może je włożyć pogarda, a jej się po raz pierwszy wydało, że pogardza mężem. Wielkie oburzenie miotало jej sercem; Jan wydawał jej się jakimś nędznym żartownisiem, jakimś niskim pajacem, którego śmiech przejmował ją odrazą. Ale nie, ona nie powie takiego słowa, które duch Lucyana Gosztyńskiego-by potępił! W tem uczuciu gniewu i pogardy, które się burzyło w jej duszy, była

z pewnością część jej własnej winy! W tej chwili winy tej nie widziała jeszcze, bo nie miała dość przytomnego umysłu, by samą siebie osądzić; ale pewno uzna się winną, gdy będzie miała dość spokoju, by własne sumienie roztrząsnąć. Przysunęła się do męża ze spokojem otrzymanym przez wysiłek woli i rzekła:

— Ja ciebie Jasiu muszę na wszystko prosić... Odstąp od zamiaru kupowania koni wyścigowych. Wreszcie, jeżeli nie dla mojej prośby, to w imię twojego własnego dobra. To może być ruina dla naszego mienia.

Jan spojrział na żonę oczyma, w których wyraźnie spostrzedz by-
to można dwa uczucia: twardość i nieczułość drewnianą obok błyskawicy gniewu.

— Kto cię nauczył tej piosunki? — zapytał głosem zimnym i ostrym.

— Czy przypuszczasz, że ja już żadnej inicjatywy mieć nie mogę?

— Nie, to wszystko nie twój pomysł! Myślał-bym że to Jerzy, ale wiem, że się boczysz na niego, że nie raczysz z nim rozmawiać. To ksiądz zostawił mi w spuściźnie to kazanie! Czy ci je napisał i na pamięć nauczyć się kazał.

— Ksiądz Maryan nic mi w tej kwestyi nie mówił. Ja sama widzę i przecie ty także przyznajesz, że wyścigi nic dobrego nie przynoszą, jeżeli nie same w sobie, to przez uczucia, które budzą.

Jan zgrzytnął zębami, a błyski gniewu w jego oczach stały się częstszymi.

— Ja muszę mieć konie wyścigowe — zawołał — choćby dla tego, że w domu mam samą nudę, samo moralizowanie, samo przykrościł Człowiek młody ma prawo żądać czasem rozrywki, zadowolenia swoich upodobań! Tyś mi wniosła w dom taką nudną surowość, że od niej wечно uciekać mam ochotę. Ty wiesz, że wstrętnemi mi są niektóre osobistości, niektóre położenia, nawet niektóre wyrażenia. Ty mię zawsze otaczasz tem, co mi jest wstrętnel Takim jest wyraz *moralność*, *moralne*, *niemoralne*! Wszystko jest moralnem, co jest człowiekowi przyjemnem. Niemoralnem jest to, co mu jest nieznośnem! Niema co mówić, wybrałaś sobie sposób doskonały na mnie! We mnie zawsze żądza zaspokojenia zachcianki wzrastała, w stosunku prostym do przeskód, które mi stawały na drodze. Ty mi to robisz sceny o konie wyścigowe, więc we mnie podwaja się chęć posiadania ich. Mój ojciec miał ten sam system i już mi dał obrzydzenie do moralów! Nawet, gdyby mię teraz opuściła chęć posiadania koni, tobym je kupił, żeby cię przekonać, że ja zawsze będę postępował tylko wedle własnych wyobrażeń i upodobań. Nie mogę na to pozwolić, by mi tu rządziła kobieta, która poprzednio o wszystkim naszepce się z księdzem przy kon-

fesyjonałe. Wyścigi niemoralne. Nawet purytańska Anglia tego nie znajduje! Proszę cię, byś od dziś dnia zaniechała wszelkich uwag, głośno przy mnie czynionych, nad mojem postępowaniem! Możesz sobie krytykować mię w głębi duszy. O, głęb duszy twojej niech sobie będzie antywyścigową. Powiadają, że kobiety mają intuicyę, węch, spryt, przebiegłość, a ty nie zdołałaś odkryć dotąd, że wszelkie uwagi są raczej dla mnie bodźcem do postępowania przeciwko nim. Jerzy już to odkrył i już mię nie nudzi. Ale prawda! Cóż ja tu wspominam imię Jerzego? Wszak on także jest zaklasyfikowany do ludzi niemoralnych, a z ludzi niemoralnych tylko niemoralność wypływać może! Tego zdania przecie-by się i ksiądz Maryan nie powstydzil!

Elżbieta była jakby przykuta do ziemi. Pierwszy to raz Jan występował względem niej z taką bezwzględnością i z takim grubiaństwem. Usta jej drżały, twarz, po przejściu po niej ognia oburzenia, powlokła się bladością, oczy zaszyły łzami. Czuli, że gdyby słowo przemówiła, wybuchnęła-by głośnym płaczem. Gardło miała zaciśnięte bólem i gniewem. W milczeniu wyszła z pokoju.

Jan odprowadził ją do drzwi wzrokiem, jak stal twardym.

Zniecierpliwienie miotalo nim, lecz w krótcę poczul, że ta scena małżeńska, która miała, jak mu się zdawało, przynieść mu ulgę, w nim samym wyrodziła niesmak. Twardość i gburowatość nie leżała w jego przyzwyczajeniach w ogóle. Względem kobiet w szczególności nie zwykił się jej dopuszczać. Poczul, że wyrządził żonie krzywdę i że się z nią obszedł, jak człowiek źle wychowany.

— Przeprosiłbym ją — myślał — gdyby nie to znużenie i apatya, które mię trzymają jak w kleszczach. Czuję, że nie jestem zdolny do wysiłku, którego wymaga przeproszenie, czyli upokorzenie się, przyznanie się do winy. Mam wstręt nieprzeparty do jakichkolwiek żywszych objawów uczucia, taki wstręt, jaki się ma do cierpienia. A jednak mi żal Elżuni. Biedna święta, zapatrzona w niebo, która nagle, stąpając po ziemi, poraniła sobie nogi o ciernie! A może ja ją kocham, kiedy mi jej żal? Może, choć nie wiem o tem, przywiązany jednak jestem do niej?

Uczul niejaki zadowolenie z tego, iż swego postępku względem żony żałował, a zatem prawdopodobnie ją kochał.

— Żeby tylko nie miała zacerwienionych od płaczu oczu przy obiedzie! Nienawidzę widoku nieszczęścia, choroby, nienawidzę widoku łez!

Tymczasem Elżbieta, ukryta w najgłębszy kąt swego pokoju, zalewała się łzami. Czuli się bardzo nieszczęśliwą, przytem osamotnioną zupełnie. Jedyną jej ucieczką był Bóg, którego głos nie dochodził w tej chwili do niej. Wydało jej się jasnym i wyraźnym, że jej Jan

nie kochał. Tak, nie kochał jej! Przypomniła sobie teraz jego wieczne znudzenie i niezadowolenie, jego powroty do domu, których ona oczekiwała, a które jej go oddawały kapryśnym, chorym, bez cienia radości z ujrzenia rodziny; przypominała sobie tysiące szczegółów, tysiące drobiazgów, widziała wyraz twarzy męża w rozmaitych chwilach, widziała jego ruchy; słyszała odcień głosu, a żal jej ze wszystkiego wynosił pewnik, że żyła u boku człowieka, któremu była obojętną. Kobięca duma zerwała się w niej z nieznaną jej siłą. Wśród paroksyzmu rozpaczy marzyła z egzaltacją o ucieczce, o pozostawieniu Janowi swobody, o zabranii matki i dziecka i o ustąpieniu mu z drogi. Wszak powiedział jej wyraźnie, że w domu, czyli w pożyciu z nią, ma samo znudzenie i same tylko przykrości. Płakała namiętnie, jak tylko młode istoty płakać umieją. Zdawało jej się, że całe jej dotychczasowe życie z mężem było jakąś straszną pomyłką, w której ona grała rolę smutną istoty bierniej, bezwiednie niedelikatnej, narzucającej swoją osobę i swoją obecność człowiekowi, który z obowiązku tylko okazywał jej do dnia dzisiejszego względy należne żonie. Dla niej dotąd wyraz „obowiązek” tłumaczył dostatecznie stosunek małżonków, ale w tej chwili rozżalenia i wielkiej tęsknoty za piersią, na której mogłaby wypłakać nędze swoje, obowiązek, jako jedyna podstawa najbliższego ze związków, wydał jej się czemś, co ją upokarzało jako kobietę. Czuła się też pokrzywdzoną niesprawiedliwością Jana. Cóż to ona za winę względem niego popełniła, by miał prawo przemawiać do niej ze wstrętem prawie i z pogardą? Z głębi serca wydobywała coraz nowe zażalenia i każde z nich oblewała nowym potokiem łez. Łzy wreszcie się wyczerpały. Elżbieta zmęczona, z oczyma zbiedzonymi, znękana i przybita, siedziała w najciemniejszym kącie pokoju, bez ruchu, w uczuciu zupełnego opadnięcia z sił. Głowa jej ciężła, a groza osamotnienia była w niej tak wyraźna, jak gdyby otaczała ją pustynia. Tę swoją skolataną głowę pragnęła-by była położyć na ramieniu jakiejś istoty blizkiej a kochanej, nie miała zaś na świecie nikogo, komu-by zażawioną swoją twarz pokazać chciała.

Dopiero po jakimś czasie myśli jej, które z pomocą rozpaczy pozrywały wszystkie tamy i groble, wróciły powoli do zwykłego łożyska. Upadła na kolana i wtedy dopiero poczuła, że miała łono, na którym głowę zmęczoną a szaloną wesprzeć mogła. Usta jej nie miały w tej chwili słów modlitwy, ani słów skargi, tylko serce jej, w namiętnym porywie, kładło się u stóp krzyża.

Wstała z klęczek, silniejsza i ukrzepiona moralnie, ale fizycznie znękana, z twarzą noszącą ślady wyraźne przebytego cierpienia. Oczy jej miały zaczerwienione obwódki i takimi pozostały, choć je obficie w wodzie wykąpała. Musiała z przeciągniętymi rysami ukazać się do-

mownikom przy obiedzie, znieść ich spojrzenia i zapytania Władysia, czynione z tą niedyskrecją dziecinną, która nie rozumie dyplomatyzowania. Jana nie było. Pojechał na obiad w sąsiedztwo. Jego nieobecność przyniosła Elżbiecie ulgę. Nie czuła odwagi do podniesienia ku niemu swoich zmęczonych oczu. Była mu wdzięczną za to, że wyjechał. Wieczorem położyła się wcześniej i zgasła świecę, by Jan, wchodzący do pokoju, mógł sądzić że śpi. Wróciwszy późno, spojrzał na jej, ku ścianie zwróconą, jasną głowę, leżącą na poduszce, i pomyślał, że może niepotrzebnie wyjeżdżał z domu, by uniknąć widoku rozgniewanej lub załamanej żony, gdy Elżbieta może nie odczuła obrazy, skoro sen miała spokojny i tak twardy, że nie słyszała wejścia męża do sypialni. Ona, leżąc z zamkniętymi oczyma, doznała znowu krótkiego paroksyzmu oburzenia na wspomnienie słów od niego usłyszanych.

Tymczasem we wszystkich ruchach Jana, w jego stąpieniu na palcach, w jego usiłowaniu nie uczynienia najłżejszego hałasu, w jego cichem postawieniu świecy na stoliczku, po jej zdmuchnięciu, odczuła, że miał na nią wzgląd ciągły, że się wysilał na rozliczne ostrożności, by jej snu nie przerwać. Tych ostrożności zwykle nie zachowywał, do czego się już była przyzwyczaiła i czego nie krytykowała wcale. Teraz odczuła nagłą wdzięczność za jego pamięć o jej spoczynku. Zdawało jej się, że w jego stąpieniu na palcach było nieme przeproszenie za to, co się stało. Chciała zawołać, że mu przebacza, że chodzi jej o jego udoskonalenie, o jego duszę, a własne cierpienie jest jej niczem, ale zbrakło jej odwagi i przyszły nowe wątpliwości. Może on nie przez delikatność, nie w celu niemego przeproszenia, usiłował nie obudzić żony, może po prostu czynił to w intencjach samozachowawczych. Może jej osoba była mu tak przykrą, że nie chciał usłyszeć jej głosu, ani zobaczyć zwracającej się ku niemu jej twarzy. Może przypuszczał, że, obudziwszy się, siądzie ona nagle na łóżku i zacznie czynić mu wymówki. Więc może był to prosty wzgląd na samego siebie?

Zwykle sypiała snem zdrowym i nieprzerywanym, dziś po raz pierwszy od lat wielu doświadczyła tej męki, która w nocy spływa na ludzi rozstrojonych i noszących w piersi niezgojoną ranę. Jak cienie drzew i przedmiotów w nocy, tak smutki nabierały dla bezsennej kształtów zolbrzy miałych i groźnych. Głowa jej pałała i zdawała jej się być ściśnięta obręczą żelazną, rozszerzającą się przy każdym uderzeniu pulsów. Po wczorajszych łkaniach miała lekką gorączkę. Gdy ranek zaświtał, wymknęła się cicho z sypialni i, ubrana na prędce w strój poranny, położyła się w swoim pokoju na szezlongu, na którym zasnęła jak kamień.

Gdy się nie ukazała na śniadaniu u pani Dohoreckiej, gdy się po domu rozniosło, że służący, przychodzący rano sprzątać pokój pani, uj-

rzał ją śpiącą na szezlongu, i matka, i domownicy zaniepokoił się. Jan, zauważywszy nieobecność żony przy swoim śniadaniu, pomyślał:

— Fochy! Naturalnie, musiała mi dziś okazać swoje niezadowolenie. Co ja teraz będę miał min, demonstracyi, poz na istotę nie-szczęśliwą i pokrzywdzoną!

Niesmak tych wszystkich przewidywanych nieprzyjemności zacisnął mu gardło. Wczorajsza względność i litość dla Elżbiety ustąpiły miejsca uczuciu gniewu. Miał znówu głęboki żal do żony i niechęć, która w nim aż kipiała.

— Święta! — mówił do siebie przez zęby — świętoszka! Jak ona się sobie podobać musiała w tej roli kobiety wyższej, nawracającej męża na drogę cnoty! Składa sobie kapitały zasług, które potem poniesie przed tron Boga i każe je sobie dobrze przeważać, żeby nie było żadnej niedokładności. Każe je sobie dobrze zapłacić! Gdyby tam w niebie zapomnieli o tem, że ona muie nawracała, to ona im to przypomni!

Dyszał niechęcią i dławił się nudą tych wiecznie na straży wszystkiego stojących przekonań Elżbiety. Męczył się tem, że był niekonsekwentny i słaby. Zdawało mu się, że ulżył-by sobie, gdyby, poszedłszy do żony, powiedział jej jakie słowo ostre, będące niezawodnie większym dla niej ciosem, niż dla kobiety z ludu uderzenie. Ale wiedział, że grubijaństwo, raczej niesmak, niż ulgę-by mu przyniosło.

— Przerafinowali we mnie wszystko! — myślał — Już na świat wydali mię takim kaleką, który sobie nigdy zadowolenia zupełnego sprawić nie może! Stara Piotrowa opowiadała mi, że był nieznośnem, płakiwem niemowlęciem. Rzuciałem pierś, krzyczałem... Jestem pewien, że mi mleko mamki nie smakowało i że krzyczałem ze znużenia. Ale byłem o tyle szczęśliwym, że mogłem krzyżeć. Teraz już i tym sposobem nudy wykrztusić nie mogę. Trzeba mi co najprędzej jechać ztąd w świat! rzucić tu moralność mojej żony i chorobę pani Dohoreckiej, i manię Jerzego składania mi rachunków, dowiadywania się o ścisłą liczbę moich długów i przedstawiania mi źródeł dochodu jeszcze nietkniętych i już wysuszonych. Gdy sobie tu przyprowadzę konie, będę do nich uciekał od ludzi i może mi łatwiej przyjdzie znosić życie.

Zadziwił się niezmiernie, gdy w parę godzin potem ujrzał Elżbietę przychodzącą mu powiedzieć, dzień dobry, jak zwykle. Usiłowała być zupełnie naturalną i udawało jej się to dość dobrze.

— Zasnęłam na szezlongu tak twardo, — mówiła — że zupełnie nie wiem, gdzie mi się pół dnia podziało. Mama była o mnie niespokojna, panna Niewelska siedziała nade mną z przerażonym wzrokiem...

— Śledziła, czy jakiej plotki nie pochwyti — rzekł Jan. — Pewno już sobie ułożyła tysiące nadzwyczajnych wydarzeń.

Tą spokojną rozmową zaznaczyli zgodę. Oboje doznali uczucia ulgi. On był wdzięczen żonie za oszczędzenie mu demonstracyi, ona była zadowolona, że wczorajszy gniew męża zdawał się być zapomniany. Wszakże jej dusza niezupełnie pozbyła się żalu. Jakiś chłód ją ogarniał na widok Jana, jakaś obojętność, mająca w sobie lekki odcień pogardy i lekceważenia. Przy wczorajszym paroksyźmie rozpaczy, myśl Elżbiety obdarła nietykalną dotąd postać męża ze zbyt wielu obsłon. Urok jego był już widocznie podkopany, chwiejący się i utrzymywał się tylko mocą gorącego usiłowania Elżbiety, teraz bowiem osłabł tak bardzo, że ledwo cień jego pozostał jeszcze.

Myśl jak najspiesniejszego wyjazdu, usadowiwszy się raz w umyśle Jana, poczyniała co chwila przybierać cechę coraz to silniejszej zachcianki. Czuł, że wyjazd w tej chwili byłby dla niego wielkiem zadowoleniem i psuł sobie nadzieję urzeczywistnienia go tem przypuszczeniem, że, gdy nareszcie znajdzie się w wagonie, pragnienie wyrwania się z domu już będzie stępione i już mu będzie mniej więcej obojętnem, czy dom opuścił, czy nie. Męczył się niemożnością wyjazdu natychmiastowego. Simons nie chciał opuścić Drzewna, póki stajnie nie będą zupełnie według jego planu przerobione. Trzeba też było koniecznie przejść przez czyściec rozmowy z Jerzym o interesach, tymczasem nie było go w domu i miał wrócić dopiero za dni parę. Edward przywiózł właśnie tę wiadomość do Drzewna, dodając, iż przyjeżdżał zaprosić się na obiad do Gosztyńskich, szczególnie dla tego, że się bał gadatliwości starej Piotrowej.

— Nie mam siły obronić się od starowiny, której gadulstwo rozstraja nawet moje grube i wcale nie wrażliwe nerwy. Jerzego się ona boi i on jej imponuje, ja zaś nic a nic. Gdziekolwiek mię przydymie, łapie mię i wyrzuca mi na głowę lawiny całe słów. Słucham czasem przez litość, to znowu obserwuję wyraz jej twarzy, na której dobroduszość i podejrzliwość żyją z sobą w parze. Ale już wyraz ten uchwyciłem w szkicu, który pewno kiedyś zużytkuję, i już mię on interesować przestał.

— Bardzo mi nie na rękę, że Jerzy dziś wyjechał — rzekł Jan — potrzebował-bym dziś właśnie widzieć go koniecznie.

— Otrzymał jakiś telegram, tyżący się interesów drzewnięńskich.

— To jest mój pech! Często Jerzy mi tu żyły wyciąga i na motowidło nawija swoją manią mówienia o interesach, a teraz, gdy ja-bym o nich z nim pomówić potrzebował przed wyjazdem na czas dłuższy on zlika mi na dni parę.

— Więc jednak jedziesz po konie?

— Naturalnie. Przecie Simons zgodzony! Chyba-bym go na nauczyciela języka angielskiego wziął do Władysia. Ja wiem, że wszyscy są przeciwni. Moje biedne konie mają tu samych nieprzyjaciół. Ja ich wszystkich widzę. Pani Dohorecka gryzie chude pięści ze złości, że się tu tak dzieje, jak ja chcę; panna Niewelska jest zła, bo-by wołała, bym się nie zajmował końmi, ale raczej, bym sobie coś skandalicznego wymyślił, z czego-by była woda na jej plotkarski ułny; Elżunia we wszystkim upatruje niemoralność, bo ona ma manię niemoralności. Boi się, bym na koniu wyścigowym nie wjechał do piekła! Czy ty kiedy myślisz o ożenieniu się?

— Niema młodego mężczyzny, który-by czasami nie myślał o żonie, więc i ja myślę od czasu do czasu; pomimo to, zdaje mi się, że nie łatwo mi przyjdzie ożenić się.

— Wolisz kobietę w ogóle, niż żonę w szczególności?

— Ah, nie! Kobietę w ogóle lubię bardzo, ale wcale nie z tych względów, z jakich zapewne przypuszczasz. Nienawidzę miłostek! To zjada duszę i talent i jest brzydkie, bo w ogóle kłamstwo jest brzydkie, a miłostki polegają na kłamstwie. Mówi się tam o miłości, mówi się o różnych rzeczach, a jest się zwierzęciem i kwita!

— To właśnie jest wyborne! Co za rozkosz zapomnieć o tem nieznośnem człowieczeństwie, które przywykliśmy nosić tak wysoko! Być szczerze zwierzęciem, wytarzać się w zwierzęctwie, a potem spać jak kłoda! To rozkosz, o ile to człowiek potrafi! Mnie się bardzo rzadko udawało zapomnieć, że nie jestem zwierzęciem. Upijać się winem nie umiem, miłostka zaś pozostawia mię też najczęściej trzeźwym. Ma to wszakże dobrego, że się ją porzuca, że od niej uciec można i iść, gdzie prowadzi uowa zachcianka.

— Tak, ale to nie jest dla mnie. O małżeństwie marzę często, o miłostce nigdy. Opiewany przez poetów Don-Żuan jest dla mnie postacią wstrętną, dama kameliowa także. Nie lubię świata tego rodzaju brudów. Wydaje mi się brzydkim, więc nawet nie mam zasługi w tem, że go unikam. Ożenił-bym się, ale się boję. Rodzinie to się jednak człowiek musi oddać cały, jeżeli ma sumienie, ja zaś zanadto kocham sztukę, zanadto kocham wolność. Jestem też trochę fantastyk. Czasem zatęsknię naprzykład do Alp, a może moja żona wołała-by równiny. Czasem lubię gdzieś iść przed siebie i zapomnieć o wszelkich więzach. Przytem znam mało małżeństw dobranych, a byłbym bardzo nieszczęśliwym, gdybym odkrył w żonie takie strony duszy, które-by mi się brzydkimi wydały.

— Masz słusność! — zawołał Jan, więcej dziś ożywiony, niż zwykle.—Wiesz, rodzina to cię omota, jak pasorzyt. Choćbyś był bez

żadnych przesądów, trudno ci się będzie poruszać. Tracisz swobodę ruchów i czynów. Jesteś, jak człowiek płynący, który nagle czuje u nogi ciężar, którego nie ma prawa odrzucić od siebie kopnięciem.

W Edwardzie zawrzało na te słowa oburzenie. Stała mu w oczach Elżbieta z Władysiem, i ostatnie porównanie Jana wydało mu się dla niej zniewagą.

— Zdaje mi się właśnie — rzekł żywo — że ty się zupełnie pozbyłeś przesądów. Ten ciężar, choćby on był twoją rodziną, kopnąłbyś niezawodnie bez skrpułów.

— Gdzie tam! Ja nad tem cierpię, że mam przesady, a jednak je mam, i to mię dusi, jak zbyt ciasne ubranie.

Edward, ciągle wzburzony, chodził żywo po pokoju. Nagle stanął przed Janem i rzekł ze zmarszczonem czołem:

— Wy jesteście jednak bardzo niedobranem małżeństwem.

— Masz taką minę, jak gdybyś to brał bardzo tragicznie. Po prostu niema dobranych małżeństw, bo sama instytucja małżeństwa jest wielką pomyłką społeczną.

— Nie, nie, to piękna instytucja. Dwoje ludzi składa sobie dowód największej ufności, dwoje ludzi kocha się tak bardzo, iż są w stanie powiedzieć sobie „na zawsze“. Narzeczoną oddaje spokojnie, w obec Boga, w obec całej zgromadzonej rodziny, białą swoją dziewiczość temu, którego ukochała; narzeczony bierze na swoje barki odpowiedzialność za przyszłość rodziny, przysięga miłość na wieki, to znaczy, że bierze na siebie unikanie wszelkich pokus, że chce zamknąć oczy na wszelki wdzięk, który-by mógł w nim zrodzić myśl o niewierności...

Jan śmiał się, zabawiony zapalem Edwarda.

— Powtórz to Elżuni, ona ma wiarę w naprzyrodzoną siłę przysięgi!

Edward spojrział na Jana z pewnego rodzaju pogardą. Miał do niego wielki żal za Elżbietę, ale czuł też to, co czuli zwykle wszyscy, zbliżający się do niego, mianowicie: bezsilność zupełną wszelkiego przemówienia gorętszego, wszelkiej pracy nad tą duszą, czerpiącą swą odporność w nędznym materiale, z którego urobiona była. Szkoda było nawet dla niego słów oburzenia, które były-by jednak może z ust Edwarda wybuchnęły, gdyby nie wejście Elżbiety.

Od wczorajszego paroksyzmu rozpaczyła czuła ona ciągle potrzebę ujrzenia życzliwych twarzy. Przychodziła powitać Edwarda, który w uścisku jej ręki poczuł jakieś ciepło żywsze. Spojrzawszy w jej oczy tym wzrokiem badawczym, pytającym, serdecznym, którym życzliwość i przywiązanie pragnie zajrzeć do głębi duszy i zobaczyć, czy tam na dnie leży szczęście, czy cierpienie.

— Przyszedłem jak natręt wprosić się dziś na obiad — zaczął Edward.

Ale Jan mu przerwał:

— Elżuniu — rzekł, zapomniawszy zupełnie, że między nim a żoną były słowa, niezmazane jeszcze żadnem zadosyćuczynieniem z jego strony — Elżuniu, Edward utrzymuje, że my jesteśmy małżeństwem niedobranem.

Edward, który patrzył w twarz Elżbiety, uderzony został rumieńcem, okrywającym jej policzki, i nagłą bladością, następującą po rumieńcu. Jan wyraził bez żadnego przygotowania myśli, która młodą kobietę nurtowała od wczoraj, a której jeszcze nie była ubrała w tę formę. Tak, oni nie byli dobraniem małżeństwem; ale skąd to mógł wiedzieć Edward, patrzący w jej oczy tak badawczo, że aż wzrok jego czuła dosięgający tajni jej serca.

Jan dostrzegł też rumieniec Elżbiety, a jego mania drażnienia i podjudzania sprawiła, że ciągnął dalej:

— I cóż ty na to? Powiedz-że, co sądzisz o zdaniu Edwarda?

Ale Elżbieta była zmieszana i jakby zawstydzona obecnością Edwarda.

— To są takie sprawy domowe... — rzekła. — Cieszę się, że kuzyn nie ucieka, że kuzyn zostaje na obiedzie.

— Elżunia jest jak te ptaki, co to nie lubią, żeby im kto do gniazda zaglądał...

— Zupełnie kuzynkę rozumiem — przerwał żywo Edward. — Każdy prawie człowiek ma w sobie pewnego rodzaju skrytość, czy zazdrośne uczucie praw wyłącznych do tego, co jest jego światem moralnym. We mnie rozciąga się ta zazdrość nawet do dzieł mojego pędzla. Pracownię moją zamykam zawsze przed ciekawymi, przed natrętami, przed turystami. Nienawidzę, żeby mi wglądano w to, co ja robię, a przeszkadza mi wyraźnie wzrok, patrzący na robotę moją, gdy jej dokonywam. I ja jestem taki ptak, co ucieka z gniazda, na którym zatrzymało się oko ciekawe człowieka. Naturalnie, że w tym razie wyjątkiem są ci, dla których ani moje serce, ani mój pędzel nie ma tajemnic.

— O! i Elżunia wszystko przecie musi wyznać przy konfesyonale księdza Maryała! Ładnie ja tam muszę wyglądać, opiewany przez nią!

I Elżbieta, i Edward uczyli wyraźny niesmak przy słowach Jana i obawę jego ironicznych śmiałości. Elżbieta, pod pozorom jakichś rozporządzeń gospodarskich, których wydać zapomniiała, wyszła z pokoju. Jan doskonale zrozumiał powód jej ucieczki i pomyślał z zadowole-

niem, że to on od niej ucieknie. Ah, ucieknie od nieznośnego Drzewna, zamęczającego go interesami, i od tych ludzi, od których już nic nowego dowiedzieć się nie mógł, ani z ich powodu doznać żadnego wstrząśnienia.

Gdy Jerzy w parę dni potem przyjechał do Drzewna, zastał Jana w najgorszym humorze. Gosztyński żalił się na to, że Jerzy siedział zwykle kamieniem w Radwanowie, a wyjeżdżał właśnie wtedy, kiedy był najpotrzebniejszy.

— Jaki interes wyciągnął cię z domu?

— Pan Mirowiejski telegrafował do mnie.

— O co mu chodziło? Po co ciebie wzywał? Może chciał cię stąd przeciągnąć do siebie?

— Ależ nie. Jako przyjaciel twego ojca, chciał wiedzieć, co się tu dzieje.

— Aha! Szpieguje mię i podgląda! Musiał mu to ojciec polecić, umierając. Wziął mię tak z po-za grobu we trzy ognie! Obstawił mię Mirowiejskim, tobą i Elżunią. Myślał, że mię zamatuje na dobre. Czyś przynajmniej powiedział temu staremu, żeby mi zapisał choć połowę swego majątku? Nie ma dzieci i mógłby śmiało uczynić to dla syna swego przyjaciela! Dla czegoż-to do ciebie się udał, gdy chodziło o moje sprawy.

— Ponieważ nigdy cię nie widział szczerym względem siebie, a nawet go niegdyś swoim obejściem się obraziłeś. To bardzo zacy i rozumny człowiek i widocznie bardzo kochał twego ojca. Dotąd jeszcze nie przeboleał jego straty.

— Więc zaraz tę żalność zamienić powinien na zapis, uczyniony synowi!

— Żeby nie wiedział, jak mało masz przywiązania do pieniędzy i zapisów i jak wiecznie żartobliwie ironizujesz, tobym cię posądził o chciwość niemądrą i nie w miejscu. Przystąpmy do interesów. Podobno chciałeś mię widzieć jak najspieszniej.

— Wyjeżdżam i potrzebuję przed wyjazdem prosić cię o załatwienie różnych spraw.

— Kiedy wyjeżdżasz?

— No, naturalnie że dziś. Chciałbym już być przynajmniej w Wiedniu. Zabawię tam dni kilka i zaczekam na Simonsa, który jeszcze nie urządził zupełnie stajni. Ale się już tu duszę i wytrzymać nie mogę. Wystaw sobie, że Elżuni ktoś przewrócił w głowie i przyszła mi tu robić sceny o konie wyścigowe. Muszę jej pokazać, że mię to tylko skłoniło do tem wcześniejszego ich kupienia. To sobie zanotuj, że kobieta, jak koń, koniecznie potrzebuje czuć rękę żelazną. Niech się raz przekona, że jejustępujesz, to się od jej despotyzmu nie wykręcisz. Koń będzie cię przenosił, a kobieta cię zanudzi i zamęczy.

— Proszę cię, mówmy o interesach.

— Nie chcesz zdrowych rad doświadczonego przyjaciela?

— Nie mam czasu na próżne rozprawy.

— I uważałem, że nie lubisz kwestyi kobiecej... Jakiś jesteś zmęczony, czy znudzony. Od dawna nie zajrzysz nigdy bez interesu. Widzę, że jesteś na bakier z Elżunią... Czy ona ci jeszcze miny pokazuje za Jarackową? Tylko się jej czasem nie daj nawracać, bo cię na śmierć zanudzi. Zostaniesz tu do mojego odjazdu?

— Nie, nie zostanę. Proszę cię, przystąpmy nakoniec do interesów. Mam dziś mnóstwo zajęcia. Przytem chcę jak najwięcej być z Edwardem, który wyjeżdża.

Przyparty do muru, Jan, począł nakoniec mówić o różnych sprawach, które musiał polecić Jerzemu. Rozmowa ta znudziła go śmiertelnie. Oświadczył, iż od niej padł mu cień na podróż, której sobie, kilka godzin temu jeszcze, życzył tak bardzo. Każda myśl, każde pragnienie zawsze mu tak zwiędnie, zanim urzeczywistnionem zostanie, i zrywa już potem kwiat bez woni i barwy.

— Muszę jeszcze spróbować morfiny. Musi to być jednak rozkosz wielka, kiedy się nią ludzie upijają.

— Sprobuj morfiny — rzekł obojętnie i zimno Jerzy, który wiedział, że walką raczej-by Jana do morfiny zachęcił.

— Muszę tylko zapytać mojej żony: czy to jest moralne, czy niemoralne.

— Bądź zdrow. Dziś jedziesz, zatem cię żegnam.

— Jakże, pozwalasz mi na morfinę, pozwalasz mi na wyścigi, pozwalasz mi na karty, pozwalasz mi na kobiety? Nic nie moralizujesz, nic nie reprimujesz, nic się nie oburzasz?

— Przypuść, że znajduję wszystko doskonałem, co czynisz, co zamierzasz. Bądź zdrow!

Podali sobie ręce. Jan miał na ustach uśmiech trochę złośliwy.

— Ten sobie ze mną najlepiej radzić umie — myślał. — Przestał mi dawać rady, choć w duchu cierpi i potępia mię. To mię jednak trochę niecierpliwi, że on mię tak dobrze zna. Nienawidzę moralów,

jednak gniewa mię, że Jerzy mi ich nie mówi. Podjudzałem go tu tą morfiną, jak torreador migalem mu przed oczyma czerwoną płachtą, a on pozostał spokojny i nawet oczy nie zaświeciły gniewem. Co to za dziwny człowiek, ten Jerzy! Pracuje tu, jak gdyby Drzewno do niego należało, i z jakim celem przed oczyma? Czy dla człowieka może być celem zadowolenie zachcianki zmarłego, któremu przedśmiertna gorączka zasłaniała oczy i mąciła myśli? Czy może Jerzy ma tu jakie osobiste widoki? Wszak nie może mieć żadnych. Pracuje, jak wół, i zapobiegać się stara wszystkimu. Czy on może mię naprawdę kocha?

Ta myśl wydała się Janowi tak dziwną, że się poczuł wobec niej strapiiony i zupełnie wytracony ze zwykłego usposobienia.

— Czyby to mogło być, żeby on mię kochał i dbał o moje dobro przez przywiązanie do mojej osoby? Są takie dziwne rzeczy na świecie... takie dziwne, takie niespodziewane uczucia... Bywają takie nadzwyczajne poświęcenia rodzinne... Może jego serce za prawdę wzięło to, co powtarzał zawsze ojciec, że jesteśmy braćmi...

W duszy Jana poruszyło się uczucie zazdrości. Czemu on tak silnie nikogo kochać nie mógł, by dla jego spraw i dla jego dobra zapominał o sobie. Taka miłość musi być jednak źródłem wielkich rozkoszy i wielkiego zainteresowania się życiem. W ogóle szczęśliwi ci, co mają nigdy nie milknące przekonanie, że dla czegoś, lub dla kogoś, żyć warto. Gdy się tego nie ma, to trzeba przynajmniej umieć kochać siebie, a ja i tego nie umiem. Każdy, co na mnie patrzy, musi sądzić, że jestem egoistą. Tymczasem ja mam często wprost wstręt do siebie, wstręt do życia. Nie lubię myśleć o chorobie, o cierpieniu, o śmierci, o leżeniu pod ziemią, a jednak często chciałbym nie istnieć. Gdybym mógł kochać kogoś tak, jak mnie naprzykład kochał ojciec, życie przestało-by od razu być mi ciężarem. Może jestnaświecie ktoś, kogo-bym mógł tak kochać? Chyba kobieta? Niechby mi podeptała serce, niechby mi zjadła fortunę, byle-bym jąmógł pokochać tak, że zasłoniła-by mi moje znudzenie i moją krytykę i tę niemożność odczuwania zachwyty, z którą już na świat przyszedłem. Ale ja ani kobiety, ani żadnej takiej rzeczy, ani żadnej takiej myśli na świecie nie znajduję, do której-bym mógł przylgnąć duszą na zawsze. To trzeba na to innej duszy, niż moja. Wszak ja czuję, że już mi się odehciewa kupna koni, którego tak bardzo pragnąłem. Kupię je, ale już tylko przez upór i dla tego, że Simons już jest zgodzony, i dla tego także, że to jest szaleństwo, że przy moich zachwianych interesach jest to igranie z ogniem który mię spalić może. Takie przykładanie sobie noża do gardła sprawia jednak pewną emocję.

Zadzwoił na służącego i wydał rozporządzenie co do upakowania rzeczy na pociąg wieczorny. Z niesmakiem pomyślał o konie-

czności pożegnania Elżbiety i pani Dohoreckiej, którą przy każdym odjeździe na czas dłuższy całował zimno w rękę ze słowami uświęconemi: „Adieu maman“.

Doznał dopiero pewnego zadowolenia, gdy się znalazł w powozie, wiozącym go do stacyi, i gdy mu ruch kół, kręcących się i przyprawiających ekwipaż o kołysanie się, ułatwił marzenie i zapominanie chwilami zupełne o tem, gdzie, skąd i po co jechał.

ZOFIA KOWERSKA.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Gabinet hr. Badeniego.

Sądząc rzeczy z pozorów, gabinet hr. Badeniego upadł wskutek zbiegowiska ulicznego. W ową pamiętną niedzielę, 28 listopada, demonstracye uliczne, rozpoczęte już w piątek z powodu wyprowadzenia 14-tu posłów przez żandarmów z sali obrad, przybrały szerokie rozmiary. Od godziny 10-ej z rana ze wszystkich stron miasta tłumy dążyły na Ringstrasse. Przed uniwersytetem z robotnikami połączyli się studenci. Przy śpiewie socjalistycznych i niemiecko-narodowych pieśni rozpoczął się o 10-ej marsz głównemi bulwarami. Odległość pałacu od uniwersytetu wynosi tylko kilkaset kroków; pomiędzy nimi, odgradzony od ulicy zielonym skwerem, sterczy ogromny gotycki ratusz. Oto trzy główne, strategiczne punkty wszelkich tutejszych demonstracyi ulicznych. Z drugiej strony, po-za tak zwanym ogrodem ludowym, stoi starożytny pałac, w którym się mieszczą biura uniwersyteckie, spraw zagranicznych, a nieco dalej rozpościera się ogromny tylny bok zamku cesarskiego — „Burgu“. Tak z zamku, jak z pałacu ministerium spraw zagranicznych, za pomocą dobrej lornety można rozpoznać wszystkie szczegóły wydarzeń na Ringstrasse przed pałacem parlamentarnym.

Jeżeli tedy zważymy, że od 10-ej do 2-giej po południu tłum, pono 50,000-ny, na tej widowni śpiewał i wrzeszczał: „Precz Badeni“,

„Precz Abrahamowicz!"; że cała brygada konnych i pieszych policyan-tów nie zdołała oczyścić bulwaru, bo wyparte jedną stroną tłumy wra-cały drugą; że w południe nadjechały trzy szwadrony huzarów i dobytymi pałaszami rozpedziły zwarte szeregi orszaku robotników; że pomimo tego także i później bulwar roił się od demonstrantów i że nagle około go-dziny 3-ciej gruchnęła wieść o dymissyi gabinetu, potwierdzona nieba-wem przez burmistrza Luegera przed parlamentem, ratuszem i uni-wersytetem; — to istotnie mogło-by się wydawać, że zbiegowisko wpłynęło na decyzję cesarza. A jednak tak nie jest. Pominąwszy fakt, że demonstracya nie przybrała wcale groźnych rozmiarów i nie wywiązała się nigdzie bójka pomiędzy tłumem a policją, widzimy, że cesarz już w sobotę wieczorem, powróciwszy z Górnej Austrii do Wie-dnia, był zdecydowany uzielić hr. Badeniemu zażądanej dymissyi. Demonstracya uliczna nie spowodowała dymissyi, ani jej nawet nie przyspieszyła. Hr. Badeni nie stał się ofiarą zbiegowiska ulicznego, lecz tak samo, jak dwaj jego poprzednicy na urzędzie prezesa gabinetu, hr. Ageur Gołuchowski w r. 1860 i hr. Alfred Potocki r. 1881. upadł przedewszystkiem jako ofiara zatargu niemiecko-czeskiego, skompli-kowanego tym razem różnemi innemi trudnościami...

Przypomnijmy sobie, w jakich warunkach b. namiestnik Galicji w jesieni r. 1893 stanął na czele gabinetu austriackiego. Hr. Taaffe od r. 1879 z niepospolitą zręcznością umiał ustępstwami jednać sobie parlamentarne poparcie ówczesnego klubu staroczeskiego, nie wywo-lując jednak gwałtownej opozycyi niemieckiej lewicy, którą kierowali ambitni, ale nie urodzeni wcale na trybunie, eksradca legacyjny Plener i eksminister Chlumecky. Jednakże w r. 1890 hr. Taaffe ujrzał się „au bout de son latin. Niemcy, coraz bardziej rozdrażnieni, opuści-wszy sejm czeski już 28 grudnia r. 1886, grozili wystąpieniem z Ra-dy Państwa. W obozie zaś czeskim dokonywał się przewrót na ko-rzyść skrajnego stronnictwa młodoczeskiego. W takiej krytycznej chwili hr. Taaffe zdołał jeszcze zarówno zagrożonych prądami skraj-nemi wodzów staroczeskich: Riegera, Mattusza i t. d., jak przywódców lewicy niemieckiej: Plenera i Chlumeckiego, skłonić (w styczniu r. 1890) do zawarcia znanej ugody czesko-niemieckiej. Było jednak za późno. Ugoda nie sprowadziła spokoju w Czechach, lecz wywołała jeszcze silniejsze rozjątrzenie, z którego skorzystali młodoczesi, aby (w ogólnych wyborach r. 1891) zdobyć wszystkie mandaty czeskie.

Rok 1892 i początek następnego upłynął na darennych usiłowa-niach hr. Taaffego około wytworzenia w izbie poselskiej większości „umiarkowanej“. Od września hr. Taaffe, który w r. 1879 objął rzą-dy celem zaspokojenia Czechów, widział się zmuszonym ogłosić stan wyjątkowy w Pradze i okolicy. Rozstrojony duchowo i fizycznie, sto-

jący rzeczywiście nad otwartym grobem, uległszy podszeptom złych doradców, hr. Taaffe postanowił zagrać: „Va banque“! Na pierwszym posiedzeniu izby poselskiej po wakacjach (10 października r. 1893) wnosi więc niespodzianie projekt radykalnej *reformy wyborczej*, wprowadzającej w kuryi miejskiej i włościańskiej powszechne głosowanie. Swego czasu staraliśmy się w „Bibliotece“ objaśnić szkodliwość tego projektu. Z innej strony w łamach waszego pisma odezwał się poważny, ale zbyt optymistyczny, głos w obronie owego projektu, nibyto zgodnego z postępek i duchem czasu. Jeżeli jednak rozważymy, jakie żywioły weszły do nowej izby z ustanowionej w r. 1896 nowej 5-tej kuryi powszechnego głosowania, liczącej tylko 72 posłów, to łatwo wzobrazić sobie, co by się stało, gdyby w myśl projektu Taaffego z r. 1893, wybór nie 4-ej, lecz większej części członków izby poselskiej dokonywał się na podstawie powszechnego głosowania. Słowem, Austria nie stoi na takim stopniu rozwoju politycznego, aby można bez zupełnego zrujnowania parlamentaryzmu zaprowadzić tutaj powszechne głosowanie. Projekt Taaffego był fatalnym skutkiem powolnego wyczerpięcia dawnych dyplomatycznych środków rządzenia: miał odwrócić uwagę od sporów narodowościowych, gdy na prawdę każde rozszerzenie prawa wyborczego w Austrii roznamiętnia te spory, które przybierają cechy tem gwałtowniejsze, im niżej schodzimy na drabinie społecznej, w salonach zaznaczają się tylko epigramatami i intrygami, w najszerszych zaś warstwach wyrażają się w walkę... na pięści, noże, nawet bomby dynamitowe.

Było zatem rzeczą naturalną, że wszystkie poważne żywioły izby, pod kierownictwem hr. Hohenwarta, 10 października r. 1893, stanowczo zwróciły się przeciwko Taaffemu. Tak w listopadzie r. 1893 powstał gabinet koalicyjny ks. Windischgraetza, opierający się na większości, złożonej z koła polskiego, klubu konserwatystów i liberalnej niemieckiej lewicy. Ten czysto parlamentarny gabinet w spadku po Taaffem objął stan wyjątkowy w Czechach i projekt reformy wyborczej, który, rzucony z ławy rządowej w wir agitacji ulicznej, już nie mógł zniknąć bez śladu. Formalnie gabinet koalicyjny rozbił się w czerwcu r. 1895 o kwestyę gimnazjum słowiańskiego w Cylei, rzeczywiście zaś o zręczne intrygi biurokratów, którym gabinet szczerze parlamentarny stał kością w gardle. Nastąpił wtedy epizodyczny gabinet biurokratyczny namiestnika ks. Kiehlmanassegga, celem przeprowadzenia uchwały budżetu na r. 1895-ty, co się też powiodło. Tymczasem jednak do dawniejszych kwestyi spornych przybyła nowa, nader drażliwa. W wiedeńskiej radzie miejskiej powoli antysemita zdobyli większość. W maju r. 1895 Lueger wybrany na burmistrza. Rada rozwiązana, rządy miasta poruczono komisarzowi cesarskiemu. We

wrześniu w ponownych wyborach do Rady antysemita zdobywają 92 mandaty przeciwko 46 liberalnym. To wszystko dzieje się przy ogromnem wzburzeniu ludności, demonstracyach ulicznych, krwawych bójkach na zebraniach wyborczych.

Stając więc 1 października r. 1895 na czele gabinetu, hr. Badeni w inwentarzu zastał: 1) namiętny zatarg w Czechach, uwydatniony stanem wyjątkowym w Pradze i obstrukcją posłów młodoczeskich w izbie poselskiej; 2) niezalatwiony projekt reformy wyborczej, dostarczający socyalnej demokracji pretekstu do ciągłych demonstracji ulicznych; 3) spór pomiędzy rządem a antysemitami wiedeńskimi, występującymi w radzie państwa w roli skrajnej opozycji. Nad temi trzema specjalnemi sprawami górowała kwestya odnowienia handlowej i celnej ugody z Węgrami, której parlamentarne załatwienie musiało nastąpić w r. 1897. Zaiste takie trudności mogły odstraszyć każdego kandydata do teki prezesa gabinetu, który-by się powołał ambycją a nie uległością dla woli monarchy i nadzwyczajnem poświęceniem!

Ale hr. Badeni narażał się nadto na inną wyjątkową trudność. O ile wiemy, wówczas zwrócił na nią uwagę jedynie autor niniejszego artykułu w „Przeglądzie“ lwowskim, tudzież kronikarz polityczny „Przeglądu polskiego“. Zaraz po powołaniu hr. Gołuchowskiego na urząd ministra spraw zagranicznych (18 maja r. 1895) radziliśmy, aby koniecznie utrzymać chwiejący się już gabinet koalicyjny, w którym zasiadali Madeyski i Jaworski, ponieważ po owej nominacji, Polak, przyjmując urząd prezesa gabinetu austriackiego, naraził się na wszelkie przeszkody, wynikające z działającej nie otwarcie, lecz po cichu, w ukryciu, ale intensywnie, zazdrości — nie tylko Niemców, ale także wszystkich innych. Zaś kronikarz czasopisma krakowskiego, zaraz po utworzeniu gabinetu hr. Badeniego (w zeszycie październikowym) zauważył: „... Z trudności i niebezpieczeństw zdajemy sobie sprawę dobrze, choć o nich dziś mówić za wcześnie. Jednym z widocznych już dla każdego i niezaprzeczonych jest trzech Polaków na trzech głównych miejscach w rządzie państwa austriackiego. Ci Polacy wchodzić do rządu w najlepszej wierze i najszczerzej, jako słudzy austriackiego Cesarza i państwa: do takiego stanowiska obowiązani są sumieniem i honorem, dotrzymają tego skrupulatnie przez czas swoich rządów. Niemniej ich pochodzenie i nazwiska polskie będą kłóty w oczy wielu i rozpocznie się — już się po części rozpoczęło — głoszenie, że w Austrii rządzą Polacy. Nie ministrowie przypadkowo Polacy, ale polski żywiół. Później może zechce się dodawać, że rządzi polski interes! Wyniesienie tych Polaków na tak wysokie miejsca jest bardzo zaszczytnem i dla naszej narodowej miłości własnej

pochlebne, ale ten honor ma w sobie i niebezpieczeństwo. Uczucie pewnego upokorzenia lub zazdrości może się łączyć z uczuciami i dążnościami stronnictw, stawiać nowemu rządowi trudności i zawady, przed opinią oskarżać rządy *polskie*. Cokolwiek się nie podoba, na Polaków, na naród i kraj zwałać odpowiedzialność, a jak się sposobność nadarzy, pomścić się na nich za to wywyższenie. Polityka jest psychologią, a na ten ważny moment psychologiczny my wiinniśmy zwracać uwagę i z oka go nie spuszczać, choć dziś nowy rząd zdaje się być przez innych przyjętym raczej życzliwie, a przynajmniej uprzejmie, nie niechętnie. Ale to usposobienie, jeżeli nawet nie jest pozornem i udaniem, może nie być trwałem. Tem większy dla nas obowiązek czujnego baczenia, iżby zmiany na gorsze w tem usposobieniu nieczem nie wywołać, ani pozorów do niej nie dostarczyć, ale w ogólnem postępowaniu naszym zachować ten takt i miarę, które dla rządów są poparciem, nie mniej potrzebnem, jak *vota poselskie* w izbach“...

Jak często w ostatnich miesiącach w parlamencie, w prasie i na publicznych zgromadzeniach odzywał się zarzut „rządów polskich“ — chociaż podczas dwóch lat ani razu na porządku dziennym parlamentu nie stawał projekt ustawy specjalnie polskiego lub galicyjskiego interesu — o tem wszyscy wiemy. Trudniej przeniknąć te wszystkie pokątne intrygi, to systematyczne kopanie dołków, te plotki salonowe, któremi zazdrość walczyła poza kulisami. Ale nie będzie zbyt śmiałym domysł, że ta cicha, ukryta akcja, więcej utrudniła pozycję hr. Badeniego, niż burdy publiczne.

Na samym wstępie jednak nowy gabinet doznał powszechnie przychylnego przyjęcia. Może nawet reklama prasy wiedeńskiej grzeszyła przesadą, przedstawiając nowego prezesa gabinetu jako czarodzieja, który „żelazną ręką“ zgniecie wszelkie gady, nagle oczyści stajnię Augiasza i w oka mgnieniu uzdrowi Austryę ze wszystkich zadawnionych, chronicznych chorób. Najdalej w reklamie posuwała się „*Neue Freie Presse*“. Podniósłszy kilkakrotnie nadzwyczajne zdolności hr. Badeniego, skonstatowawszy, że jeszcze żaden gabinet austriacki nie był witany z tak jednomyślnem zadowoleniem, główny organ liberalizmu wiedeńskiego w artykule wstępnym 3 października oświadczył: „Powszechnem jest wrażenie, że na długo prowizorya się skończyły. Nowe ministerium ma fizyognomię całkiem definitywną. Złożony z czerstwych i przywykłych do pracy ludzi, gabinet ten nie będzie zbyt wrażliwym na polityczne i parlamentarne szturchańce, na które narażonem jest każde ministerium austriackie, łatwo nie da się zużyć nieuniknionemi frykcyami ze stronnictwami. Tak zwane „wielkie gabinety“ zwykle trwają krótko. Ale ministerium, nie złożone wy-

łącznie w celu uroczystości parlamentarnych, lecz dla codziennych potrzeb państwa, ceniące wyżej prawidłową, państwową służbę, niż polityczny rozgłos, jest zwykle trwalszem i łatwiej się opiera przeszkodom. Do tej kategorii zdaje się należeć nowy gabinet. Zwłaszcza sam jego prezes sprawia wrażenie męża, który ani ze złego humoru, ani z rozczarowania nie ustąpi ze swego miejsca i nie pozwoli się zepchnąć z niego namiętną opozycją... Świeżo cesarz b. namiestnikowi Galicyi w odrębnem piśmie wypowiedział uznanie i zaufanie w sposób tak dobitny, jak rzadko któremu austriackiemu mężowi stanu. Ile wiemy, dotąd żaden prezes gabinetu na samym wstępie nie otrzymał równie demonstracyjnych dowodów zaufania i łaski korony. Jeżeli dobrze rozumiemy to pismo, wystawia ono prezesowi gabinetu świadectwo, że nie jako reprezentant większości, nie jako osobisty wyraz pewnego stronnictwa lub programu stronnictwa, ani nawet jako pośrednik pomiędzy stronnictwami, lecz jako organ władzy cesarskiej stanie przed parlamentem, a w potrzebie przeciwko niemu“...

Po-za wszystkimi podobnemi wynurzeniami liberalnej prasy tu-tejszej ukrywała się nadzieja i życzenie, aby nowy prezes gabinetu „żelazną ręką“ poskromił zwycięski ruch antysemitki. Z trzech wymienionych powyżej kwestyi, które hr. Badeni objął w inwentarzu po swych poprzednikach. wiedeńsko-antysemitka pierwsza stanęła na porządku dziennym. Ona tworzy jakoby nagłówek pierwszego, obejmującego 6 miesięcy, rozdziału rządów hr. Badeniego. Ona też znacznie oddziaływała na dalsze losy gabinetu.

Zestawmy przedewszystkiem nagie fakta. Dnia 29 października r. 1895 zbiera się wybrana we wrześniu rada miejska i 93 głosami (mniejszość liberalna oddała 44 białe kartki) obiera burmistrzem d-ra Karola Luegera. Przed ratuszem gęste tłumy czekały rezultatu wyboru, witają go grzmiącemi okrzykami, rozpędzone ostatecznie przez strażników. Dnia 6 listopada, komisarz cesarski, Friebeis, oznajmia radzie, że wybór d-ra Luegera nie uzyskał zatwierdzenia monarchy. W różnych dzielnicach, zwłaszcza przedmiejskich, wieczorem odbywają się uliczne demonstracje przeciwko decyzji cesarskiej. Na posiedzeniu izby poselskiej, 8 listopada. antysemitki i policya niemiecka narodowa (Steinwender) wnioskami nagłącemi wzywają rząd, aby wyluszczył powody, dla których nie zalecił monarsze zatwierdzenia wyboru d-ra Luegera na burmistrza? Skonstatowawszy absolutne prawo rządu zatwierdzenia lub niezatwierdzenia wyboru burmistrza, hr. Badeni dodał: „Zdaniem rządu i według ducha ustaw, votum większości rady miejskiej nie może być uwzględnione, jeżeli nie jest niewątpliwą rękojmnia ściśle objektywnego, przedmiotowego, wolnego od wszelkiej

agitacyjnej tendencji, równie sprawiedliwego dla wszystkich warstw ludności i szanującego władzę państwową kierownictwa sprawami miejskimi. Ponieważ takiej rękojmi niedostawało, rząd odmówił potwierdzenia wyboru“. Po gwałtownych mowach antysemitów, izba 118 głosami przeciwko 64 odrzuciła wnioski naglące. Z antysemitami głosowali wtedy młodocześni i członkowie katolickiego stronnictwa ludowego, o ile byli obecni w izbie poselskiej. Była to pierwsza gwałtowna burza parlamentarna za rządów hr. Badeniego.

Dnia 13 listopada odbywa się ponownie wybór burmistrza. Lueger wybrany 92 głosami przeciwko 45, po czym komisarz cesarski wygłasza rozwiązanie rady. Dnia 16-go listopada antysemita wywołują nowe burze w parlamencie, powtarzając je odtąd nieustannie tam, a potem w sejmie dolnorakuskim. Na posiedzeniu sejmowym 10 stycznia adjutant Luegera, Gregorie, oświadcza: „Mówią, że w parlamencie nie można dostąpić niczego; sądzę inaczej. W parlamencie można osiągnąć wszystko, byle pożyczyc ministrowi 20,000 fl., a wtedy wszystko jedno, czy on się nazywa Pino, czy Badeni“. Po zebraniu się rady państwa (15 lutego 1896), ponawiają się skandale antysemickie w izbie poselskiej. W ostatnich dniach lutego i pierwszych marca odbywały się wybory do rady miejskiej. Antysemita odnoszą stanowcze zwycięstwo. Dnia 18 kwietnia Lueger obrany burmistrem 96 głosami przeciwko 42. Dnia 27 kwietnia, Lueger, za pośrednictwem prezesa gabinetu otrzymuje posłuchanie u cesarza, który mu oświadcza, że „na teraz“ nie może zatwierdzić jego wyboru, ale uznaje jego patryoty czne dążności. Wskutek tego p. Lueger zadawałnia się urzędem pierwszego wiceprezydenta, gdy na kieżle burmistrza zasiada, jako fig urant, Strobach (6 maja 1896). W marcu r. z. Strobach rezygnuje, Lueger za przyzwoleniem cesarza zostaje burmistrem.

W całym przebiegu tej sprawy nie można się dopatrzeć żadnej anormalności. Rząd, patrząc na tę kwestyę wyłącznie ze stanowiska interesu ogólnego, w listopadzie r. 1895 miał ważne powody odmówić zatwierdzenia wyborów d-ra Luegera, który w parlamencie i po-za parlamentem występował w roli warcholskiego demagoga. Burmistrz w Austrii nie jest jedynie przewodniczącym rady miejskiej, lecz spełnia różne państwowe funkcyje tak zwanego „poruczonego zakresu działania“ (uebertragener Wirkungskreis), jest więc poniekąd organem rządowym. Zachodziła najpoważniejsza wątpliwość, czy te funkcyje można powierzyć d-rowi Luegerowi? Rząd wtedy pono radził stronnictwu liberalnemu, aby w sejmie dolnorakuskim przeprowadziło zmianę statutu stolicy w tym kierunku, aby nadal pierwszy burmistrz był mianowany przez cesarza. Stronnictwo liberalne ze skrupułów doktry-

nerskich nie odważyło się na taką reformę. Tymczasem nowe wybory sprowadziły jeszcze znaczniejszą większość antysemityczną i nie było najmniejszej oznaki, aby się zanosilo na zwrot w usposobieniu ludności. W takim razie nie pozostawało nic innego, jak przystać na burmistrzostwo d-ra Luegera, zwłaszcza, że różni jego wpływowi przyjaciele nie omieszkiwali ręczyć za jego poprawę, usatkwowanie, patriotyzm (który w ostatnich dniach rządów hr. Badeniego uwydatnił się w bardzo podejrzaniem świetle).

Bądź co bądź, to intermezzo wywarło dwojaki ujemny skutek. Najprzód, w pierwszym półroczu rządów hr. Badeniego, owe masy drobnych przemysłowców i urzędników, którzy tworzą główny korpus armii Luegera, przywykli do namiętych deklamacji przeciwko hr. Badeniemu, przypisując potem zwycięstwo Luegera swym demonstracyom ulicznym i parlamentarnym. To też oni w końcu dostarczyli bardzo znacznego kontyngensu dla rozruchów przed parlamentem, a sam Lueger w stanowczej chwili przerzucił się w parlamencie ze swą frakcją na stronę skrajnej opozycyi. Powtóre, od chwili owej audyencyi Luegera u cesarza, tutejsza prasa liberalna dokonała natychmiast zwrotu przeciwko Badeniemu. Prasa ta nie ma żadnego politycznego znaczenia. Mianowicie byłoby błędem przypisywać jakibądź wpływ takiej „Neue Fr. Presse“. Opozycya niemiecka w nowym parlamencie składa się przeważnie z antysemitów, których nie mogło zrażać potwierdzenie Luegera na urządzie burmistrza. Ale pośrednio ów zwrot prasy liberalnej przeciwko hr. Badeniemu, nieustanne wyszydzanie „żelaznej ręki“, która nie zdołała poskromić Luegera, systematyczne podkopywanie powagi rządu, trzeba zaliczyć także do owych „inponderabiliów“, które się przyczyniły do utrudnienia położenia hr. Badeniego. „La politique est la fatalité“ — powiedział Napoleon I-y w Erfurcie do Goethego. Fatalnem było zrządzeniem, że hr. Badeni zastał tę kwestyę wiedeńsko-antysemityczną, której rozwiązanie w sposób całkiem pomysłny było rzeczą wprost niemożliwą.

Drugą fatalność stanowiła *reforma wyborcza*. Parlamentarne jej załatwienie odbyło się dziwnie gładko. Projekt rządowy, zakomunikowany izbie 15-go lutego r. 1896, odesłany do komisji 21 lutego, dnia 7 maja został uchwalony w trzecim czytaniu ogromną większością 234 głosów przeciwko 19; dnia 28 maja izba panów przystąpiła do uchwały izby poselskiej, dnia 25 września nowa ustawa pojawiła się w dzienniku rządowym z podpisem monarchy. Skoro w chwili lekkomyślnego rozdrażnienia hr. Taaffe z góry poruszył kwestyę rozszerzenia praw wyborczych, nie pozostawało nic innego, jak utworzyć nową, 5-tą kuryę, opartą na powszechnem głosowaniu, wybierającą 72 posłów. Być nawet może, iż z czasem ten ogromny zastęp nowych wyborców usatku-

je się. Ale pierwsza próba wypadła bardzo nieszczególnie i to właśnie niezmiernie utrudniło zadanie hr. Badeniego.

Przedewszystkiem wśród obdarzonych nagie prawem wyborców mas, składających się w znacznej części monarchii z analfabetów rozwinęła się szalona agitacya, używająca środków, które-by trzeba nazwać śmiesznemi, gdyby nie zasługiwały raczej na nazwę potwornych. Nie tylko przesadnemi obietnicami, któremi zawsze hojnie szafują niesumienni agitatorowie, ale najniedorzeczniejszymi plotkami, „arabskimi bajkami“, któremi przed 3 lub 4 wiekami wywoływano rokosze chłopskie, udało się w Austrii tak roznamiętnić pierwsze wybory na podstawie powszechnego głosowania, że odbywały się przy najohydniejszych gwałtach, zabójstwach, plądrowaniu przeciwników politycznych (zwłaszcza w Istrii), a w Wiedniu jedynie pogotowie całej załogi zapobiegło krwawemu starciu. To roznamiętnienie, wywołane sztucznie w 5-ej kuryi, ogarnęło także włościańską i miejską, a przy dawnych nienawiściach plemiennych torowało wszędzie drogę żywiołom skrajnym.

Że tym sposobem weszło do Izby poselskiej 14 socyalistów, to samo przez się nie było-by nieszczęściem. Z góry byliśmy wszyscy przygotowani na to, że w parlamencie austriackim pojawi się partya socyalistyczna. Ale pod firmą socyalistów weszli do parlamentu ludzie bardzo odmienni od tych niemieckich teoretyków-filistrów socyalizmu à la Bebel albo Liebknecht, których najskrajniejszy czyn opozycyjny polega na tem, że nie powstają z ław, gdy prezydent wygłasza tradycyjne „Hoch“ dla cesarza. Nawet gorętsi socjaliści francuscy i włoscy nigdy w tamtejszych parlamentach nie posuwali się tak daleko, jak austriacy, — nie szturmowali prezydium. W innych parlamentach socjaliści z wolności trybuny korzystają celem propagandy swych teorii, czy mrzonek. Tutaj, zaledwo się dostali do parlamentu, zachowali się tak, jak gdyby systematycznie dążyli do jego wysadzenia w powietrze.

Oprócz socyalistów najwięcej skorzystali z wyborów antysemitów wiedeńscy, którzy w dawnej izbie posiadali tuzin mandatów, w tegorocznych wyborach zdobyli 28, tudzież frakcyja niemiecko-narodowa (zresztą także antysemitka), która z 18 członków wzrosła na 40. Wreszcie pojawiła się w izbie po raz pierwszy „radykalno-niemiecka“ frakcyja, złożona wprawdzie tylko z 5 członków (Schoenerer, Wolf, Iro, Tueck i Kiltel) ale która umiała narobić sama więcej hałasu, niż dawniej cała niemiecka lewica o 100 posłach.

To też zaraz na pierwszym posiedzeniu (30 marca), jeszcze przed wyborem prezydenta, na tle wniosku naglącego w sprawie uwięzionego pod zarzutem obrazy majestatu posła włościanina Szajera, bardzo wyraźnie zaznaczył się fakt, że w nowej izbie znajduje się nowy rady-

kalny, brutalny czynnik, podszyty barbarzyństwem, który elementarną siłą nie tylko pociąga za sobą pokrewne mu żywioły, ale narzucić się może izbie, zanim się ona upamięta, i pociągnąć ją do zapewnienia mu zwycięstw, choć na razie mało znacznych, przecież mających niebezpieczne, moralne następstwa⁴, — jak trafnie zauważył w owych dniach jeden z dzienników krajowych. Ten nastrój radykalny, który zakłócił pierwsze posiedzenie nowej izby, rozwijając się stopniowo do potwornej gwałtowności, sprowadził ostatecznie katastrofę.

Byłoby zresztą błędem sądzić, że wybory jedynie lewicy przysporzyły czynników radykalnych. Ewolucya ta dotknęła także prawicę; Koło polskie, o tyle, że po raz pierwszy aż 11 posłów, zrywając dawną solidarność narodową, stanęło po za niem przeciwko niemu (6-ciu Stojałowczyków, 3 t. zw. ludowców i 2 socyalistów). Klubowi młodoczeskiemu przybyło posłów młodych, gorących, nie przestrzegających zbyt skrupulatnie form parlamentarnych (włóścian i drobnych przemysłowców), a także frakcy słoweńsko-chorwacka zasilila się ludźmi nowymi „ostrego tonu“. Gdyby nie to, nie można-by sobie wytłomaczyć, jakim sposobem walka parlamentarna drogą obstukcyi i brutalnych obelg ustnych wyrodziła się ostatecznie w pospolitą bijatykę na pięści i noże, do czego zawsze potrzeba przynajmniej dwóch!

Samo zresztą nagłe powiększenie liczby posłów o 72, tudzież wejście do izby znacznego zastępu nowych ludzi, nie związanych dawnem koleżeństwem i tradycją parlamentarną, nie znających się nawet osobiście¹⁾, podniosło wojowniczą temperaturę. Aby zapanować nad nią, potrzeba było przedewszystkiem prezydenta, posiadającego niepospolite kwalifikacye na ten urząd. Prezydent tak poważny, jak Brisson, albo tak dowcipny i cięty, jak zmarły niedawno Floquet, byłby zdołał nawet w takiej izbie zabezpieczyć porządek obrad. Izbie austriackiej przewodniczyli z kolei ludzie o wybitnem stanowisku społecznem, o niepospolitych zdolnościach, wielkich zasługach, lub imponującej powadze osobistej, jak np. Kaiserfeld, Smolka, baron Chlumecy. Tymczasem obrany 6 kwietnia prezydentem d-r Kathrein, adwokat podrzędny i burmistrz miasteczka Hall w Tyrolu, zawdzięczał tę godność jedynie okoliczności, że prawica pragnęła koniecznie osadzić na krześle prezydenta Niemca, a frakcy katolicko-nie-

¹⁾ Jeszcze śród ostatnich listopadowych burz wydarzało się, że zapalnicy nagabywali się wzajemnie słowami: „nie znam pana, jak się pan nazywasz“, i stąd też pochodzi, że mylnie wymieniano rzekomych uczestników w bijatykach, np. Potoczka, którzy na prawdę nie brali w nich udziału.

miecka nie miała stosowniejszego kandydata na tę posadę. Nie obdarzony szczególnymi zdolnościami, ani imponującą postawą, p. Kathrein, choć zasiadał w izbie od r. 1883, nie zajął w niej wybitnego stanowiska. Zresztą człowiek zacny, prawy autonomista, o delikatnem poczuciu legalności, p. Kathrein wstępował na krzesło prezydenta z najlepszymi zamiarami. Ale w miarę, jak coraz wyraźniej zaznaczała się niedostateczność regulaminu, uchwalonego w epoce innych pojęć o przyzwoitości parlamentarnej, a zwłaszcza w miarę wystąpienia na pierwszy plan zatargu czesko-niemieckiego, p. Kathrein coraz bardziej zniechęcał się do swego urzędu ¹⁾. Gdy ostatecznie p. Abrahamowicz, od 26 paźdz. jako wiceprezydent, od 12 listopada jako prezydent usiłował zabezpieczyć prawidłową funkcję parlamentu, było za późno, bo roznamiętanie powoli przybrało zbyt groźne rozmiary. A co najgorsza, wybór p. Abrahamowicza, wbrew ostrzeżeniom najpoważniejszych członków koła, dostarczył opozycyi wygodnej sposobności do nowych deklamacyi o „rządach polskich“, o przywłaszczaniu sobie przez Polaków wszystkich wybitnych posad w państwie etc., a więc pośrednio zwiększył trudności, z którymi przyszło walczyć hr. Badeniemu.

Najglówniejszą i tą, która rzeczywiście spowodowała upadek gabinetu hr. Badeniego, była kwestya *czesko-niemiecka*. Germanizacya w Austrii stanęła na swym szczycie w epoce rządów Bacha (1849 — 1859). Wtedy język niemiecki panował w urzędzie i w szkole od Bregencyi do Koloswaru, od Krakowa do Tryestu. Ideał, do którego zmierzał Józef II na końcu zeszłego stulecia, zdawał się być rzeczywistym. System ten germanizacyjno-centralistyczny runął na pobojowiskach włoskich, pod Magentą i Solferinem. Mianowany w miejsce Bacha ministrem spraw wewnętrznych hr. Agenor Gołuchowski przygotował przywrócenie samorządu Węgier. Dokonała tego zwrotu ugoda austriacko-węgierska z r. 1867. Od razu więcej, niż połowa monarchii (bo obszar Węgier wynosi 325,000 kilometrów kwadratowych, Austrii zaś 300,000) usunęła się z pod wszelkiego wpływu niemieczyzny. W trzech latach następnych, wskutek znanych rozporządzeń, dotyczących języka urzędowego i organizacyi szkół, znikła także sztuczna, nie-

¹⁾ Nazwać jego ustąpienie „ucieczką“ byłoby niesprawiedliwością. P. Kathrein otwarcie oświadczył, że celem zapewnienia normalnej funkcji parlamentu, potrzeba zmiany regulaminu w legalnej drodze. Skoro się większość nie zabrała do tego, p. K. ustąpił. Do zmiany regulaminu w sposób doraźny i nielegalny nie chciał przyłożyć ręki. Ostatecznie pokazało się, że taka zmiana regulaminu (lex Falkenhayn) mogła tylko przyspieszyć katastrofę.

miecka fizyognomia Galicyi. W r. 1870 degermanizacya w całej wschodniej części monarchii była dokonana ¹⁾. Na tę ewolucyę Niemcy zgodzili się stosunkowo łatwo z dwóch powodów: 1) ani w Węgrzech, ani w Galicyi nie znajdował się stosunkowo poważny zastęp miejscowej ludności niemieckiej, na którym mogła się oprzeć germanizacya; 2) te dwa kraje prawnopolitycznie nie należały nigdy ani do dawniejszego cesarstwa niemieckiego, ani do późniejszej rzeszy niemieckiej. I zgodzili się tem łatwiej na degermanizacyę w Węgrzech i Galicyi, ponieważ spodziewali się, że tem pewniej zdołają utrzymać swą plemienną przewagę w tak zwanych staroaustryackich prowincyach, a więc przede wszystkim w Czechach i w Morawii.

To też usiłowania hr. Alfreda Potockiego (1870) i hr. Hohenwarta (1871), zmierzające do złamania dawnej przewagi niemieckiej w tych prowincyach, wywołały po stronie niemieckiej gwałtowny opór, skutecznie poparty zakulisową interwencyą dworu niemieckiego na zjeździe ces. Franciszka Józefa z Wilhelmem I w Gasteinie (odnośne szczegóły zawierają pamiętniki hr. Beusta) a po części także protestem Węgrów (Andrassego). W grudniu r. 1871 po upadku hr. Hohenwarta nastąpił gabinet liberalno-centralistyczny ks. Adolfa Auersperga, który rządził aż do początku r. 1879, i jak się zdawało, na długo, jeżeli nie na zawsze, zabezpieczył przewagę niemiecką w Czechach. Czesi w tym czasie świecili nieobecnością tak w Radzie państwa, jak w sejmie krajowym.

Objęcie rządów przez hr. Taaffego (12 sierpnia r. 1879) oznacza nową fazę kwestyi czesko-niemieckiej. Aż do r. 1879 Czesi domagali się stanowczej zmiany konstytucyi. Hr. Taaffe przekonał ich, że na mocy przyjaznego wykonania § 19 go konstytucyi, zabezpieczającego równouprawnienie narodowości, mogą łatwiej i pewniej dostąpić najważniejszych zdobyczy narodowych. Cała sztuka zasadzała się na tem, aby, bez narażenia konstytucyi, zadawałniam powoli Czechów różnemi ustępstwami, nie wywołując gwałtownego, solidarnego i rozpaczliwego oporu Niemców, nie stawiać w miejsce opozycyi czeskiej niebezpieczniejszej irredenty niemieckiej.

W tej sztuce hr. Taaffe okazał się mistrzem niezrównanym. W ciągu 7 lat zdołał zupełnie złamać przewagę niemiecką w Czechach. Akcja ta rozpoczęła się powołaniem do gabinetu Morawianina Prażaka.

¹⁾ Porównać „Kwestya językowa w Austrii“ przez autora niniejszych uwag w „Bibliotece Warsz.“ zeszyt marcowy r. 1884.

jako pierwszego ministra dla Czech. W roku następnym, 29 kwietnia, pojawiają się rozporządzenia, przeprowadzające zupełne równouprawienie w sądach, tak, że odtąd w całych Czechach, także w okręgach czysto niemieckich, Czech mógł pozywać, odpowiadać, względnie zeznawać w języku czeskim. W r. 1881 w miejsce b. namiestnika barona Webera, reprezentanta dawnego systemu niemieckiego, mianowany general Krauss, zaliczający się do Czechów. Niedługo potem (5 listopada) hr. Schoenborn, należący do czeskiej szlachty feudalnej, mianowany namiestnikiem Morawii. W r. 1882 powstaje pierwszy uniwersytet czeski, bo dawny, założony przez Karola IV w 14-tym stuleciu pierwotnie był łacińskim, a z czasem stał się niemieckim. W wyborach do sejmku krajowego (1883 r.) wpływ rządu na kurję wielkich posiadłości, której 70 posłów rozstrzyga o większości sejmku, sprawia, że sejm staje się przeważnie czeskim. Na krześle marszałka krajowego zasiada ks. Lobkovic, rząd krajowy przechodzi w ręce Czechów. W r. 1885 rozporządzenie ministeryalne łamie dawną przewagę niemiecką w 3 izbach handlowych. W r. 1886 rozporządzenie ministra sprawiedliwości przeprowadza zupełne równouprawienie w najwyższym sądzie krajowym.

Tak w ciągu krótkiego czasu hr. Taaffe zdołał Czechom zapewnić niewątpliwą przewagę w kraju. Ale też swój system, t. j. sztukę zadawalniania Czechów bez wywołania gwałtownego oporu Niemców, „wycisnął do ostatniej kropli, tak, że nic z niego nie zostawił następcom, prócz łupiny“,—jak temi dniami zauważył trafnie jeden z wielbicieli dawnego prezesa gabinetu. Gdy 22 grudnia r. 1886 posłowie niemieccy wystąpili z sejmku czeskiego, a zagrozili opuszczeniem Rady Państwa, hr. Taaffe widział się zmuszonym zatrzymać się na drodze, po której tak szczęśliwie kroczył przez 7 lat. Usiłował odtąd, że się tak wyrazimy, unieruchomić kwestyę niemiecko-czeską. Temu celowi miała służyć ugoda, zawarta pod auspicjami rządu, w styczniu roku 1890. Tymczasem jednak w obozie czeskim zwyciężył ruch młodoczeski. Skończyło się zatem wprowadzeniem stanu wyjątkowego (we wrześniu r. 1893) i przejściem klubu młodoczeskiego do stanowczej opozycji w Radzie Państwa.

Taką sytuację zastał hr. Badeni, obejmując rządy w ostatnich dniach września 1895. Żywiąc oddawna szczerą życzliwość dla Czechów, pragnął ile możności uczynić zadość ich aspiracyom narodowym. Pośpieszył więc znieść stan wyjątkowy w Pradze i usunąć namiestnika hr. Thuna, który wprawdzie należy do tak zwanej historycznej czechofilskiej szlachty, ale, sprawując swój urząd od września r. 1889 w najburzliwszych czasach, naraził się młodoczechom. Tymczasem głównem zadaniem nowej Izby poselskiej miało być odnowienie ugody handlowej z Węgrami.

W tym celu rząd uważał jako rzecz konieczną zjednać sobie głosy klubu młodoczeskiego. Tak na podstawie osobistej życzliwości dla Czechów, a zarazem i potrzeb parlamentarnych, powstały znane—*rozporządzenia językowe* z 5 kwietnia r. z.

Dla nieobeznanych dokładnie ze stosunkami w Czechach liczne paragrafy tych rozporządzeń są hieroglifami, których nie podobna odczytać. To też najczęściej treść ich zbywa się frazesami, ogólnikami. Do rzędu takich ogólników należy ten, że dopiero te rozporządzenia zabezpieczyły Czechom prawo używania swego języka w sądach i urządach. To prawo Czesi posiadają od dawna, a rozporządzenia z roku 1880 i 1888 w tym względzie zabezpieczyły zupełne równouprawnienie. W całych Czechach już w r. zeszłym nie było żadnego sądu i żadnego urzędu, ani w czysto niemieckich okręgach, w których-by Czech nie mógł podać skargi lub prośby w swym języku i nie otrzymał odpowiedzi, względnie wyroku, w tymże języku.

To, co wywołało namiętny opór Niemców, zasada się na tem, 1) że według rozporządzeń kwietniowych wszyscy urzędnicy sądowi i administracyjni muszą na przyszłość władać obydwojma językami krajowemi; 2) że proces we wszystkich instancjach powinien się toczyć wyłącznie w tym języku, w którym został rozpoczęty. Pierwszy przepis opiera się na historycznej zasadzie jedności Czech. Ale Niemcy twierdzą, że tak ściśle przeprowadzona dwujęzyczność wyłącza ich od urzędów nawet w czysto niemieckich okręgach, ponieważ Niemcom nie tak łatwo nauczyć się po czesku, jak na odwrót, ponieważ urzędnik Niemiec, choćby się nauczył języka czeskiego, to, nie mając w czysto niemieckim okręgu sposobności używać go, łatwo go zapomni i t. d. W drugim przepisie dopatrują się środka Czechizacyi niemieckich okręgów. Wystarczy bowiem, tak mówią, aby w Libercu lub Chebie sporadyczny Czech rozpoczął proces po czesku, a wtedy strona niemiecka (świadcowie i t. d.) będzie zobowiązana albo odpowiadać po czesku, albo też, nie odpowiadając, narazić się na przegraną. Oto merytoryczne powody oporu Niemców. Pod względem formalnym zaś zarzucają rozporządzeniom, że wszelkie kwestye sporne powinny być uporządkowane drogą układów obu narodowości krajowych, względnie za pomocą ustawodawstwa, nie zaś drogą rozporządzeń ministerjalnych.

Dokładniejsze wyjaśnienie tej kwestyi wymagało-by zanadto miejsca. O podobnych pociągnięciach na szachownicy politycznej ostatecznie rozstrzyga zawsze — sukces. Otóż w danym razie sukces nie dopisał. Bo te rozporządzenia nie tylko nie umożliwiły uchwalenia ugody z Węgrami, ale, niestety, spowodowały upadek gabinetu hr. Badeniego. Najznakomitszy mąż stanu nie może sam przeniknąć wszystkich szczegółów administracyi, zwłaszcza tak skomplikowanych

jak w Austrii. Musi więc mniej więcej zaufać doradcom. Zasada, w imię której hr. Badeni wydał rozporządzenie, była słuszna. Nie ulegało też wątpliwości, że rząd owemi rozporządzeniami zjedna sobie poparcie młodoczechów w Radzie Państwa. Ale doradcy widocznie w błąd wprowadzili prezesa gabinetu co do efektu, jaki ta akcja wywołała po przeciwnej stronie. Zapewniano go, że w niemieckich okręgach Czech — jedynie w tych — powstanie wprawdzie wrzawa, która jednak niebawem przycichnie, i że posłowie niemieccy będą w parlamencie deklamowali, ale nie posuną się nigdy do oporu przeciw odnowieniu ugody z Węgrami. Optymiści opierali swe wnioski na doświadczeniach z pierwszych lat panowania Taaffego, ale nie widzieli dwóch rzeczy, najprzód: że hr. Taaffe „wycisnął swój system do ostatniej kropli“, powtóre, że dawna niemiecka lewica znikła z widowni, a w jej miejsce weszły do nowej Izby przeważnie radykalne żywioły, gotowe nie tylko do obstrukcyi i do pojedynków, ale nawet do bójki na pięści. Zamiany hr. Badeniego były najzaciejsze, jak to wyznał cesarz w pochlebnem odręcznem piśmie pożegnalnem. Pragnął zaspokoić narodowe żądania Czechów i załatwić pomyślnie najważniejsze sprawy państwowe, na których czele stało odnowienie ugody z Węgrami. Że nie powodował się żadną apriorystyczną nienawiścią do Niemców, świadczą o tem wszystkie jego przemowy w parlamencie od pierwszej (20 października 1895) do ostatniej (12 listopada r. b.). W Austrii nie można opierać rządów wyłącznie ani na Niemcach, ani na Słowianach. Zabawki statystyczne nie stanowią podstawy wytrawnej polityki. Zdrowy system rządowy w Austrii oprócz można tylko na słusznem uwzględnieniu wszystkich narodów, w miarę historycznej i społecznej dojrzałości każdego. A główna sztuka zasadza się na tem, aby żadnego z nich nie popchnąć na drogę rozpaczliwego oporu. Bo w takim państwie, przy ciągłym ścisłym oddziaływaniu plemiennych pokrewieństw za granicą, każda licebna mniejszość narodowa może zagrozić całości największymi niebezpieczeństwami. To też nie ulega żadnej wątpliwości, że hr. Badeni zamierzał wyświadczyć przysługę Czechom, nie wyrządzając krzywdy Niemcom. Oświadczył to kilkakrotnie uroczyście, a szczerze w parlamencie, oświadczał poufnie posłom niemieckim, a same ponawiane nieustannie usiłowania, aby przynajmniej frakcyę niemieckich wielkich właścicieli uzyskać dla większości parlamentarnej, jako też programowa mowa, wygłoszona 16-go grudnia w Busku w odpowiedzi na adres szlachty, dowodzą dostatecznie, że hr. Badeni nie miał na myśli żadnej systematycznej akcyi przeciwko narodowości niemieckiej. Trzeba to podnieść dobitnie, bo jak jest rzeczą niemożliwą, aby kierujące stanowisko w monarchii zajął niemiecki mąż stanu, który-by za-

powiadał walkę Niemców przeciwko Słowianom, tak samo nie mógł-by go zająć mąż stanu, który-by wzywał Słowian do walki z Niemcami. A zawód publiczny hr. Kazimierza Badeniego oczywiście nie skończył się na zawsze!

Świadczy o tem odręczne pismo, w którym cesarz w najpoehlebniejszych słowach uznaje znaczne zamiary b. prezesa gabinetu, — równie zaszczytne, jak pismo, którym monarcha we wrześniu r. 1895 podniósł zasługi hr. Badeniego, zaskarbione na urzędzie namiestnika. Świadczą o tem nadzwyczajne owacy, któremi w kraju witano powracającego z Wiednia rodaka. W Austrii prezesowie gabinetu zużywają się bardzo łatwo i zupełnie znikają z Wiednia. Od r. 1860 z licznych ministrów tylko jeden hr. Taaffe dwa razy był prezesem gabinetu. Jeden hr. Hohenwart, ustąpiwszy z urzędu prezesa gabinetu, potem przez 20 lat odegrał pierwszorzędną rolę parlamentarną, jako *leader* prawicy autonomicznej. Liczne oznaki zapowiadają, że także hr. Badeniego czeka jeszcze w przyszłości ważne zadanie.

Na teraz nie było innego sposobu położyć końca brutalnym walkom parlamentarnym, jak utworzenie gabinetu neutralnego, czysto urzędniczego, i odroczenie parlamentu, aż się uspokoją namiętności stronnice. Jak długo trwać będzie to parlamentarne interregnum? — trudno przewidzieć, bo to zależy wyłącznie od stronnictw, mianowicie czeskiego i niemieckiego. „La part est grande que jouent dans les questions politiques les rancunes personnelles, l'entêtement, le point d'honneur“ — zauważył słusznie dziejopisarz francuski. Dla tego nigdy logicznym sposobem nie można obliczyć ewolucyi stronnictw politycznych. To tylko jest rzeczą pewną, że nowy prezes gabinetu, który dojrzewał w szkole Taaffego, baron Gautsch von Frankenthurn, posiada jedną z głównych zalet męża stanu — cierpliwość i zimną krew. Dzięki tym przymiotom może przeczeka opór stronnictw, które wcześniej, niż gabinet szefów sekcyi, sprzykrzą sobie bezrobocie parlamentarne.

Aby w postawie koła polskiego zaszła stanowcza zmiana, nie sądzę. Koło od początku epoki konstytucyjnej, a więc od r. 1861, zawsze miało program autonomiczny i było zawsze gotowe do wspólnego działania z innymi stronnictwami autonomicznymi, tak słowiańskimi, jak niemieckimi. Z drugiej strony nie posuwało się nigdy do tego, aby opozycję rozciągnąć do spraw ogólnego interesu państwowego, jakim np. jest odnowienie ugody handlowej z Węgrami, uchwalenie budżetu, dostawa rekrutów i t. d. Te dwa pierwiastki i nadal stanowiąc będą podstawę parlamentarnej polityki koła. Może mianowany świeżo ministrem dla Galicyi, były wicenamieśnik tamtejszy, sędziwy baron Loebli, nie zdoła zapewnić równie ścisłego stosunku koła z gabinetem, jakby go był zabezpieczył który z wybitnych posłów, przyjmując urząd

ministra dla Galicyi. W każdym razie sam fakt szybkiego obsadzenia tego urzędu, który od r. 1871 stał się już trwałą instytucją państwową, świadczy, że nowy prezes gabinetu pragnie szczerze utrzymać najprzyjaźniejsze stosunki z kołem. Zresztą ze strony najpoważniejszych organów opinii publicznej w kraju nowy minister Loebel doznał pochlebnego przyjęcia. A przedewszystkiem nie można przeoczyć, że najpierwsze stanowisko rządowe w monarchii zajmuje hr. Gołuchowski,— sam ten fakt ręczy za to, że dopóki nowy gabinet austriacki pozostanie rzeczywiście neutralnym, kolo nie przerzuci się w stanowczą opozycję.

E. LIPNICKI.

Arnold Böcklin.

Sylwetka jubileuszowa.

Dzisiejszy człowiek, przeciętnie inteligentny, „dobrze poinformowany“ w dziedzinie praktycznego poznania, stoi najwyżej w porównaniu z ludźmi wszystkich innych epok historycznych.

Nieprzebrane zapasy doświadczenia, wygrzebane skrzętnie z popiołów przeszłości, i cały nawał coraz to nowych zdobyczy, które u stóp jego składa teraźniejszość, pozwalają mu schylić się tylko, aby bez trudu wybrać z całości część mu potrzebną. A jednakże ta łatwość, z jaką człowiek dzisiejszy czerpać może z nagromadzonych wiadomości praktycznego poznania, nie jest tak nieszkodliwą, jakby się na pozór zdawało. Z każdą nową zdobyczą pęka jedna nić z wielkiego pasma jakim istota nasza złączona jest z przyrodą. Wszelki nowy błysk uświadomienia opłacić trzeba stopniowym zanikiem potężnego instynktu natury, z którym na świat przychodzi każda żywa istota.

I oto człowiek dzisiejszy, ciekawy, dumny, śmiały, nurtujący w odwiecznych tajemnicach, by poznać wszystko i wszystkiemu owdładnąć, posuwający swój zbiorowy egoizm do żądz, by wszystkie prawa przyrody sprowadzić do jednego celu: maximum pożytku i wygodę dla siebie.—ten człowiek staje się maszyną, świadomą praw swoich i swej potęgi. Przekształcając lądy, ujarzmiając morza, drogo opłaca swoje zdobycze; a zwycięstwa jego — to zwycięstwa prawie że Pyrrusowe.

Za miskę soczewicy sprzedał miłość matki — przyrody, i nawet jako istotny król stworzenia, spojrzawszy na nieskończony przedział, jaki się ciągnie między jego pragnieniami i pożądaniami, a środkami, które zdobył do ich zaspokojenia, musi przyznać, że jest nędzarzem świata.

W tym tłumie mniej lub więcej uświadomionych maszyn, idących ławą, błakają się samotnie typy odrębnego szczeptu. Cała żywotność „amerykanizmu“ praktycznej rasy nie zdołała wyjąłować ich z uczuć wrodzonych dla natury, „ziemia głucha dla innych, w tysiąc głosów szepce im do ucha,“ potężne życie wszechświata znajduje oddźwięk w ich czułych i podług harmonii wszechbytu nastrojonych duszach.

Z tej rasy wiodą ród swój wszyscy prawdziwi poeci i artyści, parysi-księżęta ludzkości, których świat zwykle wieńczy czasami drogę złotem im ściele, nie mniej bezwiedną na nich prowadzi naganę i od kolebki otacza ich podobnie twardym kręgiem warunków bytu, jak „biali“ czerwonoskórych.

Jedną z takich wyjątkowych organizacji jest Arnold Böcklin.

Patrząc na jego obrazy, zdumieć się trzeba, przez jakie niezmiernie przestronne myśli, przez jakie natężenie uczuć i wrażeń przeszedł ten człowiek, jak silnie wyczuwał najcichsze pulsa natury i jak głęboko musiał przejąć się jej duchem, aby uplastyczyć go z taką potęgą.

Jako malarz, należy Böcklin do najwybitniejszych artystów, nie tylko dziewiętnastego wieku.

Indywidualność tak potężna, że z trudnością doszukać-by się w niej można śladów obcych wpływów, łączy się w nim z wyjątkowo wielkim talentem malarskim i inteligencją, co sprawia, że w obrazach Böcklina, pomimo halacynacyjnej fantastyczności motywów, pomimo form urojonych, wyprowadzonych z abstrakcyi, realizm w wyrażeniu ich środkami malarskimi posunięty jest do możliwych granic.

W obrazach jego niema ogólników malarskich, owych uproszczeń w barwach i rysunku, które ułatwiają przeprowadzenie jakiejś kompozycyi.

U niego każda istota żyje, nie tylko jako logiczna konsekwencya zasadniczego pomysłu, ale także jako składowa część przyrody, jako bryła, podlegająca na równi z innymi prawom odbijania się promieni świetlnych, wibracyi barw i zajmowania określonego miejsca w przestrzeni.

Lecz przedewszystkiem w obrazach Böcklina widać, co on sam czuje i myśli. Zjawiska przyrody zajmują go, nie tylko jako szereg plam barwnych; uderza także artystę treść ich i wewnętrzna ich dusza.

Böcklin jest poetą. W obrazach swych daje naturę przefiltrowaną przez własne uczucia, albo, mówiąc ściślej, daje własną duszę, ucieleśnioną w plastycznym przepychu natury. „Takie mi to znajome“ szepce niejeden widz przed jego obrazami, „jak gdybym to kiedy i widział bardzo dawno, we śnie, czy też na jawie.“ I nie myli się. Istotnie, Böcklin ubiera swoje najfantastyczniejsze marzenia w kształty i barwy i wywołuje tą plastyką takie złudzenie prawdy i życia realnego, iż widz znajduje nieraz w obrazie gotową formę na odruchy własnej intuicji, które same przez się nie miały nawet siły przejść w stan jego świadomości. Böcklin, błędząc po pustym brzegu morskim, *widzi* zalecanki Trytona do miedzianowłosej Najady, widzi jak złotołuski wąż morski, szmaragdową pleśnią porośły, wylania się z wody, oblepiony mułem.

On maluje potężne srokate centaury, przebiegające po stepach z tententem i staczające walki śmiertelne z taką wściekłością, że dreszcz przebiega po ciele. Artysta umie siłą potężnej wyobraźni unieść z sobą widza do „krajiny wiecznego szczęścia“, gdzie wieczna wiosna, spokój i harmonja pozwalają wchłaniać rozkosz wszystkimi zmysłami niezniszczalnego ciała.

Böcklin nie podpisem, ani symbolicznemi emblematami tłómaczy ideje swoich obrazów; lecz przelewa w nie całą siłę swej poetycznej duszy i artystycznemi środkami zmusza widza do odczuwania takich wrażeń, jakie mu chce narzucić.

*

*

*

Życiorys Böcklina, typowy życiorys szczerego artysty, da się streścić w kilku słowach.

Przyszedł na świat w mieście Bazylei, w Szwajcaryi.

We wczesnej młodości miał niesnaski z rodziną, której nie mógł przekonać, że stan artysty nie jest niczem gorszem od szanownego stanu kupieckiego. Następnie przyszły zatargi inne, ze światem i gotówką, która stale unikała jego kieszeni. A na tle tej dysharmonii odzywał się rozdźwięk między wrażliwą i pragnącą duszą artysty, a człowiekiem, jako jednostką społeczną, skrępowaną całą siecią więzów, które są pasem ochronnym dla człowieka, ale kajdanami dla artysty.

Ten duch niespokojny, czujny i lękający, miotał nim, jak miotła zeszedł liściem wiatr jesienny, przepędzał go przez różne kąty południowej Europy, nigdzie nie pozwalając ostać się na dłużej i odetchnąć.

Ten duch odrywał go od środowiska ludzi do ciszy pracowni, gdzie małości świata, troski o jutro, wszystkie bólaące ślady, wyciśnięte na duszy obcowaniem ludźmi, przycichały, a twórczość artysty wzbierała, jak wzbiera morze, i mieniając się blaskami i barwami, stygła w formach nieśmiertelnego piękna.

Obecnie Böcklin jest 70-cioletnim starcem, ogólnie uznanym i uczczonym artystą, a wdzięczna rodzinna Bazyleja w roku ubiegłym, w dowód hołdu, obchodziła jego jubileusz. Ale uznanie i hołd przyszły nie tak dawno. Böcklin za bardzo był indywidualnym i szczerym, aby od razu świat poznać, aby trafić do gustu tych, co żyją cudzym gustem, a jednak stanowią o materyalnym bycie artysty.

Pierwszy „odkrył“ go, to jest poznał się na jego wartości, stary hrabia Schack, i kupiwszy kilka jego obrazów, dopomógł mu do stworzenia takich warunków materyalnych, w których talent Böcklina zajaśniał w pełnym blasku.

Taka jest krótka historia człowieka; o artyście niech opowiedzą same obrazy, które są jakby fragmentami jego duchowych stanów i nastrojów.

Oto niektóre z nich:

Na skalnym brzegu morskim grecka świątynia Heraklesa. Kamienne stopnie schodzą aż do powierzchni morza, które pod ciężkiem chmurnem niebem sroży się i pieni. Na stopniach, zbrzgzanych rozszalałą falą, przykłękło dwóch hoplitów w pozłocistych zbrojach i czerwonych płaszczach. Wilgotny marmur odbija, jak w zwierciadle, te dwie postaci klęczące, potężne i korne zarazem. Z po-za świątyni sterczy sztywny marmurowy posąg Heraklesa, pleśnią długich lat porośły.

Na drugim obrazie znów morze, ale morze inne ciche, gładkie, tajemnicze. Płynie po niem łódź ku wyspie skalistej, strzelającej w niebo ciemnymi wieżami cyprysów. To wyspa umarłych. Łódź ku niej dąży, unosząc białą trumnę i białą postać. W skale czerni się otwór, który ją przyjmie.

Böcklin kocha morze i często z niem obecuje. To też morze w jego obrazach to świat odrębny, który zaludniają istoty dziwne, piękne i potworne zarazem.

Oto rodzina trytonów:

Ona leniwa, senna, o doskonałych kształtach kobiety w całym tu owiu i nierozwiniętych pletwiastych nogach, przeciąga się, leżąc na skale morskiej—tęskni lub marzy. A wokoło kipi fala, więc jej towarzyszy — tryton wpadł w zachwyt, i porwawszy małego trytonka, podrzucił go w górę na potwornej pletwonodze, jak na koniu.

Inny obraz, Nereida — o kształtach pięknej kobiety, ukradkiem po przez cienką gazę, która jej służy za okrycie, wpatruje się w leżącego nad nią wyżej trytona. Twarz jej wyraża ciekawość, podziw, nawet uwielbienie dla tych lśniących muskularnych ramion i piersi, wyrastających z grubego tułowiu foki. A tryton utonął wzrokiem w rozkołysanych falach oceanu, które oblewają ich skałę wokóło.

Przypatrzmy się teraz „Igraszce na falach.“ Jak okiem sięgnąć, od ramy do ramy, szczerę, rozkołysane morze. Jakiś potworny samiec porwał centaurowi kobietę i przez fale z nią ucieka, a biedny centaur niezdarnie płynie za nimi po zdradliwej powierzchni obcego mu żywiołu, z miną przerażoną, z giestami bezbrzeżnego żalu i rozpaczki. Wokóło hulają wesołe najady i śmieją się z centaury, nurkując swobodnie.

Te najady Böcklina, rozigrane, rozchichotane, puste, spotyka się jeszcze i na innym obrazie. „Zabawa Najad.“ Jaki krzyk, śmiechy, pustota panują wśród tych ciał zwinnych, lśniących, zdrowych jak morze, wirujących w skotłowanych na pył bałwanach. A zdaleka widać nad falą pożądliwe oko nurkującego ku najadom trytona.

Nie sposób wyliczać wszystkich obrazów w tym rodzaju.

Idźmy dalej, zobaczyć, co za dziwy pokaże nam Böcklin na lądzie.

„Cisza w lesie“, ale taka cisza, że, stojąc przed obrazem, nie słyszy się nic, choćby za plecami miało się cały tłum rozgadanych ludzi. Cisza, lecz coś szeleści? To bajeczny jednorożec stąpa powoli ku nam unosząc na grzbiecie zasłuchaną kobietę — ciszę.

Przez szare bukowe kolumny prześwieca świetlnymi strzałami mebo.

Wiewiórka bez szelestu zsuwa się wężową linją po gładkiej korze.

A dalej znów—cały szereg płócien, w których rogaty Pan rej wiedzie. Tu, wśród budzącej się z wiosną natury, radość swoją wylewa grą na fujarce. Tam, ukrywając się w skałach, straszy trwożliwego pastucha i płoszy mu owce na paszy; gdzieindziej znów, wytopiwszy ustronie pięknej nimfy, podczas jej snu oddaje się artystycznej kontemplacji wobec wdzięków jej niczem nieosłoniętego ciała. A jaką ma żdziwioną minę, gdy, łowiąc ryby, wydobyl w sieci trzepoczącą się syrenę!

Wszystkie te postaci: Pana, Nimf, Satyrów, Centaurów, Grecy wprowadzili do sztuki, która czerpała z tego źródła gotowe już formy jako emblemata, tłómaczące pewne pojęcia, jako symbole wreszcie.

Ale Böcklin nie poszedł za innymi. Miał on moc i odwagę zerwać zupełnie z tradycją i stworzył świat własny, odrębny, a potężna jego fantazyja nie zawiodła go.

Każda z tych postaci, w ruchach, w fizygnomii w odrębności, która ją wyróżnia od innych, jest nowem w sztuce zjawiskiem i genezą swoją wywodzi z wyobraźni swego twórcy.

Nie trzeba przecież sądzić, że Böcklin jedynie z centaurów, nimf, i trytonów bierze motywa do swych obrazów; że, ozdobiwszy pracownię odpowiednio i ustaliwszy markę kunsthändlerską u odbiorców, poszukujących tego rodzaju tematów, stał się „specjalistą“, jak wielu jego kolegów po piędzlu.

Nie, Böcklin nie powtarza się. Nawet opracowując jakiś motyw po raz drugi, co zresztą robi bardzo rzadko, pojmuje go i przedstawia odrębnie.

Cały świat kształtów i uczuć otwarty jest dla jego wrażliwej natury, a subtelny filozoficzny umysł próbuje ogarnąć i zgłębić wszystkie wielkie zjawiska i zagadki ludzkiego bytu, tylko nie tezą doktrynera ani skalpelem wiwisektora, lecz uczuciem poety i artysty. Nietylko więc niby Grek dawny żyje pełnią rozkoszy życia, i takim się przedstawia na jednym ze swoich portretów, gdzie go widzimy z pieniącym puharem w rękę; lecz rozumie, co cierpiał „wieczny rewolucjonista, pod nędzą ciał płonący duch“, potrafi odczuć ból Prometeusza, rozpiętego na grzbiecie Kaukazu, i maluje go jako tytana, nad którym kłębią się w bezsilnej złości wały stalowych chmur.

A jak doskonale pomyślana jest jego „Wolność“! jak wspaniała jest w swym spokoju i śmiałym wejrzeniu! Siedzi na najwyższym szczycie ziemskich krawędzi, u stóp mając wierzenołki śnieżnych gór i lotne stada obłoków. W jednej ręce trzyma gałąź oliwną, na drugiej spoczął drzemiący orzeł.

Jest cały szereg obrazów Böcklina, wyrażających, przeważnie w postaciach kobiecych, pojęcia oderwane. Zadziwia w nich prostota i siła, z jaką Böcklin uzmysłowia abstrakcyjne wyrazem twarzy, ruchem, charakterystyką typu, wreszcie otoczeniem i nastrojem, usuwając prawie zupełnie teatralne środki, odrzucając wszelkie emblemata. Trzeba widzieć taki „Dramat“, „Malarstwo i poezję“, „Lekkomyślność i troskę“, pojedyncze postaci muz, albo freskowe malowidła, np. „Duch Natury“, „Przybycie wiosny“ i inne, żeby mieć o tem wyobrażenie.

Istnieje temat z historii ducha ludzkiego, który porывał wielu artystów różnych epok, a któremu malarstwo Odrodzenia złożyło lwią część swoich wysiłków.

Mam tu na myśli jasną, słodką, niezgłębioną postać Boga Człowieka, świetlanem zjawiskiem odbijającą od swego otoczenia.

Każdy talent, każdy temperament, każdy najodrebniej myślący umysł malarski znajdzie w tym temacie nieprzebrane źródło pomysłów

do wyrażenia swoich uczuć i marzeń. Od słonecznej sielanki do potężnej tragedji, przez wszystkie stany uczuć ludzkich przeprowadzają malarza proste, jakby w kamieniu rycie, słowa Ewangelii.

Naturalnie, nie mówię tu o malarstwie kościelnem, które w większej części trzyma się utartych pojęć szkoły bizantyjskiej i Renesansu.

Indywidualność Böcklina nie zmieściła-by się w tak ciasnych granicach. Najbliżej może tradycyi dawnych szkół stoi pentaptyk jego którego tytuł w oryginale brzmi: „Marieusage“, malowidło, pomysłem i kompozycją przypominające archaiczne Madonny preraphaelitów, a pojęciem postaci wdzięk cielesny Renesansu. Szczególniej obraz środkowy — Madonna z dzieciątkiem, ukazująca się z po-za firanek, które rozsuwają dwa aniołki, przypomina sobą Sykstyńską z Dreźnieńskiej Galeryi.

Za to „Zdjęcie z krzyża“ jest kompozycją nawskroś oryginalną, czemś, co stoi na gruncie tak wyłącznym, a przytem tak jest świeże i oryginalne, że można je uważać jakby zaczątek nowego stylu, który wejdzie do sztuki. Jaki wyraz i charakter każdej twarzy, płaczącej cicho Maryi, przygnębionego Ś-go Jana i tracącej zmysły z rozpacz Magdaleny!

Lecz najsilniejsza, podług mnie, kompozycya z tej grupy — to „Pietà“.

Na marmurowej płycie leży ciało Chrystusa, zastygłe i sztywne. Na nie rzuciła się postać kobieca, twarzą do ciała przywarła i bez ruchu, jak nieżywa, została. Co za dramat! Jak silne wrażenie bólu i rozpacz wywołuje ten pomysł oryginalny pokrycia całej postaci wraz z głową ciemną chustą, spadającą w fałdach na odkryte zwłoki Chrystusa! Sądze, że najsubtelniejsze wystudyowanie mięśniowych skurczów twarzy w bólu nie działało-by tak wzruszająco, jak ta ciemna plama na białem tle zmarłego. Ale co podnosi jeszcze wdzięk tego obrazu, to grupa aniołków, które na obłoku zawisły nad sarkofagiem. Jeden z nich wyciąga dłoń ku postaci Matki, jak gdyby chciał Ją ocucić, inne wpatrują się z przerażeniem. Jeden z nich po lewej stronie jest poprostu cudny. Na wrażliwej jego twarzyczce odbija się cały tragizm sceny, a usteczka układają się tak, jak u małego dziecka, któremu na widok kogoś płaczącego na łzy się zbiera i lada chwila samo płaczem wybuchnie.

Temu obrazowi odpowiada drugi pod tytułem; „Magdalena nad ciałem Chrystusa.“

Rozpacz gwałtowna, szalejąca, posunięta aż do obłędu, jest w nim przeciwstawiona marmurowo cichej boleści Matki z poprzedniego

obrazu. Ten kontrast, rozmyślnie przez Böcklina uwydatniony, psychologicznie niezmiernie prawdziwy, wywiera jednak wrażenie słabsze jakby przesady, które zresztą sprawia w rzeczywistości wschodnia rasa na nasze północne, skupione w sobie, natury, swoim temperamentem krańcowością porywów i plastyką uczuciowych odruchów.

Oto kilka fragmentów z twórczości artystycznej Böcklina, które całkowity rezultat jest tak wielki, że nie da się streścić w ogólnikowe charakterystyce; trzeba go koniecznie widzieć w całym artystycznym przepychu harmonii barw i kształtów.

Wszelkie teorie i mody w sztuce przemijają, a razem z nimi i te dzieła, które wyłącznie pod ich naciskiem powstawały. Ale obrazy Böcklina pozostaną na zawsze zjawiskiem potężnym, bo przez piękno prawdę i uczucie w nich zawarte, mają wiecznotrwałą siłę życia, które tchnął w nie geniusz artysty.

STEFAN POPOWSKI.

PODCZAS BURZY.

Nade mną szaleje burza;
Ognistym potokiem
Błyskawic rozlał się blask.
Z płomiennym wzrokiem,
W którym błyskawic odbicie
Zamarłe wznieciło życie,
W wichrów wsłuchany wrzask
I dzikie wycie,
U skał podnóża
Stoję.

Razem z gromadą chmur,
Co czarne skrzydła swoje

O szczyty roztrąca gór,
Lecą mych wspomnień roje
I szczęście dni wiosniane,
 I lecą jak szalone,
 Gromami poszarpane,
 Wichrami pokłębione,
 Deszczami rozplakane,
 Pod stopy moje.
 Bez sił,
 Bez ruchu i woli,
Z ognistą na czole obręczą,
 Co pali, boli,
Patrzę, jak bez wytchnienia
Wciąż lecą me marzenia,
 Sny, którem śnił,
 Jak wicher w pył
 Rozwiewa je po przestrzeni
 I mieni
 Tęczą.

A tak smutnemi blaski grają,
 Jako na słońcu lzy,
 Co z jasnych ocz splywają
 Brylantowemi skry.

Taki mi jęk się budzi w duszy,
 Taki za niemi straszny żal,
 Że go huk gromów już nie głuszył
 A one wdał,
 Lecą jak duchy,
 Jak widmo burz.

Słyszę ich skrzydeł szelest głuchy.
Zmieszany z głosem zawieruchy,
I szept: Nie wrócim już!
My, cośmy chciały
Pić napój chwały
Z niebiańskich kruż,
Musimy lecieć, lecieć bez końca,
W wiecznej pomroce, zdala od słońca,
Od jasných zórz!
Tyś nas, jak ptaki,
Orlemi szlaki
Pod niebo wzbił.
Choć dałeś dużo,
Do walki z burzą
Nie dałeś sił.

M. TATARKIEWICZ.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Alkar. — *Księżę Repnin i Polska w pierwszym czteroleciu panowania Stanisława Augusta.*
(1764—1768). Dwa tomy. Kraków. 1897.

Dr. Graf von Rostworowski. *Die Entwicklung der bauerlichen Verhältnisse im Königreich Polen im XIX Jahrhundert.* Iena 1896.

Początki panowania Stanisława Augusta były przedmiotem opracowania kilku historyków polskich. Dość przypomnieć, że sama elekcya ostatniego króla wywołała dwie monografie: Roepell i Askenazego a zarówno Szmidt jak Szujski, Kalinka i Korzon poświęcili uwagę początkowym rządóm Stanisława Augusta. Wydając zatem dwa tomy monografii obejmującej pierwsze cztery lata rządów ostatniego monarchy musiał niewątpliwie autor mieć nowe i to ważne źródła pod ręką, które mu pozwoliły wyświetlić niejedną wątpliwość a tem samem zachęciły do napisania dzieła zawierającego oryginalną zdobycz naukową.

Na pierwszych stronicach rozprawy dowiadujemy się istnienie, że autor zapoznał się z jedynym egzemplarzem rękopiśmiennym protokołu czynności konfederacyi radomskiej, spisany przez sekretarza Marcina Matuszewicza. Następnie autora spożytkował drugi cenny rękopis p. t. „Dyaryusz traktatowy czyli komisji pełnomocnej od dnia 4 Nov. 1767 do d. 26 Febr. 1768 w Warszawie ekspedowanego, pochodzący z biblioteki p. Oskierczyny. Z materiałów drukowanych zużytkował autor po raz pierwszy Sbornik Cesarzskiego Towarzystwa historycznego, zasilany dokumentami z archiwów rossyjskich i tajnego archiwum berlińskiego, a prócz tego odzyskał zapiski rezydenta angielskiego przy dworze Fryderyka II, późniejszego Earla of Malmesbury. Zapiski owe wydane w Londynie w r. 1846 pod tytułem „Diaries and Correspondance“ przetłumaczył na język niemiecki Kretschmar i ogłosił w r. 1848 pod tytułem „Tagebücher und Briefwechsel“. — Oprócz wymienionych powyżej rękopiśmiennych i drukowanych źródeł niewyzyskanych przez poprzednich historyków, autor spożytkował do swego dzieła dużo cennych rękopisów biblioteki Czartoryskich, Ossolińskich i zebrał sporo notatek z archiwum wiedeńskiego.

Opowieść historyczną rozpoczyna autor z dniem 17 października 1763 r., gdy z Warszawy do Petersburga przybył umysłuy kurjer z nadesłaną z Drezna posłowi rossyjskiemu Kayserlingowi wiadomością o zgonie króla polskiego Augusta III. Wkrótce potem z uwagi na podeszły wiek i ciężkie dolegliwości fizyczne Kayserlinga postanowiono mu dodać do pomocy człowieka energicznego, w charakterze ministra pełnomocnego i wybór ów padł na Repnina. Repnin miał wówczas lat 29 i w Petersburgu należąc do grona hulaszeczej, złotej młodzieży, zabrał znajomość z młodym stolnikiem Poniatowskim. Od chwili przybycia do Warszawy stał się Repnin najważniejszą osobą w R-plitej i jego też działalność zarówno jawną jak i tajną opisuje nam autor szczegółowo i nader interesująco.

Mając sobie zlecony wybór Poniatowskiego na króla, Repnin działał w tym kierunku z całą przebiegłością i stauowczością. Przytem język dyplomacyi rossyjskiej staje się cierpkim i niepohamowanym i już w r. 1764 była wysuniętą na widownię sprawa dyssydentów, którzy w tymże samym roku przysłali swoich deputatów do Petersburga z prozbą o opiekę. Repnin był zrazu przeciwnym poruszaniu sprawy dyssydentów, uważał on przeprowadzenie jej za rzecz niemożliwą, a co ważniejsza za niekorzystną dla Rossyi; przyznanie bowiem różnowercom praw do urzędów cywilnych, zwiększyłyby jedynie ich siłę a zarazem przewagę króla pruskiego.

Wkrótce po koronacyi St. Augusta otoczenie młodego monarchy zaczęło przemyślać nad zapewnieniem mu niezależności majątkowej i w tym celu podkomorzy Poniatowski podsunął królowi myśl poślubienia infantki portugalskiej, co-by mu zapewniło dochód stu tysięcy dukatów rocznie. Stan ten nie był obcym, za pośrednictwem Repnina, dworowi petersburskiemu, albowiem w r. 1765 posłał Panin do posła list z namową, by współdziałał wpływem swoim zamiarowi, jako nieszkodliwemu „systemowi północnemu“, a zapobiegającemu powikłaniom politycznym, jakieby zrękowiny Stanisława Augusta z księżniczką dworu austriackiego, o czem krążyły jakiś czas pogłoski, mogły być w przyszłości wywołać.

W dalszym ciągu pracy Alkara znajdujemy ciekawą rozmowę, jaką miał Saldern z Fryderykiem II, którego odwiedził w Charlottenburgu. Z rozmowy owej, przekonać się można jak się król pruski obawiał wszelkiej poważniejszej zmiany w ustroju R-plitej polskiej i jak wiele mu zależało na utrzymaniu w pełnej sile „liberum veto“. — Fryderyk II oświadczał otwarcie Saldernowi, że „Polskę należy trzymać w letargu“ i zaledwie z zastrzeżeniem zgodził się na wprowadzenie „Rady nieustającej“.

Dzieje sejmu w r. 1766. a następnie konfederacyi radomskiej

znajdujemy w pracy Alkara opisanemi barwnie i pouczająco. Zwłaszcza korespondencye Panina z Repninem i Solma z Fryderykiem II pozwalają oryentować się w misternej przędzy dyplomatycznej i śledzić zgodne a konsekwentne postępowanie dworów rosyjskiego i pruskiego. W dalszym ciągu opowiedział nam autor przebieg Sejmu nadwyczajnego w r. 1767 i ową złowróżbną noc, w której zaaresztowano biskupów i senatorów. Czynności delegacyi traktatowej opowiedziane zostały szczegółowo na podstawie bogatego materiału rękopiśmiennego. Dowiadujemy się z protokółów sesyi powyższej delegacyi, że członkowie jej zaczęli snuć śmiałe projekta, uwolnienia chłopów od poddaństwa i wymiaru sprawiedliwości w ich sprawach, lecz książę Repnin nie okazał gotowości przyjęcia tych projektów pod obrady i jedynie zgodził się na punkty, by szlachcic za zabicie chłopą, tak był karany, jak za zabicie szlachcica.

Sposób w jaki Repnin traktował delegacyę przechodzi wszelkie wyobrażenia. Wyrażenia ambasadora nie znały żadnego dyplomatycznego czy też ogólnie towarzyskiego wędzidla. Żegnając zaś delegatów, poseł ostrzegł ich, aby nie przeszkadzali na sesyi sejmowej czytaniu projektów, na które się już zgodzili, bo inaczej, są to jego słowa, „tak skończę, jakem zaczął i przestrzegam, że gdy przyjdzie do tego, nie tylko trzech, ale i trzydziestu wezmę.“ Sejm odbył się w rzeczy samej spokojnie, chociaż kilku posłom domagającym się głosu prymas musiał przypomnieć, że dzieło delegackie, czyli traktat i ustawy pełnomocnicze komisyi są tak ułożone i powiązane, że ich bez przerywania słuchać i wyrozumieć potrzeba.

Książę Radziwiłł pragnął także na swój sposób uświetnić uroczystą chwilę zakończenia owego upokarzającego kraj cały Sejmu. Oto słowa lorda Malmesbury: „widziałem ks. Radziwiłła, tegoż samego dnia, gdy sejm rozwiązany został i gdy wojsko rosyjskie, które w jego pałacu miało kwaterę, pałac ten opuściło. Przybywszy do Repnina pijany, chwalił się, że teraz już wolno mu dogadzać swej namiętności“. W notatkach tegoż samego lorda of Malmesbury znajdują się ciekawe szczegóły dowodzące z jaką bezwzględnością traktował Repnin samego króla. „Niejednokrotnie zdarzało się, że król godzinami całemi oczekiwał w łoży teatru, zanim przybył doń Repnin ze swym orszakiem i że dopiero po przybyciu posła, dawano rozkaz rozpoczęcia przedstawienia“. O królu miał lord Malmesbury wyobrażenie wysokie i zaznaczył jedynie, że jestto zadziwiającem, że ów król, który jako monarcha i jako człowiek obdarzony wszelkimi zaletami, rozumem i szlachetnemi dążnościami, dobrał sobie jako zausznika i ministra, człowieka wszelkich zalet pozbawionego (Branicki)

Dzieło Alkara opisujące pierwsze czterolecie panowania Stanisława Poniatowskiego zawiera prawdziwe bogactwo interesujących i doniosłych szczegółów. Dla historii prawa państwowego polskiego stała się powyższa praca niezbędną, a dzieje największego upadku, jaki się ujawnił w ówczesnym rządzie w społeczeństwie zostały opowiedziane w sposób jasny i barwny bez jaskrawości w opisie i bez żadnej przesady w stawianiu ostatecznych wniosków. Jeżeli zaś przypomniemy, że autor posiłkując się niewyzyskanymi dotąd źródłami, nie jeden fakt dziejów uzupełnił i wyjaśnił to jak się zdaje, pracy jego nikt nie będzie mógł odmówić charakteru naukowego studium, które nowę zdobyczą pragnie się podzielić z swem społeczeństwem. Obok też prac poprzednich historyków dziejom początkowym St. Augusta poświęconych, zajmie dzieło Alkara należne mu na stanowisko, jako studium źródłowe, opracowane z niezaprzeczoną sumiennością i gruntownością.

W krótkim, bo zaledwie dziesięć stronic wynoszącym wstępie, przebiega autor dzieje włościan polskich, począwszy od 970 a skończywszy na 1795 roku. Nie udało mu się też uwydatnić najgłówniejszych momentów rozwoju włościańskich stosunków a przytem spotykamy się i z poglądami nie dość uzasadnionemi, lub z opuszczeniami zbyt widocznemi. Do kategorii pierwszej należy zaznaczenie autora, że od zupełnej unii Litwy z Koroną rozpoczęło się pogorszenie doli stanu włościańskiego, a do drugiej kategorii zaliczyć winniem oświadczenie, że dopiero Sejm w r. 1776 okazał skłonność do zajęcia się reformą stanowiska prawnego włościan. Prócz tego, reformy Sejmu czteroletniego zostały przez autora uwzględnione niedostatecznie a działalność Kościuszki pominięta zupełnie. Jednem słowem, bez wielkiego mozolu i kłopotu, przebił się autor przez osiem wieków włościańskich dziejów i stanął wobec wieku XIX-go, jako głównego przedmiotu swych studyów.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, posiłkował się autor, przy odtwarzaniu historii włościan polskich, pracami dawniejszemi, pomijając studia nowsze, które dzieje włościanina naszego oświeciły dokładniej. Lelewel, Szajnocha, Roepell i bałamutny Wacław Maciejowski, wraz z podręcznikiem szkolnym historii polskiej Bobrzyńskiego, stanowią główną skarbnicę wiedzy autora; natomiast Hube, Piekosiński, Ulanowski, Smolka, monografia Bobrzyńskiego, Małecki, pozostali mu nieznanymi, a nawet z dawniejszych prac, po dziś dzień wartość naukową posiadających, ks. Tadeusza Lubomirskiego dwie: „Jurisdykcyja patrymonialna w Polsce“ i „Starostwo Ratańskie“ zostały pominiętymi, a z trzeciej „Rolnicza ludność w Polsce“, nie umiał należycie skorzystać.

Jeżeli zapoznanie się z literaturą polską naukową w wieku XIX było dla autora zadaniem nad siły, to niema się czemu dziwić, że bogata literatura XVI, XVII i XVIII wieku, sprawą włościańską się zajmująca, pozostała dlań zupełnie obcą. O wiekopomnych dziełach króla Stanisława Leszczyńskiego dowiaduje się też autor od niemieckiego uczonego Sugentheima, który w dodatku powołuje się na królewską pracę niedokładnie. Zresztą o innych pisarzach nie znajdujemy żadnej wzmianki i nie przeładowani zbyt dużą wiedzą, jaką w powyższej rozprawie znaleźliśmy, stajemy u progu XIX stulecia.

Rządy pruskie i austriackie od 1795 do 1806 r. zostały zawarte przez autora literalnie w kilkunastu wierszach, a jednakże w literaturze polskiej, zarówno jak i w niemieckiej istnieją poważne prace, które-by autorowi mogły dostarczyć cennego materiału, do skreślenia dziejów włościańskich owej przejściowej doby. Działalność prawodawczą i administracyjną rządu pruskiego wyjaśniła dawniejsza praca niemiecka Klebsa i późniejsze Knappa, a w polskiej literaturze, należało prócz Skarbka uwzględnić i rozprawę Wł. Smoleńskiego. Działalność austriackiego rządu przedstawia dokładnie dzieło Grünberga i polska praca Kalinki p. t. „Galicya i Kraków“

Dziejom włościańskim za czasów Księstwa Warszawskiego poświęcił autor więcej miejsca, bo coś około trzech stronic, ale nie dał bynajmniej wyczerpującego obrazu, czy to prawodawczego, czy naukowego ruchu. Nie uwzględnił też autor studjów Cyprysińskiego i Michalskiego, zamieszczonych przed laty w „Bibliotece Warszawskiej“ i dlatego też ważna kwestya: jakim sposobem po wprowadzeniu Kodeksu cywilnego francuzkiego utrzymała się w Księstwie Warszawskim pańszczyzna a dzierżawa włościańska nie doznała należytej opieki trybunałów, nie została z należyłą ścisłością przedstawiona.

Pobieżnie traktował autor i okres dziejowy od 1815 do 1846 r. Zaledwie spotykamy w jego pracy kilka dokładniejszych wiadomości, dotyczących przemiany pańszczyzny na czynsz w ordynacyach: Zamoyskiej i Myszkowskiej, która mylnie nazwaną została Wielopolskich. A jednakże nie jest to bynajmniej okres czasu tak pusty, aby się niemieckim uczonym nie o nim nie dało powiedzieć. Przedewszystkiem Dyaryusz sejmu 1818 r. poucza, jak się wówczas zapatrywano u nas na położenie włościan w dobrach narodowych. W r. 1817 już w dobrach prywatnych w Końskiej-Woli przeprowadził książę Adam Czartoryski znakomite reformy w gospodarstwach włościańskich a Krumpolc opisując ową reformę wykazywał jaki duch przyjazny dla doli włościańskiej panował w społeczeństwie ówczesnego Królestwa Polskiego. W roku 1822 otrzymało monarszą sankcyę tak zwane „Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie“, stworzone wspaniałym zapisem

Staszycy. Z towarzystwa Hrubieszowskiego mieli wyłącznie korzyść włościanie, a pragnieniem Staszycy, wyrażonem w owej filantropijnej fundacyi, było wynagrodzenie choć częściowe włościan, za krzywdy, których mogli doznać w przeszłości. W każdym razie reformy Czartoryskiego i fundacya Staszycy należą do faktów znamiennych, którymi ani Prusy, ani Austria współczesna pochlubić się nie zdołają. Tymczasem autor pominął je zupełnie milczeniem i nie uważał za stosowne zapoznać się z literaturą nowszą polską, która i po roku 1815 nie przestawała zajmować się reformą włościańską i żywiła szczere pragnienie polepszenia doli rolniczego ludu.

Ukaz z roku 1846 i uzupełnienie rzeczonego ukazu przez radę administracyjną Królestwa Polskiego, podanemi zostały przez autora w całkowitem tłumaczeniu. Skutkom reformy prawodawczej z r. 1846 poświęcił autor uwagę, lecz nie uwzględnił pracy Cypryskiego, duchowi ukazu z 1846 r. poświęconej, ani studyum Ludwika Górskiego, pod tytułem: „Pogląd na stan i ekonomiczne potrzeby własności ziemskiej w Królestwie Polskiem“ (Niwa 1889), w którym znajdują się między innymi i uwagi nad ukazem z 1846 roku. Nietylko literatura polska kwestyi włościańskiej poświęcona, pozostała autorowi obcą, ale nawet z ważnemi projektami reform i z wykonanemi reformami w dobrach prywatnych, nie starał się autor zapoznać. Tak np. stan kwestyi włościańskiej w r. 1831 został pokryty najzupełnijszym milczeniem, a tak samo, testamentowi hr. Brzostowskiego, mocą którego włościanom 26 wsi zapisał na własność około 240 włók ziemi, reszta zaś wynosząca około 530 włók, stała się własnością funduszu fabrycznego gminy Sztabin (Pietrusiński. Krasnybór czyli Sztabin i Karol hr. Brzostowski. Przegląd europejski, Warszawa 1862, Wrzesień), nie poświęcił żadnej wzmianki. A jednakże fundacya powyższa rozwijała się pięknie w 1862 roku i oglądający ją w tym mniej więcej czasie Pietrusiński, zakończył swą pracę sprawozdawczą następującemi słowy: „Oby, prawdziwy przyjacielu ziemi polskiej! fundacya twoja, jakiej podobnej nie znam w Niemczech, Francyi, ani Anglii, trwała i kwitła na wieki“.

Czynności Towarzystwa rolniczego i reformy prawodawcze Aleksandra Wielopolskiego zostały wprawdzie uwzględnione, ale zarzut pobieżności i nieuwzględnienie literatury naszej obciąża autora tak samo, jak przy kreśleniu poprzednich rozdziałów. Ukaz lutowy z r. 1864 tak samo jak poprzednio ukaz z 1846 r., został podany w pełnem tłumaczeniu; w dalszym ciągu zaś przedstawił autor wykonanie ukazu z r. 1864 w praktyce, przyczem jakkolwiek nie zdobył zbyt obszernego źródłowego materiału, jednakże zdołał przedstawić stan rzeczy dość szczegółowo i nie jedno w tym rozdziale trafne spostrzeżenie odszukać

można. Zastanawiając się jednak nad skutkami ukazu z r. 1864 i walcząc z poglądami prof. Simonenki, autor nie zapoznał się z trafną krytyką tychże poglądów, jaką swego czasu prof. Załęski w „Bibliotece Umiejętności Prawnych“ zamieścił.

W końcowym rozdziale swej rozprawy przedstawia autor gminę, jaką ukaz z r. 1864 wytworzył; przy tej sposobności poświęcono uwagę długom gminnym, kassom pożyczkowo-wkładowym, szkołom i sądom gminnym. Korzystał autor tym razem skrupulatniej z prac poprzedników, ale nie zdołał się zapoznać ze wszystkimi. Widzimy, że korzystał ze studyów Spasowicza i Konica ale pominął Łapickiego, a co najważniejsza nie poznał sprawozdań ministerium spraw wewnętrznych, które ogłaszano przez lat kilka. Wreszcie co się tyczy wykazu literatury, z której czerpał autor swoje krytyczne poglądy, to pozwolę sobie zrobić uwagę, że należało wszystkie tytuły dzieł polskich lub rosyjskich podać w ich oryginalnem brzmieniu, a następnie dopiero w tłumaczeniu niemieckiem. Co może objaśnić kogokolwiek np. taka wskazówka bibliograficzna: „Milutin. Untersuchungen im Königreich Polen“, czy to mają być poszukiwania przedsięwzięte w Królestwie Polskiem skutkiem Najwyższego Rozkazu pod przewodnictwem senatora Milutina, które się ukazały w czterech tomach w języku rosyjskim? Każdy z tych tomów ma tytuł specjalny, wskazujący jaką zawartość posiada, a w takiej ogólnej bibliograficznej wskazówce trudno się istotnie domyśleć, o czem właściwie mowa, zwłaszcza że w tekście pracy niema śladów należytego spożytkowania owych poszukiwań, dokonanych pod przewodnictwem Milutyna, a są one w istocie pierwszorzędnem źródłem w historii włościan naszych z tej doby.

Rozwój stosunków włościańskich w Królestwie polskiem w XIX stuleciu, zawiera jako studyum naukowe wiele braków i niedostatków, płynących z tego głównego źródła, że autor podjął zadanie przewyższające siły początkującego badacza. Zgromadzenie materiału źródłowego dotyczącego historii włościan polskich w XIX stuleciu, przedstawia po dziś dzień, nawet wytrawnemu badaczowi wielkie trudności a i wyczerpanie literatury naukowej, która jest bogatą, choć po większej części spoczywa zapomniana w bibliotecznym pyle, nie jest zadaniem tak łatwem.

Nic więc dziwnego, że autor nie zdołał ogarnąć tak rozległego przedmiotu i nie zgłębił należycie stosunków włościańskich w Królestwie Polskiem w XIX stuleciu. Niezależnie jednak od braków i niedostatków, jakie jego rozprawa przedstawia, spostrzedz można niejednokrotnie należyte przygotowanie ogólnonaukowe autora, które mu daje rozsądne kryterium do ocenienia działalności prawodawczej w Królestwie Polskiem.

A. R.

Kazimierz Gliński. „Klęska.“ Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.
Rok 1897. Str. 301.

Józefat Nowiński. „Świekra“ i inne nowelle. Warszawa. Nakładem księgarńi
Dubowskiego i Gajewskiego Rok 1897. Str. 187.

W powieściach p. Kazimierza Glińskiego, obok zajmującej treści i niepowszednich zalet języka i stylu, spostrzegam zawsze pierwiastek pewien, wyróżniający je w sposób dodatni z pośród przeciętnych fabrykatów belletrystycznych doby dzisiejszej. Jest to ów idealizm szlachezny, jedno może z ech oddalonych nieśmiertelnego romantyzmu, przenikający zarówno drobne liryki, jak obszerniejsze, na szerszą skalę obmyślane, utwory powieściowe, lub dramatyczne utalentowanego pisarza. W powieściach swoich autor „Almanzora“ i „Tarantuli“ stoi wprawdzie zawsze na gruncie realnym, lecz szara, powszednia rzeczywistość, przepuszczana przez pryzmat jego ducha, nabiera pewnych barw, blasków i odcieni, o jakie w życiu prawdziwym coraz dziś trudniej podobno.

Weźmy chociażby taką drugorzędną figurę w „Klęsce“, jak stary arendarz Lipa. Jakaż różnica ogromna między tą patryarchalną, na Jankielu Mickiewiczowskim wzorowaną postacią, a takimi np. z natury i obserwacji kreślouemi sylwetkami Żydów Junoszy! Od całej postaci Lipy bije jakaś powaga i spokój. Należy on „do tych rzadkich dziś typów synów Izraela, którzy nie wyrzekli się ni stroju, ni obyczaju prastarego, kochali glebę, na której się zrodzili, i umieli zaskarbiać miłość ludzką.“ Z jego dużych, błękitnych oczu patrzy uczciwość; twarz „mlecznej prawie białości“ krasni delikatny rumieniec, „usta ma niby z koralu wyrzeźbione.“ Lśniący jak jedwab i jak jedwab miękka broda falisto na pierś mu spada, nawet długie, płowe kędziory pejsów (rzecz odbywa się na Ukrainie, a więc zapewne nie współcześnie) stanowią niemalą ozdobę tej pięknej głowy. Dodajmy do tego rysy twarzy klasyczne, nos, równą linią wybiegający z czoła, czoło o kształcie idealnym, „na którym zarysowały się brzoźdy lekkie, jako oznaka przeżytych lat i zamysłań się częstych“—i wreszcie niezwykłą prawość charakteru i czystość w stroju, dochodzącą niemal do przesady, a otrzymamy w summie ideał Żyda - arendarza, zrodzony w szlacheznej wyobraźni autora, bardzo jednak daleko, niestety, pozostawiający za sobą stosunki rzeczywiste.

W równie sympatycznych, lecz bardziej do prawdy zbliżonych barwach, maluje autor przedstawicieli dwóch pokoleń szlachty zaściankowej: Krzysztofa i Andrzeja Maleckich. Pan Krzysztof, najzaможniejszy posessjonat w Szlachtówce, cieszy się szacunkiem ogólnym. Nietylko wieś i zaścianek uważają go za patryarchę i przodownika, ale i ksiądz proboszcz nie cofa przed nim swojej pocziwej pra-

wicy, a pan Baczyński, dumny i zamożny właściciel Jarnej, mówiący „ty“ do wszystkich, jego „panem Krzysztofem“ nazywa. Ale bo też sama postawa Maleckiego ma w sobie coś niezwykłego i majestatem. Głowa jakby wycięta z jakiegoś dawnego obrazu: czoło wyniosłe, poprzeczną naznaczone szramą, oczy duże i „dziwnie błękitne,“ wąsy długie, zwieszające się ku dołowi, broda srebrzysta, spadająca na piersi w miękkich, falistych zagięciach, owal twarzy szlachetny, wzrok wyniosły... Pan Krzysztof przed laty rozglądał się po świecie szerszym. Zostały mu z tej epoki dwie pamiątki: owa szrama na czole i kosztur, zamiast nogi. O prawdziwej jednak przyczynie kalectwa mało kto wiedział, on sam o tem mówić nie lubił, zbywając natrętnych odpowiedzią krótką:

— Gdyby kózka nie skakała, to-by nóżki nie złamała...

Będąc zamożniejszym od innych mieszkańców zaścianka, jednynakowi swojemu dał pan Krzysztof wychowanie i wykształcenie staranne. Z początku sam uczył malca, później do szkół go posłał, a wreszcie na agronomię. Lecz ukończywszy nauki, młody Andrzej Malecki powrócił na zagon ojcowski, osiadł na nim i nie odwrócił się od swoich mniej wykształconych sąsiadów.

— Dwa pola masz, Anderku, do uprawy! — powtarzał często pan Krzysztof.

Andrzej rozumiał znaczenie tych słów i krzepił się nimi w chwilach zwątpienia. Podniesienie moralne i umysłowe współbraci było celem promiennym, który sobie nakreślił w duszy i do którego ze wszystkich sił dążył.

Ogólna treść powieści p. Glińskiego przypomina nieco wspaniałe „Nad Niemnem“ Orzeszkowej, co zwłaszcza powiedzieć można o postaciach Krzysztofa i Andrzeja. W „Nad Niemnem“ Justyna Orzelska wychodzi za mąż za młodego Bohatyrowicza, — p. Gliński łączy w swym utworze Malwinę Baczyńską z Andrzejem. I tu, i tam, panna z pałacu, a przynajmniej z „białego dworu,“ składa swą drobną rączkę w grubej, spracowanej, ale zacnej dłoni zagonowego szlachcica. O ile jednak młody Malecki wytrzymuje pod pewnymi względami porównanie z Bohatyrowiczem, o tyle sympatyczna skądinąd Malwina ustępuje, pięknej postaci głównej bohaterki „Nad Niemnem.“ Justyna kocha Bohatyrowicza, ale uczucie to rozwija się przed oczyma czytelnika powoli, stopniowo, drogą ewolucji naturalnej. W miłości jej uczucie egoistyczne zespała się niemal z innym, szlachetniejszym, obejmującym widnokręgi rozległe. Autorka motywuje i uzasadnia należycie każdy krok Justyny, — na niespodzianki lub przypadek niema tam miejsca zupełnie. Justyna kocha, ale jest zarazem świadomą bohaterką idei, jest kobietą dojrzałą i szlachetną.

Co innego Malwina Baczyńska, dziecko niemal, pełne może instynktów dobrych, ale rozpieszczone, zepsute i kapryśne dziecko. Gotowa jest oddać swą rączkę przeżytemu rozpustnikowi, hr. Izidorowi Zdziarskiemu, gdy wtem traf prosty stawia przed nią Andrzeja, i w dodatku w takich niezwykłych, w takich romantycznych warunkach, że oboje pokochać się muszą od pierwszego niemal wejrzenia, niby druga para bohaterów miłosnej tragedyi Szekspira. Następuje opór ojca, walka z nim i zwycięstwo, odniesione przy pomocy proboszcza, który, nauczony gorzkim doświadczeniem własnego życia, zbliża ku sobie zakochanych, a potem dłonie ich łączy na zawsze.

— Gdyby jednak nie owa burza, — mógł-by zapytać czytelnik — gdyby nie pioruny i błyskawice, podczas których Andrzejowi udało się przypadkiem wybawić pannę z niebezpieczeństwa, gdyby nie rana, którą przyplącił następnie rycerkość swoją, — to wówczas co? Panna Malwina została-by zapewne bogatą hrabiną Zdziarską, o walce z ojcem nie był o-by już mowy, no i powieść sama nie istniała-by może ku niewątpliwej szkodzie czytelników...

Z drugorzędnych figur „Kłęski“ zasługuje na wyróżnienie zamieszka, pełna życia i ognia postać pana Aleksiego Chostyny, podstarzalego już kawalera, o sercu młodzieńcem, i niemniej od powyższego sympatyczna sylwetka księdza Ambrożego. Prawdopodobny zwłaszcza, otwarty i szczery Chostyna, syn wielkiego pana i chłopki, nie ma w sobie nic papierowego, jest widocznie postacią, wziętą z życia i przytem wykonaną wybornie. Z werwą i humorem nakreślił autor spóźnioną nieco, lecz gorącą miłość jego do hożej szlachcianki, Jagny, pobłogosławioną również u stopni ołtarza przez zacnego księdza Ambrożego.

Powieść cała, mimo usterki pewne, wynikające przeważnie z niedostatecznego pogłębienia niektórych postaci, — przez co postępkami ich czasem wydają się nieumotywowanymi należycie, i jakby zawieszonymi w powietrzu. — czyta się wogóle przyjemnie. Z kartek jej promienieje szlachetna myśl przewodnia, nie graniczająca jednak, na szczęście, z zimną i sztuczną tendencyjnością.

Zdolny krytyk i publicysta, p. Józefat Nowiński, wystąpił świeżo z tomem nowel, zawierających, oprócz najlepszej niewątpliwie w tym zbiorku „Świewry“, cztery inne utwory, jako to: „Wróbel“, „Przeszłość“, „Podwójne bogactwo“ i „Współlokator.“ Autor, w przeciwieństwie do p. Glińskiego, jest, jak się zdaje, zwolennikiem realizmu w sztuce, a życie wogóle i kobieta współczesna w szczególności w ciemnych dosyć przedstawiają mu się barwach. Na pięć nowel

jego zbioru, w trzech kobieta zdradza, lub oszukuje mężczyznę, a chociaż pierwsza przedstawicielka tej niewesołej galeryi należy do świata mieszczańsko - urzędniczego, druga pochodzi z zamożnej sfery ziemiańskiej, a stanowisko społeczne trzeciej („Współlokator“) jest nieco zagadkowe, i nie zostało bliżej określone, to jednak wszystkie one wydają się poniekąd odmianami jednego zasadniczego gatunku, czy typu, kobiety płochej, nieuczciwej, a nadewszystko zmysłowej.

Najwięcej trafnej obserwacji nad życiem z jednej strony, a pierwiastku dramatycznego z drugiej — widzimy w „Świekrze“, od której zbioru cały tytuł otrzymał. Dramat rozgrywa się tam przedewszystkiem w duszy nieszczęśliwej matki pana Karola, w której oczach synowa wprowadza kochanka pod dach mężowski, a ona temu zapobiedz nie ma sposobu. Autor maluje z talentem straszną rozterkę wewnętrzną w duszy starej pani Kowalskiej, kiedy nareszcie rozwiąły się wątpliwości wszystkie, i straszna rzeczywistość stanęła przed nią w całej swej ohydzie i grozie. Dobrze również odtworzona została przez p. Nowińskiego cała ta przygnębiająca atmosfera drobno - urzędniczego życia, w którym pieczona kaczka na obiad jest wypadkiem niezmierniej doniosłości, a stłuczony słoik, lub niewłaściwie podane kotlety z groszkiem — wywołują ze strony pięknej pani domu burze i gromy nad głową biednej świekry i spazmy pod adresem zaslepionego miłością niedołągi - męża.

W innych nowelach sytuacje są wogóle mniej szczęśliwie obmyślane i grze są przytem niekiedy niepożądaną jaskrawością szczegółów. Mimo to, książka p. Nowińskiego wywiera, jako całość, wrażenie dodatnie. W autorze „Świekry“ przybywa nowellistycy naszej siła poważna, talent niewyrównany jeszcze i jednostronny nieco, być może, ale jędrny, oryginalny i szczery, z którym się liczyć wypada.

WŁAD. BUKOWIŃSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Na początku roku, kiedy wszyscy naokoło czegoś sobie winszują lub życzą, przypadł nam niełatwy obowiązek zabrania na tem miejscu głosu przygodnie, zastępczo. Nie mając ani poza sobą, ani przed sobą dostatecznej perspektywy, ażeby rzucić okiem w przeszłość lub spojrzeć na dalszą metę w przyszłość, nie czujemy się uprawnionymi ani do winszowania, ani do życzenia, w najlepszym razie możemy tylko zaznaczyć, że podobnie jak w towarzyskich stosunkach winszujący należą zwykle do optymistów, a życzący do utajonych pesymistów. W życiu codziennem ten zdawkowy optymizm lub pesymizm nikomu ani pomaga, ani zawadza; w życiu publicznem, o ile ono u nas jakąś działalnością objawiać się może, wpływa niewątpliwie na tempo tej działalności. Są pesymiści przekonani, że nic u nas zrobić się nie da nie brak optymistów, którym się zdaje, że wszystko zrobi się samo, bez naszego udziału; najmniej jest pamiętających o aforyzmie Brodzińskiego:

„Czyni każdy co każe duch Boży,
„A całość sama się złoży.“

Tem skwapliwiej też godzi się zanotować objawy indywidualnej inicjatywy, która zamiast frazesów optymistycznych czy pesymistycznych. dała tutejszemu społeczeństwu czyny.

Na tle szarego, bezbarwnego życia społecznego jasno zaznaczyła się u nas w ostatnich czasach niezwykła ofiarność kilku jednostek dobrej woli, które nie pytając o programy polityczne, nie czekając stosownych okoliczności, nie obliczając efektów i nie szukając daleko drogi do zasług, złożyły na ołtarzu dobra publicznego olbrzymie ofiary.

Mówimy tu o miljonowym zapisie Edwarda Czabana, kupca, zmarłego w Warszawie który cały swój wielki majątek, zdobyty za granicą, przywiózł do kraju i zapisał różnym instytucjom społecznym, nankowym i filantropijnym.

Po wawrzyny w dziedzinie cnoty i zasługi obywatelskiej sięgnęli także pp. Wawelberg i Rotwand. Z nazwiskami temi spotkać się można obecnie coraz częściej na polu działalności publicznej, a społeczeństwo otacza je coraz większem poważaniem i uznaniem. Z rąk tych niepospolitych obywateli kraju społeczeństwo otrzymało wspaniałe dary. Jeszcze nie przebrzmiały echa uroczystego otwarcia wielkiej szkoły technicznej, ufundowanej i utrzymywanej osobistym kosztem założycieli, a już dzienniki doniosły o olbrzymiej ofierze 300,000 rs. na instytucję społeczną tak pierwszorzędnej wagi, jak budowa tanich mieszkań dla robotników, rzemieślników i wyrobników. Ofiarność pp. Wawelberga i Rotwanda imponuje nie tylko wielkością sum ofiarowanych, lecz zarazem głębokiem poczuciem i zrozumieniem potrzeb społecznych. Po złożeniu darów nauce, literaturze i oświacie szlachetni ofiarodawcy wyciągnęli z pomocą dłoń ku najgłodniejszym opieki i najbardziej jej potrzebującym.

Ta nadzwyczajna gotowość do ofiar kilku jednostek powinna być potężną zachętą dla wszystkich ludzi dobrej woli, a zarazem dowodem oczywistym i niezbitym, że byle tylko zualazły się dobre chęci, to do działalności obywatelskiej nikomu i nigdzie u nas nie zbraknie pola, a pole to od dawien dawna leży poprostu odłogiem. Wszak nie jest to żadną tajemnicą, że u nas zaledwie garstka wzorowych obywateli dźwiga na swoich barkach największy ciężar zadań, jakim podobać winna cnota publiczna. Niestety, garstka to tak nieliczna, że, nie wysilając pamięci, można w jednej chwili wyliczyć takie jednostki na palcach. I kiedy zważymy z drugiej strony ogrom potrzeb społecznych, już istniejących; jeżeli weźmiemy w rachubę, ile się ich mnoży niemal z dniem każdym, jeśli uwzględnimy wszystkie warunki naszego bytu, wszystkie konieczności naszego rozwoju, to jednak musimy przyjść do wniosku, że nawet ta bezprzykładna ofiarność wyjątków żadną miarą wystarczyć nie może. Tu trzeba niezbędnie pomocy silnej, prawidłowo ustosunkowanej. Wobec tego, mowy być nie może o żadnych wielkich programach politycznych. Program pracy narzęcza nam każdy dzień, każdy niedobór, każda nasza instytucja;

drogi do zasług otwarte są na wszystkie strony i ślepy ich chyba nie zobaczy. O tem przedewszystkiem pamiętać powinno i całe społeczeństwo w zbiorowej swej działalności i każdy jego członek z osobna, na wydatnym lub skromnym posterunku, na jakim los go umieścił.

Dokąd i w jakim kierunku dążyć ma inicjatywa bądź indywidualna, bądź zbiorowa, informuje społeczeństwo pilnie od pewnego czasu prasa tutejsza. Większość organów zrywając powoli z praktyką zapełniania łamów swoich wielkimi i małymi miejscowemi i zagranicznymi plotkami, wdraża się w spełnianie najważniejszego swego obowiązku: zaznajamiania czytającego ogółu z siłami i potrzebami społeczeństwa, rozpatrywania drobnych, ale niesłychanej wagi spraw krajowych, domagających się załatwienia. Jako przykład, zacytujemy jeden tylko przedmiot, którym opinia sumiennie, źródłowo i gorąco się zajmuje. Jest nim byt naszego ludu wiejskiego, który posiada wprawdzie gotowe narzędzie dla swego rozwoju w samorządzie gminnym, nie umie jednak z niego korzystać, na drodze rozwoju swej samodzielności i świadomości bardzo wolno kroczy i jest wciąż potężną lecz bierną, zakrzepłą siłą w życiu narodowym. Zbadanie przyczyn tego zastoju, wyszukiwanie środków, któremi dałoby się usunąć zło przy obecnych warunkach, dążenie do wszechstronnego uwzględniania interesów materialnych i moralnych ludu, jest jedną z tych spraw, na którą opinia szczególniejsza zwraca uwagę. Dużo już w tej sprawie powiedziano, wytknięto też w głównych zarysach drogę, którą rozwijać się powinna akcja dbałych o dobro ludu: naprawa i uregulowanie nieprawidłowo funkcjonującej machiny samorządu gminnego, jaknajszersze rozkrzewianie oświaty przy pomocy książek, pism i odczytów popularnych, rozciągnięcie baczniejszej pieczy nad moralnością ludu, rozpowszechnianie wśród niego prawem przewidzianych form zbiorowego, zorganizowanego działania na polu ekonomicznem. W niektórych z tych kierunków akcja rozwinęła się już tu i owdzie, w innych czeka na formy, w których mogłaby się przejawiać czynnie i otwarcie w życiu. !

Cała atoli działalność prasy tak w tej, jak i w innych sprawach, ma tylko znaczenie wstępnej, przygotowawczej roboty. Informując ogół o potrzebach społecznych, szkicując kierunek i zakres przyszłych robót, nawołując do działania, na tem z konieczności musi ona ograniczyć sferę swych zadań i obowiązków. Wykończenie planów szczegółowe i wprowadzenie ich w życie należy już do samego społeczeństwa, o ile naturalnie rozporządza ono lub rozporządzać będzie odpowiedniami do tego organami. Że pod tym względem fakta nie zawsze są urzeczywistnieniem życzeń, dowodzi np. zastrzeżenie, wyłączające ludność

Królestwa udziału w reformie etycznej, która towarzyszyć ma w guberniach cesarstwa wprowadzeniu rządowego monopolu w sprzedaży wódczanej.

Reforma tej sprzedaży w kraju naszym wstąpiła w życie z dniem trzynastym stycznia. Prywatne szynki i karczmy zamknięto; sprzedaż spirytusu wziął w swe wyłączne zawiadywanie rząd. W guberniach naszego kraju jednak reforma wprowadzona została niezupełnie. Paragraf pierwszy normalnej ustawy reformy głosi iż w tych miejscowościach, gdzie istnieje rządowa sprzedaż spirytusu otwierane być mają tak zwane kuratorya trzeźwości. Otóż gubernie Królestwa stanowią w tym względzie jedyny wyjątek. „Goniec urzędowy“ świeżo ogłosił listę gubernii, w których wspomniana instytucja powstać mają. Naszego kraju między nimi niema. A szkoda. Zakres działalności kuratoryów jest dosyć szeroki. Celem ich walka z pijaństwem, środkami: dostarczanie zdrowych i umoralniających rozrywek ludowi, dla odstręczenia go od szkodliwego nałogu. Kuratorya powstają i rozwijają się pod zwierzchnictwem władzy. Społeczeństwo ma tu przed sobą obszernie pole do działania; sposobność zbliżenia się z klasą uboższą, oddziaływania na nią korzystnie i umoralniająco, oświecania jej. I u nas chętnych do pracy znalazło-by się wielu. Jako jeden z głównych powodów tego ograniczenia w stosunku do nas niektóre dzienniki podają niezwykłą trzeźwość naszego ludu w stosunku do swej kultury. Faktem jest bowiem niezaprzeczonem, że po za Warszawą nie szerzy się u nas pijaństwo w takich rozmiarach, jak w guberniach wewnętrznych, Nie mniej jednak tłumaczenie owych dzienników nie wydaje nam się wystarczające. Z chwilą zamknięcia w całym kraju wszystkich szynków i karczem, tysiące ludzi pozostaje bez chleba, powiększając liczbę bezdomnego proletaryatu, ciężkiem brzemieniem spadającego na barki społeczeństwa. Z drugiej strony, wprowadzenie reformy wywołać musi wielki przewrót w życiu prywatnem ludności uboższej. Dotychczas chwile wolne od zajęć, święta, spędzała ona w szynkach i karczmach, czemu dziwić się wcale nie trzeba, zważywszy na te ciemne i czarne nory, pełne zaduchu, w jakich przemieszkuje większa część naszej ludności ubogiej.

Zresztą na karczmę i szynki należy patrzeć nietylko jako na srodowiska i główny rozsądnik pijaństwa. W życiu naszego ludu odgrywały one dużą i dość ważną rolę. Tu kończono wszystkie ważniejsze sprawy, obchodzono główne wypadki życiowe, świętowano. Otóż obecnie setki tysięcy ludzi wypchnięte zostały odrazu z dawnej kolei życia, do której przywykli. Pozostawić ich tak, w tem nienormalnem położeniu, bez pomocy, to rzecz dosyć ryzykowna. Pustkę, stworzoną

przez reformę, należy zapełnić jakoś, i to zapełnić szybko. Gdzieindziej zajęło się tem samo społeczeństwo za pomocą wspomnianych wyżej kuratorów. U nas inicjatywa prywatna w danym razie jest dość ograniczona. Ze strony władzy zaś o przedsięwzięciu odpowiednich kroków jakoś dotąd nie słyhać.

Nie więcej punktów zetknięcia z ludem daje społeczeństwu sprawa umoralniania ludności wiejskiej za pomocą książek.

Z końcem roku ubiegłego, stosownie do ogłoszonej w urzędowym komunikacie zapowiedzi, władza przystąpiła do zakładania w kilkunastu gminach tutejszych czytelni ludowych.

Projekt urządzenia tego rodzaju środka oświaty ludowej i zastosowania go w kraju naszym powstał z inicjatywy b. generał gubernatora warszawskiego, hr. Szuwałowa. Dalszy bieg sprawa ta otrzymała w końcu bieżącego roku za obecnego generał-gubernatora, J. O. księcia Imeretyńskiego, który, po naradach z powołanym ad hoc komitetem naukowym, uznał za konieczne, zanim nastąpi ostateczne rozwinięcie tego rodzaju instytucji w szerszych rozmiarach, otworzyć tytułem próby dwadzieścia czytelni wiejskich, celem wydawania ludowi książek do domu bezpłatnie; mianowicie połowa czytelni powstać miała przy urzędach gminnych, druga zaś przy szkołach, ażeby drogą doświadczenia przekonać się, który typ czytelni ludowej bardziej odpowiada warunkom miejscowym. Pierwsze, to jest czytelnie gminne znajdować się będą w zawiadywaniu władz administracyjnych; drugie —szkolne pod opieką zwierzchności szkolnej. Jedne i drugie jednak posiadać mają kuratorów w osobie miejscowych komisarzy do spraw włościańskich. Bezpośredni zaś zarząd czytelnie przy szkołach powierzono nauczycielom wiejskim, czytelni zaś gminnych—członkom urzędu gminnego, uznanych za najodpowiedniejszych pod względem rozwinięcia umysłowego i wartości moralnej. Każda czytelnia posiada około 250 książek; z tych sto w języku rosyjskim, sto pięćdziesiąt zaś w języku polskim. Prócz tego, dla każdej z nich prenumerowana będzie „Gazeta Świąteczna, wydawnictwo p. Prószyńskiego.

Zalecane do czytelni książki obejmują pięć głównych działów: 1) religijno-moralny, 2) popularno-naukowy (z dziedziny geografii, kosmografii, przyrodoznawstwa, prawoznawstwa i t. d.), 3) higieny ludowej, 4) specjalny (z dziedziny gospodarstwa wiejskiego i domowego) i 5) beletrystyczny (opowiadanie, powieści i poezye). Książki w języku rosyjskim są po większej części te same, które zwykle składają czytelnie ministerjum oświecenia. Oprócz utworów koryfuszów literatury rosyjskiej, do składu czytelni weszły wydawnictwa, „Pośrednika, komitetów nauki czytania, tudzież dziełka rolnicze moskiew-

skiej komisji odczytów ludowych. Dział polski składa się z utworów znanych pisarzy ludowych i popularyzatorów: Promyka, Dygasińskiego, Grajuerta, Brzezińskiego, Antoszki, oraz opowiadanie Junoszy, Prusa, Orzeszkowej.

Ten, w głównych zarysach nakreślony projekt nowych urządzeń, nastęrcza kilka uwag. Czytelnie wiejskie urządzone są na próbę, dostarczyć mają doświadczenia, wskazówek co do dalszej ich organizacji. Stąd oczywiście wypływa konieczność, możliwie ścisłej kontroli owych doświadczeń. Zadanie trudne i nader uciążliwe, wymagające dużego nakładu pracy, dobrych chęci i znajomości rzeczy, pewnej, wypróbowanej metody. Czy zadaniu temu odpowiadać będą w stanie organy przez władzę powołane do bezpośredniego zarządu czytelniami; czy ono nie będzie przechodził rozmiaru ich sił i kwalifikacji? — na pytania te trudno dziś odrazu dać stanowczą odpowiedź. Powątpiewać można jedynie, czy obarczeni dużymi i ciężkimi obowiązkami własnymi nauczyciele wiejscy, oraz członkowie urzędów gminnych, znajdują dość czasu i chęci, by się zająć sprawą czytelnia.

Sam katalog czytelnia daje powód do krytyki. Przedewszystkiem pominięto w nim zupełnie dział historyczny, choć wiadomo, że należące do tej kategorii utwory, cieszą się wielkim uznaniem i poczytnością wśród ludu.

Dalej w dziale beletrystycznym uderza brak pierwszorzędnych naszych pisarzy. Nie ma tu Krasickiego, Mickiewicza, Syromkomi. Sienkiewicza, Kraszewskiego, których piękne dzieła chętniej czytane są przez lud, niż wiele suchych powiastek ludowych.

Wogóle zauważyć można w całym opracowaniu katalogu nieznaną ludu i jego potrzeb duchowych. I dziwić się temu nie należy. Ten wielki odłam naszego społeczeństwa pozostawał dotychczas w ukryciu. Pisano o nim wiele; publicystyka rosyjska rozwodziła się szeroko nad jego bytem, choć prawdziwego i rzeczywistego jego położenia nie znała zupełnie. Od pewnego czasu jednak w tych wielkich masach włościańskich występują samodzielne objawy bardzo pocieszające. Tu i tam budzi się poczucie obowiązków obywatelskich, chęć do nauki, świadomość łączności społecznej.

W ostatnich czasach coraz częściej spotyka się w pismach głosy ze wsi, opowiadające o dążności ludu do oświaty. Dość powiedzieć że wszędzie, gdzie otwarto czytelnia ludowe, ludność hurmem rzuciła się do czytania. Książki rozchwytywano szybko. W wielu miejscach polskich dzieł zabrakło. Okazało się, że katalog polskich książek stonkowo zawierał za mało.

Na nader doniosłe orzeczenie rządzącego senatu zwróciła w ostatnich czasach uwagę „Gazeta Sądowa“.

Jak wiadomo, w kraju zachodnim w celu wzmocnienia żywiołu rosyjskiego wśród właścicieli ziemskich, polacy na mocy ukazu z dnia 16 grudnia 1865 r., zatwierdzonego następnie przez prawo z dnia 27 grudnia 1884 r. mogą nabywać majątki ziemskie wyłącznie w drodze spadku beztestamentowego, a nadto w razie ujawnienia się jakichbądź kontraktów, sporządzonych wbrew powołanym przepisom i dla zapobieżenia symulacyjnym umowom. władze administracyjne (general-gubernatorowie i gubernatorowie) władne są wszczynać powództwo o unieważnienie takich umów. Obecnie w praktyce sądowej wynika poważna kwestya, czy do rzeczonych spraw należy stosować ogólne 10-letnie przedawnienie. Owoż senat rządzący w sprawie wytoczonej w 1893 roku przez gubernatora wołyńskiego o unieważnienie aktu darowizny majątku ziemskiego z d. 18 sierpnia 1891 roku uczynionej przez Antoniego Zawadzkiego na rzecz córki tegoż, wyrok sądu izby sądowej kijowskiej uchylił z powodu sprzeczności z art. 694 tor. II cz. I Zbioru spraw i sprawę przesłał do ponownego osądzenia do innego departamentu.

Przytaczany wyżej art. 694 głosi, że akcye, jakoteż i spory ograniczają się ogólnem, dziesięcioletniem przedawnieniem. Kto w ciągu rzeczzonego czasu powództwa nie wytoczył lub też wytoczywszy nie popierał sprawy we właściwych instancjach, ten traci swe prawo.

Przytoczone orzeczenie senatu, jako zapadłe w pełnym komplecie departamentu, będzie miało doniosłe znaczenie w tego rodzaju sprawach i niewątpliwie zmieni dotychczasową, wprost przeciwną jursprudencję.

W dniu 16 b. m. w Sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa odbyło się doroczne zgromadzenie ogólne członków tutejszego Towarzystwa Dobroczynności, na którem, z powodu ukończonej trzyletniej kadencji, dokonano wyborów do prezydium i do zarządu Towarzystwa.

Na prezesa Towarzystwa obrano b. dziekana tutejszego uniwersytetu, profesora d-ra Włodzimierza Brodowskiego, na wice-prezesa p. Szymona Krzeczkowskiego, na sekretarza Towarzystwa b. członka Senatu Aleksandra Jabłońskiego.

Do zarządu Towarzystwa zostali wybrani: Seweryn Lutostański, sędzia Izby Sądowej; Aleksander Makowiecki, dyrektor Towarzystwa kredytowego m. Warszawy i prezes sekcji rzemieślniczej; Antoni Jasiński, b. dyrektor filii banku w Radomiu; Jan Paweł Łuszczewski; D-r Józef Wszebor, lekarz naczelny szpitala Dzieciątka Jezus; Adam Gagatnicki, b. radca magistratu; Mathias Bersohn, kupiec i obywatel m. Warszawy; Adolf Suligowski, adwokat przysięgły; Stanisław Pfeiffer, przemysłowiec; Oskar Scheller, adwokat przysięgły; Edward Czajkowski, adwokat przysięgły i d-r Konrad Dobrski.

W d. 20 Stycznia zebrali się członkowie zarządu w celu ukonstytuowania się. Po oświadczeniu przez dotychczasowego prezesa Zarządu, p. Łuszczewskiego, że obowiązków tych, z powodu nadwątłego zdrowia i ciągłych wyjazdów, sprawować-by na przyszłość nie mógł, dopełniono wyborów przez tajne głosowanie i powołano na prezesa p. Adolfa Suligowskiego; na wice-prezesów pp.: Aleksandra Makowieckiego i d-ra Józefa Wszebora; na kasyera p. Jasińskiego i na sekretarza zarządu p. Edwarda Czajkowskiego,

*

*

Początek roku zaznaczył się pewnem ożywieniem w trzech tutejszych teatrach. Urzeczywistnienie najróżniejszych zapowiedzi, których nam nie szczędzono przy schyłku minionego roku, najświetniej rozpoczęł teatr Wielki. Wystawiona tam poraz pierwszy w d. 8-ym stycznia r. b. opera Władysława Żeleńskiego, „Goplana“, przyjęta została z zapalem i do dziś dnia ściąga tłumy słuchaczy, których prowadzi do teatru nie pusta przemijająca ciekawość, ale gorące i głębiej sięgające zainteresowanie dziełem wysoce utalentowanego jubilata. Po arcydziełach Moniuszki, pierwsza to od lat wielu opera polska na scenie warszawskiej; nie więc dziwnego że zjawieniu się „Goplany“ towarzyszyły gorączkowe oczekiwania. Nie zawiódł ich Żeleński, stanąwszy w swej ilustracji „Balladyny“ na wysokości Słowackiego, jak Moniuszko stanął obok Mickiewicza, odtwarzając w muzyce jego „Dziady“.

Powiedział ktoś wprawdzie po przedstawieniu „Goplany“, że Żeleński zajął względem Słowackiego to samo stanowisko, co Verdi względem Wiktora Hugo, którego dramatów nie można sobie dziś wyobrazić bez muzyki. Wypadnie tu jednak wprowadzić małą poprawkę: Verdi pochłonął Wiktora Hugo; „Rigoletta“ bowiem wszyscy śpiewają a dramat „*Le roi s'amuse*“ mało kto czyta; kiedy Żeleński komponując

swoją operę składał hołd Słowackiemu i sprawił to, że słuchając „Goplany“ pragnie się odczytać „Balladynę“. Poeta zrozumiał poetę i odczułą poezją działa na publiczność.

Jaką się to drogą odbywa, w czem tkwi tajemnica tego współtworzenia kompozytora z tragikiem,— to będzie w *Bibliotece* przedmiotem oddzielnego studyum; obecnie poprzestajemy na zanotowaniu w kronice bieżącej faktu doniosłego: opera polska dała znak życia na tutejszej scenie, zarówno w repertuarze jak w skompletowanym personelu, który z wielkiem powodzeniem dźwignął wcale nie łatwe zadanie.

Teatr Rozmaitości wesoło powitał pierwsze tygodnie 1898 roku, wystawiwszy pięcioaktową krotochwilę Kazimierza Glińskiego p. t.: „Szaławila“. Romantyk piszący farsę — dziwnie na pozór wygląda, ale ta sprzeczność ma coś pokrewnego z kontrastem melancholijnego usposobienia dostrzeganego częstou komików; tu i tam ciemne lub jasne kolory w jakich widzi życie posępny albo uśmiechnięty obserwator, wywołują w jego oku dopełniające barwy; wtedy humorysta miewa dramatyczne aspiracye a poeta wpada w nastrój wodewilowy. Idzie tylko o to, ile jest szczerości w tych smętnych czy też wesołych tonach.

Otóż nie można zaprzeczyć że p. Kazimierz Gliński śmieje się szczerze wraz ze swoim „Szaławilą“ — tak szczerze, iż ta wesołość istotnie udziela się widzom. Jednocześnie jednak odczuwa się w tej szczerości autora pocieszną naiwność — i na prawdę inaczej być nie może. Nie na darmo jest się romantykiem, a do tego spóźnionym romantykiem. Kiedy takiemu pocie ludzie i rzeczy przedstawia się ni stąd ni zowąd w komicznem świetle, to mu się zdaje że nowe odkrywa światy i bawi się sam z najlepszą wiarą tem, co oddawna już innych bawić przestało. Śmieszna więc dla publiczności jest właściwie nie inwencya wodewilisty — bo tej niema — tylko jego własna i zadowolona z siebie wesołość. „Patrzcie, jaka mię pustota napadła“, — tak autor zdaje się przemawiać do widza, który z życzliwem pobłażaniem, z wyrozumiałym uśmiechem, patrzy na umizgi do Talii, lirycznego a płochego z przypadku kochanka Melpomeny.

Temu usposobieniu publiczności zawdzięcza p. Kazimierz Gliński, że występu jego w dziedzinie farsy nikt na seryo nie bierze, co mu wielce ułatwia sytuację. Bo gdyby chciano na seryo traktować, — nie krotochwilę naturalnie, — tylko pomysłowość wodewilisty, jego fantazyę, polot, dowcip, źle by na tem wyszedł „Szaławila“ ze swoją zużytą sytuacją, skrzypiącemi od starości sprężynami, z rozwleczoną na pięć aktów akcją, którą w trzech wygodnie zawrzeźby można, z całym aparatem gubionych listów, podsłuchiwanych rozmów, zamienianych po ciemku osób, słowem rzekomych niespodzianek, przypominających

dziecinne pudełeczka „z siurpryzami“. Że wszystkimi temi środkami i sposobami posługują się do dziś dnia najbardziej utalentowani farsopisarze francuzcy i niemieccy—to wiadomo, że przygody męża puszczonego się na awanturkę z damą teatralną, którą na schadzce zastępuje zawołowana żona, dostarczą nieraz przedmiotu do niejednej dobrej krotchwili,—to także prawdopodobne; nie idzie jednak zatem żeby to co już było lub to co jeszcze będzie, służyć miało za jedyne usprawiedliwienie tego co jest. Trzeba tu czegoś więcej; trzeba żeby autor miał talent komiczny, żeby napisał rzecz dobrą. O te kardynalne warunki publiczność nie pyta, rozbrojona naiwnością p. Głińskiego — i to jego wygrana; ale gra wydaje nam się niebezpieczną i nie radzilibyśmy często jej powtarzać. Lepiej już próbować szczęścia z większymi szansami poety, a te p. Głiński rzeczywiście posiada; zobaczymy co one dadzą autorowi „Almanzora“.

Jaka jest różnica pomiędzy wodewilistą przygodnym a farsopisarzem z temperamentu o tem najlepiej przekonywa się publiczność zapelniając teatr Letni w Saskim ogrodzie na przedstawieniach krotchwili p. Ruszkowskiego p. t.: „Wesele Fonsia“. Jeżeli chodzi o zasadniczy pomysł sztuki, nie jest on zapewne logiczniejszym, ani jako punkt wyjścia akcji, ani pod względem przeprowadzenia głównego motywu, od inwencji w krotchwili p. Głińskiego. Ale wiadomo, że punkt wyjścia w farsie, bodaj najniedorzeczniejszy można widzowi narzucić, byle się miało odpowiednią po temu fantazję. Ma ją p. Ruszkowski i w tem jest wyższym od p. Głińskiego. Nie łatwo, rzecz prosta, wmówić w widza, że znalazł się gdziekolwiek i kiedykolwiek dudek, który zgodził się na propozycję odegrania roli pana młodego w udanem weselu, po to tylko, żeby panna młoda mogła pozbyć się innego natrętnego konkurenta. Nie wmawia też tego w publiczność pan Ruszkowski, ani stara się jej przekonać o prawdopodobieństwie takiego konceptu, tylko wprowadza ją odrazu w sam wir wodewilowej sytuacji z takim rozpędem, że widz nie ma czasu myśleć o logice ani ucałować ludzkich ani snujących się z narzuconej sytuacji wypadków—i bawi się.

Następuje tu zresztą p. Ruszkowskiemu sposobność przedstawienia raz jeszcze ulubionej psychologii człowieka nieśmiałego, który zwyciężony w krytycznym momencie swoją nieśmiałość, nabiera charakterystycznej w takich razach zaciętości. Widzieliśmy taką figurę w „Mężu z grzeczności“, w „Teściu“, spotykamy ją znów jako słomianego męża w „Weselu Fonsia“, nie narzekając bynajmniej na powtórzenie, bo dzięki temu motywowi, krotchwila, prowadzona z humorem wodewilisty przez cały akt pierwszy, obfituje w dwóch następ-

nych w szczególności, któreby w prawdziwej komedii miejsce znaleźć mogły.

Teatr Mały, funkcjonujący na przystosowanej do zimowych wymagań scenie w ogrodzie Saskim, trzyma się zasady: że lepiej mało obiecywać a dużo dotrzymywać; w krótkim więc czasie wystawił oprócz „Wesela Fonsia“ sztukę ludową Jana Galasiewicza „Maciek Samson“. Galasiewicz, dobry znawca chłopskich stosunków, — zwłaszcza w Galicyi, — różnemi sposobami próbował zaznajomić z niemi publiczność warszawską. Jako współpracownik Z. Mellerowej w przeróbce na scenę „Chaty za wsią“ Kraszewskiego, dostrajał się ongi do romantycznego tonu powieści; wystąpiwszy na własną rękę poszedł w „Czartowskiej Ławie“ śladem uprawianej przez Anczyca Anzengruberowskiej tradycyi: potem usiłował pod parciem wkradającej się do literatury publicystyki, wprowadzać do swoich sztuk tematy społeczne, — stąd powstały: „Wspólne winy“, „Ciarachy“. Cała ta ewolucja doprowadziła jednak zdolnego niewątpliwie pisarza do pierwotnego punktu wyjścia: Galasiewicz powrócił znów w „Maćku Samsonie“ do optymistycznie obyczajowego malowidła, według dawnej formuły.

Dla czego? Czy autor przekonał się że drogami, których szukał nie trafi do publiczności? Czy mu tchu poprostu zabrakło do znalezienia nowego typu sztuki ludowej? W pobieżnej wzmiance kronikarskiej trudno się nad temi pytaniami zastanawiać i nie jest to wogóle zadaniem notatki, gromadzącej fakty, z których później dopiero, pod koniec sezonu, wysnuć wypadnie w obszerniejszym przeglądzie ogólne konzyderacye. Faktem jest tylko, że „Maciek Samson“ nie wnosi do sztuki ludowej nowych motywów. Za jedyną próbę w tym kierunku uchodziłoby mogło wprowadzenie na scenę, obok chłopskich żywiołów, ludności fabrycznej; ale ta innowacya występuje niewyraźnie, nie przedstawia bowiem widzowi ani charakterystyki tłumu, jako pewnego środowiska, ani plastycznie z tego środowiska wydzielających się figur. To samo powiedzieć można o tłumie wioskowym. Nie jest to jak u Sewera w „Marcinie Łuba“ gromada, uplastyczniająca za pomocą rozproszonych wśród niej indywidualnych rysów, zbiorową flzyonomię społeczności chłopskiej; to poprostu szara, bezmienna masa, ze zwykłemi, konwencyonalnemi cechami, ze zwykłym obyczajowym kolorytem. Wyjątek stanowi bohater tytułowy, w którym dopatrzyć by się można intencji streszczenia natury ludu w symbolu siły fizycznej na posłudze dobrych, moralnych instynktów. Ale Maciek jest taką mgławicą psychologiczną i udział jego w akcji jest aż do trzeciego aktu tak podrzędnym, że symbol schodzi na drugi plan, a na pierwszy natomiast występuje nader ubożuchna akcyja, oparta na wrodzonej chłopom skłonności do pieniactwa. Proces jest osiłą sztuki: każdy akt wypada na jed-

ną instancję sądową—a od przebiegu sprawy zależą losy zakochanej pary, której rodzice uprawiają się zawzięcie, podżegani przez rodzaj wioskowego pokątnego doradcy. Sięgnąwszy po dawny temat, nie mógł naturalnie autor uniknąć różnych reminiscencyj, więc jest tam trochę „Popychadła“, nieco „Łobzowian“, odrobina „Czartowskiej Ławy“, a nawet krzynka „Hansa Jurgi“. Że jednak te echowe odgłosy na podstawie jednej zasadniczej nuty humoru, łączą się w dość wesoły akord, więc „Maciek Samsom“ sympatycznie został przyjęty i będzie pożądanem urozmaiczeniem w repertuarze teatru Małego, — zwłaszcza że jest z życiem grany. Taka pochwała należy się właściwie aktorom, grającym we wszystkich trzech krotochwilach, nie wyłączając nawet artystów którzy w Rozmaitościach uratowali „Szaławilę“ p. Glińskiego—i ta ostatnia okoliczność jest szczególnie zastanawiającą. Czyżby farsa miała się istotnie stać specjalnością naszych teatrów? czy nastrój krotochwilny jest jedynym, na jaki się potrafi zdobyć warszawska scena?

Z odpowiedzią wstrzymać się należy. Pod koniec roku dużo było mowy o zamierzanych w teatrze reformach, które zajęć miały z chwilą osobistych zmian w składzie administracji teatru. Zmiany te nastąpiły tak niedawno, że na stosunkach artystycznych odbić się jeszcze nie mogły.

Czekajmy więc— a tymczasem notujmy dane do przyszłych wniosków.

Wiadomości bibliograficzne.

— Jubileusz Sienkiewicza upamiętniony został wspaniałym wydawnictwem. Firma Gebethnera i Wolffa przygotowała album jubileuszowe w dwojakim formacie, zastosowanym, pod względem ceny, do wymagań zamożniejszych i mniej zamożnych nabywców. Artystyczną treść Albumu, stanowią główniejsze sceny i postacie z powieści i nowel znakomitego jubilata w 20 ilustracjach, wykonanych przez najcelniejsze talenty. Spotykamy się tam z nazwiskami: Józefa Brandta, Józefa Chelmońskiego, Antoniego Kamińskiego, Juliusza Kossaka, Wilhelma Kotarbińskiego, Kazimierza Pochwalskiego, Jana Rozena, Henryka Siemiradzkiego, Piotra Stachewicza i Wincentego Wodzińskiego. Wstęp napisał Stanisław Tworowski.

Album przedstawia się bardzo pięknie i utrwała plastycznie z wielką ekspresją artystyczną typy, które w literaturze na zawsze zostaną. Śliczne są kobiece główki: Hani, Helenki Kurcewiczówny, Anielki Połanieckiej, Litki, Pani Emilii, Maryni Pławickiej i Lygii. Postać Kurcewiczowej uderza siłą charakterystyki; nawiedzona wizją Rzepowa, wzrusza ekstatycznym wyrazem twarzy. Dwie męskie figury, Zagłoby i Kamionki („Lux in tenebris“), niemniej są interesujące. Scen przedstawiono trzy: pochód przez las Kmicicowej kampanii, bitwę pod Klawanami i śmierć Petroniusza. Skromny kościółek na Via Appia w Rzymie z godłem: „Quo Vadis“, które dostarczyło Sienkiewiczowi tematu do ostatniej wspaniałej powieści. zamyka wydawnictwo godne jubilata i dzieł jego.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Michał ks. Radziwiłł.